

Mika WALTARI

Kto zabił panią Skrof?

Tytuł oryginału: Kuka murhasi rouva Skrofin?

przełożył SEBASTIAN MUSIELAK

Powieść detektywistyczna

Nagrodzona w stosownych skandynawskich konkursach

Po raz pierwszy opublikowane w roku 1939, Otava, Finlandia.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04711-8

Wydawnictwo Literackie 2011



1.

Pracownica poczty, pani Hallamaa, idzie po mleko, a żona dozorczy ma paskudny katar. •
Dziarski listonosz czyni obserwacje, i Pentti Lanne alarmuje posterunkowego Are. • Gaz!

Czuć gaz!

Pracownica poczty, pani Hallamaa, pierwsza wspomniała o tym na głos. Kiedy wybiła godzina ósma rano, wyszła z klatki 8A przy ulicy Nabrzeżnej z kanką na mleko w ręku. Na jej chudych nogach kląskwały znoszone pantofle, poranny strój owinęła obyczajnie płaszczem. Stała przy żonie dozorczy, która z wypisaną na twarzy pogardą dla całego świata zamiatała właśnie chodnik przy podeście, i rzekła niemal radośnie:

- Na schodach okropnie czuć gaz. Aż głowa boli!

Wiosenne słońce wyjrzało na kobiety zza prześwielonych chmur, żadnej jednak nie poprawiło to nastroju. Żona dozorczy jeszcze mocniej ścisnęła miotłę i tylko nieznacznie przesunęła zad, by przepuścić starą pannę, a z kącika jej ust wymsknęło się ni to pozdrowienie, ni to kichnięcie: „bry”.

Pani Hallamaa nie zamierzała jednak poprzestać na tej mizernej wzmiance. Stała dalej, ważąc wymownie kankę w ręku.

- Głowę miałam dziś rano taką ciężką, zupełnie jak kamień. - Nie dawała za wygraną.
- Ten okropny smród gazu, fuj!

Żona dozorczy wyprostowała nareszcie plecy i wsparła się na miotle. W jej załzawionych oczach malował się wyraz znudzenia. Niuchnęła poczerwieniałymi nozdrzami.

- Ja tam nic nie czuję - rzuciła na odczepne, niemniej tytułem wyjaśnienia dodała po chwili: - Widzisz pani, katar mam. Nos zupełnie zatkany. Byle to nie była grypa!

Po czym pochyliła się znów nad swoją pracą, unosząc zad jak wykrzyknik w manifeście ludzkiego męczeństwa.

- Ojoj, to niedobrze - powiedziała pani Hallamaa. - Ta wiosenna pogoda jest taka zdradliwa.

Westchnęła ciężko, jeszcze ciaśniej owinęła płaszcz na szlafroku i nie znalazłszy pociechy u dozorczyńni, ruszyła do sklepiku z nabiałem, żałośnie kląskając pantoflami po zakurzonym asfaltowym chodniku.

Kiedy w drodze powrotnej wyszła z za rogu kamienicy, stąpając ostrożnie, by nie rozlać mleka, żona dozorczy wyciągnęła już wycieraczkę z podestu klatki schodowej i trzepała nią o latarnię przy wejściu z taką wściekłością, że jęczący metalowy słup zniknął w chmurze pyłu. Z jej ściągniętej twarzy bez trudu można było wyczytać, gdzie tego ranka żona dozorczy ma przepisy porządkowe i opinię publiczną w ogóle. Z podwórza wyszedł właśnie dozorca i wsparłszy się na miotle, z papierosem w kąciку ust i podziwem na twarzy przyglądał się energicznym poczynaniom swojej ślubnej.

Pani Hallamaa zatrzymała się na stopniu przy klatce i zaczęła demonstracyjnie węszyć.

- Pan też nic nie czuje? - naskoczyła na dozorcę. Krótka pogawędka ze sprzedawczynią nabiału pobudziła jej siły życiowe i rozproszyła poranną senność.

Dozorca pociągnął nosem, nie wyjmując nawet papierosa z ust. Pociągnął jeszcze raz, po czym potakująco kiwnął głową. Wiadomo - stara panna zawsze musi się na coś skarżyć. A to kaloryfer nie działa, a to napalone za bardzo, a to na schodach przeciąg, a to na klatce śmierdzi stęchlizną.

Pani Hallamaa była już poirytowana.

- Okropnie śmierdzi gazem! - parsknęła.

Tym razem dozorca wyjął papierosa z ust i zaczął niuchać powietrze płynące z klatki schodowej.

- Taa - rzekł wreszcie belferskim tonem. - Ja bym bynajmniej powiedział, że to znów się zapchała rura ściekowa. - Zerknął na kobietę i szybko się poprawił: - Ale równie dobrze może to być gaz. Rury puszczają.

- Więc proszę to naprawić! - wypaliła kobieta ze złością.

Dozorca rozłożył ramiona i wznosił oczy do nieba, jak gdyby chciał powołać na świadka samego Pana Boga.

- Trzeba by remont całej instalacji zrobić - rzekł głosem człowieka cierpiącego za cudze przewiny. - To stary dom. A remont kosztuje. Dla tej jędzy... - Wzdrygnął się i rozejrzał szybko, a gdy stwierdził z ulgą, że nikt nie podsłuchuje, odważnie podjął wątek: - Dla tej jędzy mieszkańcy całej kamienicy mogliby sobie nawet zdechnąć od tego gazu, byle ona mogła jeszcze więcej uciuć. Tylko komisja zdrowia...

W tym momencie dozorca uznał, że więcej nie musi mówić, więc tylko wzruszył ramionami i skinął głową w prawo i w górę, aby nie było wątpliwości, że jego słowa dotyczyły właścicielki kamienicy, starej pani Skrof, która mieszkała na ostatnim piętrze, zaraz nad panią Hallamaa. Ta z racji owej bezceremonialnej „jędzy” poczuła niejaki zadowolenie i

lekką się zaczerwieniła. Nie licowało to jednak wcale z jej godnością, więc z uprzejmą przyganą w głosie rzekła:

- Pani Skrof w istocie jest trochę za bardzo... hm... oszczędna. To ją może drogo kosztować.

Te instynktownie zaakcentowane słowa nie miały znaczyć nic ponad to, że kiedyś miarka może się przebrać i mieszkańcy kamienicy zaczną się po kolei wyprowadzać; pani Hallamaa uznała po prostu, że owa zagadkowa myśl dobrze się nadaje na zakończenie rozmowy. Z dumnie uniesioną głową wyminęła dozorcę i podreptała w kłaskających pantoflach do wejścia. Przypomniała sobie swoje słowa dopiero po południu, kiedy usłyszała o tym, co się stało, a wtedy rozwarła szeroko oczy z przerażenia i przycisnęła dłoń do ust, jak gdyby chciała stłumić krzyk. Lecz przecież jej słowa w istocie nie znaczyły nic.

Po odejściu pani Hallamaa żona dozorczy położyła wycieraczkę na miejsce i - prostując plecy - spojrzała na męża. Kiwnęła znacząco głową za kobietą i rzekła jadownicie:

- W głowie się jej pomieszało! Rozum odjęło! Brak jej chyba piątej klepki!

Ten wybuch przyniósł jej wyraźną ulgę w katarze, więc gdy wymienili z mężem spojrzenia wyrażające głębokie, obopólne zrozumienie, prawie się uśmiechnęła. Dozorca czule trącił żonę w plecy kijem od miotły i zawtórował:

- Gaz jej śmierdzi! Cha, cha!

Śmiejąc się, instynktownie zaciągnął się głębiej powietrzem i twarz mu spochmurniała. Na klatce schodowej naprawdę śmierdziało gazem.

Godzinę później do klatki 8A dziarskim krokiem wmaszerował listonosz. Pozdrowił radośnie dozorcę, który z małej konewki polewał chodnik, i żwawym krokiem ruszył po schodach. Jego ciągła młodość brała się stąd, że nie kłął każdego ranka, choć w kamienicy nie było windy. W pewnym sensie listonosz lubił te stare domy, zamieszkane niemal wyłącznie przez starych ludzi, odstawionych już na bocznicę życia. Może dlatego, że nie przychodziło do nich dużo poczty, i torba mu nie ciążyła. Tego ranka nie było inaczej: w klatce 8A listonosz miał doręczyć jedynie tygodnik „Niebieski Skrzat” dla pani Hallamaa oraz list do pani Almy Skrof. Wchodząc na najwyższe piętro, oglądał kopertę. Adres odbiorcy wypisał najwyraźniej zdenerwowany mężczyzna; w górnym rogu widniał odcisnięty dużymi niebieskimi literami nadruk: „Zgromadzenie Betlejem”.

Kiedy wsunął tygodnik w okienko pocztowe w drzwiach pani Hallamaa na pierwszym piętrze, poczuł gaz i spojrzał w górę. Wszedł na drugie i zarazem ostatnie piętro, a gdy zbliżył się do drzwi mieszkania z pociemniałą tabliczką, na której widniał napis: „Alma Skrof”, smród gazu stał się wręcz nieznośny. Listonosz poczuł w żołądku obrzydliwą czczość. Uniósł

kciukiem wieczko okienka pocztowego w drzwiach i wsunął do środka list, a wtedy buchnął mu w twarz odór gazu tak mocny, że listonosz utwierdził się w podejrzeniach. Przekręcił energicznie pokrętło dzwonka. Poczuł, że go mdli.

Zza drzwi nie dobiegł nawet najmniejszy dźwięk. Mężczyzna jeszcze raz zakręcił szaleńczo pokrętłem i trochę się przestraszył, czując zarazem ciarki na całym ciele. Dozorca aż na ulicy usłyszał natarczywy dzwonek w mieszkaniu pani Skrof i już wchodził powoli po schodach na górę. Listonosz zszedł dwa stopnie i przechylił się przez poręcz.

- Coś tu jest nie tak! - powiedział. Miał wrażenie, że mówi bardzo spokojnie, lecz głos drżał mu z napięcia.

- Z okienka pocztowego okropnie czuć gaz i nikt nie otwiera.

Dozorca energiczniej pokonał stopnie dzielące go od ostatniego piętra i żwawo przekręcił pokrętło dzwonka. Listonosz był jeszcze młody, a dozorca nie zwykł nikomu wierzyć, dopóki osobiście rzeczy nie sprawdził. Za zamkniętymi drzwiami było cicho jak makiem zasiał.

- O tej porze pani Skrof powinna już być na nogach - odezwał się dozorca. - Panienki też jeszcze nie widziałem dzisiaj na dworze z psem. Aż dziw, że pies nie szczeka! Zazwyczaj warczy już po pierwszym dzwonku.

Listonosz pobladł.

- Ma pan zapasowe klucze od mieszkania? - zapytał niemal szeptem.

Dozorca podrapał się anemicznie po głowie, jak gdyby oczekiwał, że ktoś go popchnie do działania.

- Klucz mam, od regularnego zamka - odpowiedział. - Ale sam pan widzisz, że w drzwiach jest drugi zamek. Ta jęcza... pani Skrof, znaczy się... kazała go wstawić dwa lata temu ze strachu przed włamaniem i zawsze wieczorem zamyka go od środka. Nawet panienka nie ma klucza od niego. Na dodatek w drzwiach jest jeszcze łańcuch...

- Musimy... - zaczął listonosz, zaraz się jednak zreflektował, pomyślał bowiem o swoich obowiązkach oraz o wszystkich nieprzyjemnościach, jakie się wiąże z wzywaniem policji. - Pan musi wezwać policję!

- Policję? - powtórzył dozorca, a w jego przerażonym głosie wybrzmiała cała niechęć, jaką uczciwy obywatel odczuwa do organów władzy. Lecz listonosz wiedział już, że trzeba działać szybko. Szarpnął dozorcę za ramię, by nadać mu prędkość początkową, i razem zbiegli po schodach, zeskakując po dwa stopnie. Dozorca w duchu dziękował Bogu, że pani Hallamaa zdążyła wyjść do pracy. O jedną srokę mniej po drodze.

Kiedy wybiegli z klatki schodowej na chodnik, z bramy wyjechał akurat Pentti, syn mecenasa Lannego, mieszkającego na parterze; u kierownicy roweru dyndały przywiązane paskiem obrzydłe podręczniki. Na widok dozorca chłopak wzdrygnął się i zrobił minę winowajcy. Dozorca wrzasnął mimowolnie:

- Ile razy ci mówiłem, żebyś...! - Lecz zaraz uprzytomnił sobie powagę sytuacji i urwał w pół zdania. - Chłopcze, skoro już jesteś na rowerze, to sprowadź nam tu czym prędzej pana posterunkowego!

- A co się dzieje? - zapytał potulnie Pentti Lanne, ale w duchu już się cieszył, że choć raz będzie mieć usprawiedliwione spóźnienie do szkoły.

- Chyba pani Skrof zatrzała się gazem. No, jedź już! A ja w tym czasie przyniosę klucz od mieszkania.

Posterunkowy Ara rozpoczął obchód w dziarskim nastroju. Właśnie wdał się na rogu w przyjemną pogawędkę z nader czarującą służącą, gdy niemal rozjechał go zdyszany chłopak pędzący na rowerze z wyścigową prędkością. Posterunkowemu nie trzeba było niczego dwa razy powtarzać, gdyż był człowiekiem czynu, a poza tym ukończył szkołę policyjną zaledwie pół roku wcześniej. Ma się rozumieć, że biec mu nie wypadało, lecz wkroczył do klatki 8A lekko zdyszany i akurat w momencie, gdy dozorca wygrzebał wreszcie z szuflady klucz z przywiązanym kawałkiem brudnej tektury. Wypisana na nim szóstka wskazywała, że to klucz od drzwi mieszkania pani Skrof.

Zegar wskazywał wtedy godzinę dziewiątą minut osiem, co można było później wyczytać z raportu posterunkowego Ary.

Klucz na niewiele się zdał. Domysły dozorca okazały się słuszne. Drugi zamek w drzwiach na noc ryglowano od środka. Drzwi nawet nie drgnęły, mimo że posterunkowy szarpał za klamkę. Uchylił wieczko okienka pocztowego, ale od razu cofnął twarz, bo znów buchnął z niego odór gazu.

- Telefon? - zapytał rzeczowo.

- U mecenasa, pana Lannego, znaczy się. Na parterze! - wyjąkał dozorca.

- Przynieś pan siekierę albo łom. Biegiem! A pan - posterunkowy zwrócił się do listonosza - pan popilnujesz, żeby w tym czasie nikt tu się nie kręcił. Za chwilę wracam!

W rzeczywistości posterunkowy Ara wcale nie był aż tak pewny dalszego ciągu, jak można było wywnioskować z wydawanych przez niego poleceń. Niewątpliwie najsprawniej wszystko by poszło, gdyby nie oglądał się na nikogo, lecz posterunkowy wybrał najpewniejszy tryb postępowania i na wyważenie drzwi postanowił uzyskać zgodę przełożonego. W grę wchodził zapewne nieszczęśliwy wypadek - nieumyślne pozostawienie

na noc odkręconego kurka z gazem - jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże i zawsze to lepiej stapać po pewnym gruncie. Mógł oczywiście wezwać strażaków, którzy mają maski przeciwgazowe i aparaty tlenowe, ale trzeba by na nich czekać ładnych parę minut, a poza tym nie chciał się z nikim dzielić swoją sławą i chwałą.

Takie myśli kłębiły mu się w głowie, gdy wielkimi susami zbiegał na parter. Pentti Lanne stał zapraszająco w drzwiach mieszkania. Anemiczny i łysy starszy mężczyzna, w którym posterunkowy domyślił się ojca chłopca, próbował nieudolnie nakłonić syna, by wrócił do szkoły.

- Telefon?... - zapytał posterunkowy oficjalnie, choć uprzejmie. Pentti wybiegł przed niego, wskazując drogę prosto do sfatygowanego ojcowskiego biurka.

Posterunkowy zawahał się sekundę, nim wykręcił numer. Po chwili, sapiąc z przejęcia - wykraczał bowiem poza zakres swoich obowiązków - poprosił do telefonu szefa wydziału kryminalnego komendy miejskiej. Zdawało mu się, że jasno i zwięźle zrelacjonował sprawę porucznikowi Hagertowi - który tymczasowo pełnił ową funkcję - ale gdy odkładał słuchawkę na widełki, uszy miał czerwone.

- Mam tu maskę przeciwgazową - pochwalił mu się zaradny Pentti Lanne, machając zawieszonym na pasku futerałem. - Należę do organizacji obrony przeciwlotniczej. Kosztowała sto marek!

- Och, idź mi z tym do diabła! - warknął rozgoryczony posterunkowy. - Albo poczekaj, daj no to! - rozkazał po chwili namysłu. W końcu musiał coś przedsięwziąć. Do biurka podszedł mecenas Lanne i zaczął nerwowo wycierać okulary w chusteczkę do nosa.

- Myśli pan, że pani Skrof naprawdę...? - zapytał, ale nie bardzo potrafił dokończyć zdanie.

- Muszę wyważyć drzwi - odpowiedział krótko Ara. - Bardzo proszę wezwać telefonicznie najbliższego lekarza.

- Pani Skrof korzystała zazwyczaj z usług doktora Markkoli. Mieszka niedaleko - rzekł mecenas cokolwiek roztargnionym głosem, jak gdyby myślał zupełnie o czym innym. Lecz posterunkowy Ara zdążył już wyjść z Penttim depczącym mu po piętach.

- Dziwne, bardzo dziwne! - mruknął pod nosem mecenas, po czym, mrużąc krótkowzroczne oczy, zaczął wertować książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru doktora Markkoli.

Na schodach posterunkowy wyszarpnął łom i siekiere z drżących rąk dozorczy.

- Otwórz pan wszystkie okna na klatce! - rozkazał mu. - I każ pan wszystkim lokatorom wietrzyć mieszkania. Otwórz pan też drzwi wejściowe, coby się zrobił przeciąg. I

nie podchodź pan za blisko. Żadnych papierosów. Każ pan wszystkim zgasić wszelki ogień. I załóż pan sobie na twarz mokrą chusteczkę.

Po wydaniu tych zaleceń, które odzwierciedlały całą jego wiedzę o zasadach postępowania w razie ulatniania się gazu, posterunkowy rzucił się po schodach na najwyższe piętro, a za nim, niczym cień, pobiegł wierny Pentti Lanne z przewieszonym przez ramię futerałem maski przeciwgazowej. Listonosz ciągle stał na posterunku przed drzwiami mieszkania pani Skrof. Kaszłał i odczuwał mdłości. Odór gazu był już nie do zniesienia.

2.

Czytelnik zapoznaje się wstępnie z komisarzem Palmu, a po chwili ze mną. • W ograniczonym budżecie policji kryminalnej nie przewidziano środków na rozrywkowe przejażdżki dryndami na gumach. • Komisarz Palmu szpera w swoim mózgowym archiwum, po czym wkraczamy do mieszkania pani Almy Skrof.

Była godzina dziewięta dwanaście, gdy do naszego pokoju wszedł porucznik Hagert. W rzeczywistości jest to pokój komisarza Palmu, lecz z braku miejsca - i wbrew woli komisarza - wstawiono tam również moje biurko. Mój przełożony czytał właśnie zwędzoną z dyżurki gazetę, ja zaś przeglądałem protokół przesłuchania uczestnika jakiejś głupiej bójki na noże, starając się, na ile to możliwe, nie zawracać Palmu głowy zbędnymi pytaniami.

Trzeba bowiem wiedzieć, że komisarz Palmu bardzo nie lubi, gdy mu się zawraca głowę podczas lektury gazety. Od czasu do czasu musiałem go jednak o coś zagadnąć, gdyż protokół był w istocie jego dziełem, a wcisnął mi go pod pretekstem, że szybko sporządzam czystopisy. Pisanie raportów to najnudniejsza część pracy w wydziale zabójstw.

Posprzeczaaliśmy się o to jeszcze poprzedniego dnia, bo w końcu studiowałem przecież prawo i zdążyłem liźnąć nieco literatury kryminalistycznej. Uważam też, że Palmu nie ma prawa traktować mnie jak idiotę, który wyłącznie koneksjom rodzinnym - drugi mąż mojej ciotki jest sekretarzem w Ministerstwie Sprawiedliwości - zawdzięcza wielki honor odbywania u niego stażu. Tak się bowiem składa, że sprawy kryminalne interesują mnie od dzieciństwa, a ponieważ Helsinki w ostatnich latach zaczęły się dynamicznie rozwijać, można wiązać z tą branżą pewne widoki na przyszłość.

- Gdyby miał pan, panie komisarzu, wyobraźnię... - zacząłem, lecz Palmu bezlitośnie mi przerwał:

- Gdybym miał wyobraźnię, kazałbym ją sobie amputować! I zwolnił się ze służby! Na rany Chrystusa, czy człowiek nie może już w spokoju przeczytać gazety?!

Wtedy właśnie, jak wspomniałem na początku, do naszego pokoju wszedł porucznik Hagert.

- Już tu znów zawędrowała świeża gazeta? - zagadnął oziębłe komisarza. - Pół godziny jej szukam. Czy pan komisarz nie wie, że miejsce gazet jest w dyżurce? Czas by już chyba zrobić z tym porządek! Skoro ograniczony budżet naszej komendy pozwala na

zamawianie po jednym tylko egzemplarzu stołecznych gazet, muszą mieć one ustalone miejsce. Wstydz się, Palmu, dajesz zły przykład młodszym.

- Znałem wielu niewychowanych smarkaczy, ale ten... - zaczął oburzony komisarz, zamilkł jednak i westchnął. - Masz, zabieraj tę swoją gazetę - burknął zgnębiony i obrócił się w swoją stronę. - Potrafisz sobie wyobrazić, że karmiłem tego tu Hagerta z butelki, kiedy jeszcze wierzgał na rękach u matki? Uch, mówię ci, cóż to był za brzyda! Z czasem wprowadziłem go na wojenne ścieżki i wystawiłem mu pierwszego włamywacza... A teraz co? Został porucznikiem i woda sodowa uderzyła mu do głowy!

Hagert lekko się zaczerwienił i odchrząknął.

- Do rzeczy - powiedział oschle. - W zasadzie to nie przyszedłem tu po gazetę, nakryłem cię na łamaniu przepisów zupełnie przypadkowo. Ale jak możemy zaprowadzać w tym mieście ład i porządek, skoro tolerujemy ducha bałaganiarstwa i samowoli we własnym miejscu pracy... Ale do rzeczy. Jakiś idiota - nie wiem, kto go zrobił posterunkowym - Ara się nazywa, zadzwonił przed chwilą z pytaniem, czy może wyważyć drzwi mieszkania jakiejś starowiny, która się zaczadziła czy zatrąła gazem. Żeby dorosły człowiek zadawał takie pytania, przecież ma chyba oczy?! Zdaje się, cholera, że uważa mnie za jasnowidza, który stąd, zza biurka, lepiej oceni sytuację niż on sam na miejscu!

Komisarz Palmu spojrzał na przełożonego z poważną miną.

- My, stare pokolenie, całe życie na to pracowaliśmy - powiedział cicho - żeby dziś opinia publiczna, a nawet policja porządkowa, święcie wierzyła we wszechwiedzę policji kryminalnej. Poza tym Ara to porządny chłopak i dobrze zrobił, że poinformował cię o tej sprawie.

- Kazałem mu działać według własnego rozeznania, wyraziłem jednak nadzieję, że nie będzie się zachowywał jak słoń w składzie porcelany - odparł nieco speszony Hagert. - Obiecałem, że wyślemy na miejsce kogoś z naszych, tak dla formalności. Nabrzeżna 8A. Pani Alma Skrof.

- Pani Skrof! - wykrzyknął niemal Palmu, po czym wstał i utkwiał zamyślane spojrzenie w cichym o tej porze Rynku. Oczami wyobraźni widziałem już, jak szpera po szufladkach swego przepastnego mózgowego archiwum. - Pani Skrof - powtórzył w zadumie. - Znam, znam. Bogata, stara kutwa. Dwa miesiące temu była tu nawet, w Rynku, u chłopaków z komisji podatkowej. Żądali jakichś dodatkowych informacji i chyba nawet postraszyli ją prokuratorem. Miała też jakiś związek ze Zgromadzeniem Betlejem. Pamiętacie na pewno tę sektę, były już na nich doniesienia. Kaznodzieja Mustapaa... Parę brzydkich spraw, ale nic nie zrobimy, bo osoby w to zamieszane to ludzie ślepej wiary.

Hagert nerwowo zastukał ołówkiem w blat, lecz komisarzowi w najmniejszym stopniu to nie przeszkadzało.

- Zaraz, zaraz, mamy coś jeszcze! - mrucał dalej pod nosem. - O ile mnie pamięć nie myli, starowina była z domu Langell. A ten lotnik amator, Lankella, to jej bliski krewniak, bodajże bratanek. Nazwisko sfińszczył po maturze. Tej zimy zupełnie stracił głowę dla tej tancereczki, co wróciła z zagranicy i zaczęła występować po hotelach. Jak ona się nazywa?

- Nie Iiri Salmia czasem? - poddałem nieśmiało z boku. - Tej kobiety nie sposób było zapomnieć. Widziałem ją kiedyś na występie w Grandzie.

- Właśnie ona. Słuchaj no, Hagert, przejechałbym się dla rozrywki obejrzeć to twoje zac zadanie, co ty na to?

- Dobrze się składa, bo właśnie chciałem cię tam posłać, abyś rzucił na to okiem - odparł Hagert. - Ale jeśli nagle zaczniesz mi bredzić coś o tancerkach, kiedy jakaś sfiksowana babcia przed pójściem spać zapomniała po prostu zakręcić kurek od gazu, to zacynam się zastanawiać... Tylko, na Boga, Palmu, nie rób tam żadnych scen!

- Bredzić, powiadasz - syknął komisarz, ze złością ściągając kapelusz z wieszaka. Hagert zatrzymał go w progu.

- Weź ze sobą chłopaka - powiedział, wskazując na mnie.

Serce podskoczyło mi z radości, bo oczami wyobraźni widziałem już swoją pierwszą prawdziwą sprawę i zdążyłem nawet wymyślić dobry powód, którym przekonałbym Palmu, aby zabrał mnie ze sobą. Mój zapal jednak nieco ostygł, kiedy Hagert dodał sucho:

- Zobacz przynajmniej, co to jest nieszczęście i co to jest wypadek. Ale nie trać tam za dużo czasu. I pod żadnym pozorem nie narażaj rodziny na niepotrzebne przykrości. Czysta rutyna, dla świętego spokoju.

- Auto jest wolne? - zagadnął Palmu w drzwiach. Komisarz zaczął się już trochę zaokrąglać i na służbie niechętnie korzystał z nóg.

- Na piechotę! - rzucił bezdusznie Hagert. - Jest piękna pogoda!

Palmu westchnął ciężko i zaczął schodzić po wytartych stopniach. Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, wypada wspomnieć, że porucznika Hagerta i komisarza Palmu łączy w istocie niedostrzegalna na pierwszy rzut oka, serdeczna jednomyślność. Tymczasowy szef wydziału zabójstw szanuje ogromne doświadczenie komisarza i praktycznie nie podejmuje wiążących decyzji, zanim nie wysłucha jego rady. Palmu z kolei rzeczywiście zna porucznika od dziecka i przez pewien czas zastępował mu ojca, który też był policjantem i stracił życie w pewnej strzelaninie.

Mieliśmy już wyjść na ulicę, gdy Palmu mnie zatrzymał.

- Co tam trzymasz pod pachą? - zapytał surowo.

Zażenowany, pokazałem mu bez słowa chwyconą w locie teczkę, którą w naszych kręgach nazywa się z przekąsem ministerialną apteczką pierwszej pomocy, zawiera ona bowiem wszystko, czego policyjny detektyw może potrzebować, od proszku daktyloskopijnego po gips do wykonywania odlewów śladów stóp. Z inicjatywy krajowego ośrodka kryminalistyki w tecki takie zaopatrzone wszystkie komisariaty w kraju. Stara gwardia miała je w bezgranicznej pogardzie.

- Bądź tak dobry i odnieś to na miejsce - rzekł uprzejmie Palmu. - Może się bowiem zdarzyć, że pod naszą nieobecność ktoś rzeczywiście będzie jej potrzebować. I przestań się wreszcie zgrywać na detektywa amatora. Dzięki Bogu nasz wydział stoi już na przyzwoitym poziomie i do każdego zadania możemy wyznaczyć wyszkolonego technika. Nie jesteśmy na prowincji, gdzie każdy lokalny szeryf przed wezwaniem specjalistów z komendy okręgowej po prostu musi spróbować pozacierać tymi swoimi pędzelkami wszystkie możliwe odciski palców. Jeżeli coś wypłynie, zdążymy ściągnąć na miejsce chłopaków z komisji zabójstw.

Z mojej miny wyczytał, że zdradził mi właśnie swoje najskrytsze myśli, i niechęć przygryzł sobie język. Poczzerwieniał ze złości jak burak i warknął:

- Zabieraj mi stąd, do diabła, tę teczkę i wybij sobie z głowy te swoje horrory! To najzwyczajniejszy nieszczęśliwy wypadek. Zakarbuuj to sobie w pamięci! I obyś czegoś nie wykrakał!

Zrobiłem, co mi kazał.

Kiedy wróciłem na ulicę, spostrzegłem, że skręca właśnie w uliczkę na rogu Rynku. Gdy się z nim zrównałem, raz jeszcze spojrział smętnie na dwa czarne auta, które - ustawione skosem do ulicy - w pełnej gotowości czekały przed komendą na sygnał do wyjazdu. Idąc ramię w ramię, doszliśmy w milczeniu do placu Targowego, gdzie Palmu skierował się w stronę przystanku tramwaju.

- Pojedźmy taksówką! - zaproponowałem, ledwie panując nad emocjami.

- Nasz budżet nie przewiduje środków na rozrywkowe przejażdżki dryndami na gumach - odrzekł Palmu z nutą rozgoryczenia w głosie. Komisarz jest trochę przy kości i podczas marszu łatwo się poci.

- Ja zapłacę! - zaproponowałem ochoczo. Chyba zapomniałem nadmienić, że na szczęście nie muszę starać się wyżyć z pensji praktykanta w komendzie.

- Nie znoszę młodych mężczyzn, którzy nie mają pojęcia, na co roztrwonić pieniądze otrzymane praktycznie za nic - wyznał obcesowo Palmu, ale już bez dalszej zachęty obrał

kurs na początek kolejki taksówek pod Havis Amanda¹. - Dzięki - dodał zaraz, żalując pewnie swych niegrzecznych słów. - Nie kupują nam nawet biletów na tramwaj, choć dzisiaj podobno zwykły posłaniec w kasie swojej firmy dostaje tyle biletów, ile tylko zażąda. Za mojej młodości wszystko było inaczej.

Palmu rzeczywiście zaczynał karierę jako goniec, chociaż później tak gruntownie uzupełnił swoją wiedzę, że niejeden absolwent uniwersytetu mógłby przy nim najeść się wstydu za istotne luki w tej czy innej dziedzinie. Kłopotu następczają komisarzowi jedynie wyrazy obce, których używa często i z lubością. Lecz przecież każdy wielki człowiek ma jakieś słabostki.

Gdy teraz o tym myślę, ciarki przechodzą mi po plecach, ale siedząc wtedy w samochodzie, który pędził przez świecące poranną pustką ulicę, niemal modliłem się w duchu, aby z tego naprawdę zrobiła się sprawa. Niechże się wreszcie wydarzy coś, w czym i ja wezmę udział, niechaj i mnie będzie dane zaznać prawdziwych emocji towarzyszących polowaniu na prawdziwego mordercę. Zdażyłem się już przekonać, że lwia część pracy w wydziale zabójstw to suche planowanie, rutyna i pisanie raportów, i co najwyżej promil naszego czasu przypada na to, o czym piszą autorzy powieści detektywistycznych - na pojedynek dwóch równorzędnych umysłów, mordercy i policjanta.

Na rogu ulicy przy sklepiku z nabiałem zatrzymały się dwie kobiety i patrzyły na klatkę 8A przy ulicy Nabrzeżnej; odziana w kitel sprzedawczyni stała w drzwiach kiosku niczym anioł stróż. Poza nimi inni gapie nie zdążyli się jeszcze zgromadzić. Dzielnica przy dawnym porcie należy do spokojnych.

Zapłaciłem szoferowi. Zdawało mi się, że Palmu okropnie się guzdrze. Najchętniej skoczyłbym przed nim do środka. Z otwartych drzwi klatki schodowej buchnął mocny prąd powietrza, w którym wyczułem słaby odór gazu. Komisarz, stękając, zaczął wchodzić na górę. Okna na klatce otwarto na oścież. Przeciąg smagał nas po twarzach.

Na drugim piętrze czekali na nas posterunkowy, dozorca i listonosz. Ara znał komisarza Palmu i zameldował mu się regulaminowo.

- Mieszkanie będzie za chwilę całkowicie wywietrzone - powiedział. - Drzwi były zamknięte od środka na dwa zamki, założony był też łańcuch, trudny do sforsowania. Tylko ja wszedłem do środka. Od chłopaka z parteru pożyczyłem maskę przeciwgazową. Kurek od gazu w kuchni był otwarty. Zamknąłem go. Otworzyłem okna w kuchni i w obu pokojach. Niektóre były zaklejone papierem, musiałem je rozciąć nożem, żeby wpuścić do środka

¹ Słynny pomnik syreny na skraju placu Targowego w Helsinkach (jeśli nie oznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza).

więcej powietrza. Starsza pani leży w łóżku. Ciało jest już częściowo sztywne. Drugi pokój jest pusty. W tej chwili w środku jest lekarz. Zabroniłem mu czegokolwiek dotykać. Choć trzeba przyznać, panie komisarzu, że to bezsprzecznie nieszczęśliwy wypadek.

Palmu przyglądał się wejściu, kręcąc głową z respektem. Wewnętrzna strona rozwartych na oścież dwuskrzydłowych drzwi przedstawiała zaiste godny widok. Okienka z nieprzezroczystego szkła wzmocniono od środka żelaznymi sztabami. Poza zamkiem Abloy, który dozorca otworzył zapasowym kluczem, w drzwi wprowadzono jeszcze zamek patentowy, zamykany tylko od środka. Wzmocniona żelaznymi okuciami deska dokoła niego była mocno popękana. Łańcuch został wyrwany z pociętej obsady.

- Macie parę w rękach, panie posterunkowy - stwierdził Palmu z nutą podziwu w głosie. - Użyliście taranu czy może walca parowego?

- Łomem się gięło, panie komisarzu... - wyznał skromnie posterunkowy, rozcierając dłonie. - Klamka puściła po kilku szarpnięciach.

Rzeczywiście, klamka najwyraźniej puściła i teraz zwisała załóżnie między drzwiami a ścianą klatki schodowej. Komisarz ujął skrzydło dwoma palcami i nieco je odchylił, nie dotykając klamki. Po chwili podniósł wzrok. Schody prowadziły jeszcze pół piętra wyżej i kończyły się przy żelaznych, otwartych teraz drzwiach.

- Wejście na strych - poinformował dozorca w odpowiedzi na pytające spojrzenie komisarza. - Otworzyłem je i uniosłem świetlik, aby lepiej ciągnęło.

- A zatem drzwi na strych były zamknięte?

- Zamknięte, jakżeby inaczej. Musiałem zejść na dół po klucz.

- Hm - mruknął głęboko zamyślony Palmu. - No dobrze, trzeba iść obejrzeć denatkę. Przykra historia.

- Przykra historia - powtórzył listonosz, a dozorca mruknął coś pod nosem, co brzmiało tyleż jak przekleństwo, ile dziękczynienie. Nietrudno było się domyślić, że nie będzie mu brakować pani Almy Skrof.

Palmu już miał wkroczyć do sieni, gdy z pokoju w głębi korytarza wyszedł starszy mężczyzna w płaszczu z niewielką torbą w ręku. Komisarz przedstawił się i przywitał z doktorem Markkolą. W małym mieszkaniu wciąż jeszcze unosiła się nieprzyjemna woń gazu.

Doktor z pewną niechęcią ruszył za komisarzem z powrotem do pokoju. Ara został na straży, aby nikt niepowołany nie wszedł do mieszkania, listonosz zaś, wyraźnie zawiedziony brakiem perspektyw na dokładniejszą inspekcję miejsca tragedii, przypomniał sobie nagle o swoich obowiązkach i szybko się oddalił, podyktowawszy wpierw posterunkowemu personalia i adres. Ja stałem w sieni, czyniąc własne spostrzeżenia.

Małe mieszkanie robiło wrażenie posępnego i staromodnie urządzonego.

Otwarte drzwi po lewej stronie sieni prowadziły do pokoju z oknami od ulicy. Starając się niczego nie dotknąć, wszedłem do środka i szybko zlustrowałem wnętrze. Proste, wąskie łóżko było zasłane i nietknięte. Staromodna toaletka i znajdujące się na niej drobiazgi, oraz kostium zwisający na ramiączku z futryny służbówki mówiły, że to pokój młodej kobiety. Na małej półce - w irytująco regularnym rzędzie - stały książki. Nad łóżkiem wisiała czarna tektura z wypisanym srebrnymi literami aforyzmem: „Którzy we łzach sieją, żać będą w radości”. Zapewne okoliczności sprawiły, że zawarta w nim myśl nieszczególnie do mnie przemówiła. Gdy tak patrzyłem na tę klasztorną prostotę i męczącą schludność pokoju, w którym nigdzie nie mogłem się dopatrzeć żywszej barwy, najmniejszego śladu osobowości i młodzieńczej radości życia, mój umysł omroczyła instynktowna niechęć do starej kobiety, której zimne zwłoki spoczywały w drugim pokoju.

Wróciłem do sieni. Był to długi i wąski korytarz. W głębi dostrzegłem drzwi z szybą z ciemnego szkła, które prowadziły do łazienki. Tuż przed nimi, po prawej stronie korytarza, poskrzypywały w przeciagu drzwi kuchni. Gdy wszedłem do środka, zobaczyłem trzepoczącą firankę. Od razu rzuciła mi się w oczy stojąca na piecu archaiczna kuchenka gazowa. Miała dwa kurki, a kiedy się jej nie używało, można ją było zawiesić pionowo na ścianie. Teraz jednak stała na fajerce, jak gdyby nadal była w użyciu. Obok niej stał biały półlitrowy garnuszek, pokryty mocno już wytłuczoną emalią, z zastygłą na dnie resztką owsianki. Na cynkowej płycie przy zlewie leżały brudny talerz i łyżka. Ważniejsze jednak wydało mi się spostrzeżenie, że jeden z dwóch palników kuchenki pokryty był brązowym kożuchem spalonej kaszki, która wyprysnęła także na płytę pieca.

A więc to tak. Zdaje się, że moja wielka sprawa spaliła na panewce - zupełnie jak ta kaszka na palniku. Wszystko bowiem wskazywało na to, że wieczorem pani Skrof gotowała lub też podgrzewała na gazie owsiankę w blaszanym garnuszku. Kiedy wyszła z kuchni, kaszka wykipiiała i zgasiła płomień. Starowina zestawiła naczynie na płytę zlewu - zachował się na niej całkiem wyraźny ślad - i na śmierć zapomniała zakręcić kurek. W nocy gaz rozszedł się z kuchni po całym mieszkaniu i...

Ale dlaczego pani Skrof go nie wyczuła?

3

Doktor Markkola wygłasza kwestie medyczne i socjopsychologiczne. • Kobieta, która bała się przeciągu. • Mały, niewinny lek nasenny i zatroskany lekarz. • Pies szczeka zza grobu.

Na to pytanie niezwłocznej odpowiedzi udzielił doktor Markkola. Gdy z małej kuchni wszedłem prosto do pokoju pani Skrof, mówił on właśnie komisarzowi Palmu:

- Nie jest to bynajmniej dziwne, że nie wyczuła gazu. Trzy lata temu wycięto jej wole i ta trudna operacja niemal całkowicie pozbawiła ją węchu. Nie zdarza się to wcale aż tak rzadko. Wielu pacjentów z początku w ogóle tego nie spostrzega.

- Hm - mruknął zamyślony Palmu.

Po ambitnym zapale, który na chwilę zajął mój umysł, pozostał jedynie zimny, szary popiół. To był zwyczajny nieszczęśliwy wypadek, koniec, kropka. Doktor i komisarz stali plecami do mnie, przysłaniając częściowo łóżko. Podszedłem do nich powoli; było mi przykro i czułem się zgnębiony. Stałem obok Palmu i oto, co zobaczyłem:

W łóżku leżała na wznak starsza kobieta. Jej ramiona spoczywały spokojnie na zupełnie niemal gładkiej kołdrze, starannie nasuniętej na piersi. Pokryta siwymi, przerzedzonymi włosami głowa nieznacznie się przekrzywiła, powieki były spuszczone, a szczeka opadła na tyle, że zamknięte usta rozwarły się nieco, jak gdyby starszej pani przyśniło się coś dziwnego. Twarz jej wyraźnie zsiniała. Nie spodobało mi się to wychudłe, bezwzględne oblicze, choć w martwych rysach zastygł jakiś przerażający humor. Jestem jeszcze stosunkowo młody, mam dopiero dwadzieścia dwa lata - aż wstyd się przyznać - i nie widziałem w życiu zbyt wielu nieboszczyków. Moja wyobraźnia postawiła przede mną przerażający w swej żywości obraz niewidzialnej śmierci, która pod osłoną nocy z otwartego kurka kuchenki gazowej rozpełza się morderczo po wszystkich pomieszczeniach.

- Udusiła się w łóżku w czasie snu, nie cierpiała - stwierdził doktor Markkola. - Proszę zwrócić uwagę na zsinienie twarzy, panie komisarzu, i zerknąć na małżowinę. Co prawda, zatrucia gazem nie należą do zakresu mojej specjalności, już bardziej choroby wewnętrzne, cha, cha! - Zażenowany doktor zachłysnął się nagle niewytłumaczalnym parsknięciem. - Ale sprawa jest jasna jak słońce. Jeżeli pan komisarz uzna to za stosowne, oczywiście mogę się skontaktować z jednym ze swoich kolegów, lecz jak już powiedziałem...

- Zamknijże wreszcie okna! - warknął do mnie przez ramię rozdrażniony Palmu. - Ten cholerny przeciąg za chwilę wywieje mi duszę z ciała! Przecież tu już nie ma gazu! - A zwracając się znów do doktora, podjął grzeczniejszym tonem: - Można by jednak sądzić, że normalny człowiek odczuwa niepokój albo mdłości, gdy pomieszczenie wypełnia się gazem?

- To wcale nie jest powiedziane - pospieszył z odpowiedzią doktor. - Chyba mógłbym nawet panu wytłumaczyć, jak się to wszystko odbyło. Otóż pani Skrof skarżyła się na bóle brzucha, sam pan zresztą widzi, jaka jest chuda. A jeśli rzeczywiście miała zepsuty żołądek, to winić za to należy wyłącznie te bezmyślne posty, którym się oddawała z pobudek religijnych...

- A nie ze skąpstwa? - mruknął Palmu pod nosem, jak gdyby mówił do siebie.

Doktor lekko poczerwieniał.

- Pani Skrof rzeczywiście była dość... tego... oszczędna - odparł, nieco poirytowany. - Nie sądzę jednak, by akurat w tym względzie miało to jakieś znaczenie. Kobieta, której roczne przychody przekraczają milion marek, raczej naje się do syta, choćby nawet była oszczędna.

- Fiu, fiu! - Palmu wydał z siebie cichy gwizd uznania. Ja także podskoczyłem. Bo też to małe, od dawna nieremontowane mieszkanie ze staromodnymi, podniszczonymi krzesłami z pluszowym obiciem bynajmniej nie wyglądało na dom milionerki. Oburzony doktor zamilkł i zaczął wkładać rękawiczki, jak gdyby szykował się do wyjścia.

Palmu udobruchał go jednak w kilku słowach i poprosił o dokończenie myśli.

- Więc dobrze - podjął nieco zeźlony doktor. - Pani Skrof cierpiała na chorobę żołądka. Przepisałem jej lekką dietę. Narzekała, że przed pójściem na spoczynek często ją ssie. Dlatego, w razie gdyby poczuła wieczorem głód, zaleciłem jej przekąsić nieco ciepłej owsianki lub kleiku. A potem zażyć tabletkę nasenną - małą, zupełnie niewinną dawkę, panie komisarzu - skarżyła się bowiem niekiedy na silne pobudzenie w ciągu dnia. Kilka łyżek kaszki i słaba dawka leku na uspokojenie przed snem, to tak jakby się człowiek otulił w ciepły kocyk, panie komisarzu. Sam tak robię.

Palmu nieco obcesowo kazał mu przejść do rzeczy. Doktor zatem przerwał rozważania o osobistych zabiegach pielęgnacyjnych i wrócił do tematu:

- Wczoraj wieczorem pani Skrof była zapewne sama w mieszkaniu i przed pójściem do łóżka poszła podgrzać sobie kaszkę. Robi to zazwyczaj panna Skrof, kiedy jest w domu. Szczęście w nieszczęściu, że tym razem jej nie było. - Doktora zmieszała nieco niekonsekwencja własnego wywodu, niemniej podjął mężnie: - Po podgrzaniu kaszki pani Skrof zapomniała zakręcić kurek gazowy, pewnie zażyła tabletkę i poszła prosto do łóżka.

Niewykluczone, że drzwi do kuchni były zamknięte, więc zdażyła zapaść w głęboki sen, zanim gaz przedostał się do jej pokoju. Poza tym lotny gaz wypełnia najpierw górną część pomieszczeń. To też musiało trochę trwać.

- Od jak dawna, pańskim zdaniem, kobieta nie żyje? - zapytał Palmu z niezrozumiałą dla mnie szorstkością.

- Taa - doktor ukrył niepewność w manierze profesjonalisty roztrząsającego interesujący problem. - Rigor mortis nie wystąpił jeszcze w pełni. Choć trzeba oczywiście wziąć pod uwagę fakt, że ciało było okryte. Ciepła kołdra, taa. Powiedziałbym, że zgon nastąpił pomiędzy godziną dwudziestą trzecią a pierwszą.

- Kiedy noc jest najciemniejsza - rzekł Palmu z nieobecny wyrazem twarzy i bez żadnego związku z tym, co właśnie powiedziano. - Także specjalista z gazowni mógłby z przybliżeniem odczytać zużycie gazu minionej nocy i na tej podstawie określić, kiedy pani Skrof poszła spać.

- To nie będzie potrzebne - odparł oschle doktor. - Pani Skrof kładła się spać dokładnie o godzinie dziesiątej, dzień w dzień. Prowadziła bardzo regularny tryb życia i nie widzę żadnego powodu, dla którego wczoraj miałaby odstąpić od tego zwyczaju.

- Nie dziwi pana, że pies nie zaczął się denerwować? - zadumał się komisarz Palmu, odstępując nieco na bok.

Dopiero wtedy dostrzegłem martwego psa, którego zasłaniało mi do tej pory wezłowie łóżka. Leżał na podłodze na brudnej poduszce ze sztywnymi nogami i głową leniwie odgiętą do tyłu, a jego oczy wciąż miały żywy, obrzydliwy poblask. Był to tłusty do nieforemności jamnik z posiwiałym ze starości pyskiem.

- Pies? - Doktor obrzucił biedne stworzenie spojrzeniem pełnym nieskrywanej niechęci. - Ech, ten diabelny kundel na starość zupełnie zgłupiał. Kulał jak stary podagryk, ale iskry mu nie brakło. Gdy tylko zadzwonił dzwonek u drzwi albo w aparacie telefonicznym, ten bydlak zaczynał ujadać tak głośno, że człowiek nie słyszał własnych myśli. Jeszcze się nie zdarzyło, by mnie nie capnął za nogawkę, kiedy tu przychodziłem. Jestem przekonany, że wszyscy lokatorzy kamienicy, bez wyjątku, nienawidzili go z całego serca. Żał mi było panny Skrof, bo codziennie rano i wieczorem musiała wyprowadzać tego gnojka na dwór. Na jedzenie dla niego jego pani nie oszczędzała, w końcu jej pies pościć nie musiał. Niejedno biedne dziecko...

Doktor jeszcze przez chwilę wygłaszał pewną kwestię socjopsychologiczną, lecz umilkł, kiedy spostrzegł, że nikt go nie słucha. Komisarz stał już na środku pokoju i rozglądał się badawczo dokoła. Mój wzrok wędrował za jego spojrzeniem.

Pośrodku pokoju okrągły stół przykryty szydełkowym obrusem. Na nim Biblia i postylla oraz kilka książek - z wyglądu religijnych. Wokół stołu cztery krzesła obite pluszem, w ścisłym geometrycznym układzie. Trochę z boku biurko, mocno podniszczone, a na nim aparat telefoniczny, gruba księga rachunkowa i jakieś papiery.

Dwa okna tworzyły staromodny wykusz. Jego obrys przypominał ścięty w połowie wysokości trójkąt równoboczny, którego płaski krótki bok zajmowały prowadzące na mały balkon podwójne przeszklone drzwi. Okna po tej stronie mieszkania wychodziły na tył kamienicy. Na głębokości dwóch pięter leżało w dole ogrodzone murem podwórze z zaniedbanymi alejkami, trawnikiem, który po niedawnej odwilży zaczął się już trochę zielenić, oraz nagimi krzewami. Po bokach rozpościerały się podwórza sąsiednich kamienic, naprzeciwko zaś wznosiła się szerniała, ceglana ściana starej fabryki, w której widniało kilka zakurzonych okien.

- Okna wewnętrzne nienaruszone - wyliczał pod nosem komisarz Palmu. - W lufciku gumowe uszczelnienie. Pozostałe okna zaklejone papierem. Natrudził się posterunkowy Ara, nim je wreszcie pootwieriał. No, ale miał w końcu maskę gazową, nie musiał się spieszyć. Tylko dlaczego nie otworzył drzwi balkonowych?

Posłusznie zrobiłem krok w stronę balkonu, lecz Palmu powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Co nagle, to po diable - powiedział i pierwszy przystąpił do drzwi.

Włożywszy rękawiczki, przekreślił do samego dołu kłamkę uszczelnionych gumą drzwi wewnętrznych i bez trudu je otworzył. Drzwi zewnętrzne były zamknięte na klucz. Zamek był zwyczajny, ale klucza w nim nie było, dziurkę zaś zatkało dokładnie watą.

Doktor przyglądał się poczynaniom komisarza z nieznacznym uśmiechem.

- Zdążył pan już pewnie spostrzec, że pani Skrof bała się przeciągów - rzekł złośliwie.
- Gumowe uszczelki we wszystkich oknach zauważył pan chyba zaraz po wejściu. Nawet dziurkę od klucza w drzwiach balkonowych dokładnie zatkała wata. Zimą nie korzystała z balkonu w ogóle, a latem też chyba nie, o ile mi wiadomo.

Palmu wychylił się z okna. Poniżej, na parterze i na pierwszym piętrze, znajdowały się takie same balkony. Powyżej widniał gzyms, a nad nim czyste niebo. Komisarz westchnął i odwrócił się do doktora.

- Tak, chyba nie mamy tu już nic do roboty - powiedział z ociąganiem, odstępując od okna i zbliżając się do łóżka, w którym pod kołdrą leżały nieruchome zwłoki. - Nadmiernie pana doktora fatygowałem. Akt zgonu do protokołu proszę łaskawie przesłać do mnie do wydziału, jak zawsze, zna pan przecież doskonale wszystkie procedury. Zwłoki musimy

oczywiście przenieść... hm... do naszego prosektorium, dopóki nie dostaniemy... hm... zgody na pochówek. Będziemy, rzecz jasna, robić wszystko, co w naszej mocy, aby przyspieszyć te wszystkie pożałowania godne formalności. Zapewniam pana, że mój przełożony, porucznik Hagert, postępuje w podobnych przypadkach z nadzwyczajnym taktem.

Doktor Markkola wyraził zrozumienie, kiwając kilkakrotnie głową, po czym podniósł z podłogi swoją torbę. Komisarz podszedł do nocnego stolika przy łóżku i zaczął oglądać stojącą obok karafki z wodą baterię flakoników.

- Miała kobieta całkiem niezły arsenał do... hm... samo leczenia - zauważył całkiem niewinnie. Doktor obrócił się w jego stronę.

- No tak, słaby żołądek, podrażnienie gardła, na wiosnę lekki bronchit, podenerwowanie, jak to zwykle u kobiet w podeszłym wieku - wyliczył doktor z niejaką niechęcią.

- I mała, słaba, niewinna pigułka nasenna - rzekł powoli Palmu z morderczą złośliwością, unosząc ostrożnie szklaną fiolkę między kciukiem i palcem wskazującym. - Pantofon - odczytał z etykiety, przeciągając sylaby. - Receptę najwyraźniej oderwano, bo, o ile mi wiadomo, leki tego rodzaju wydaje się wyłącznie z przepisu lekarza.

Doktor Markkola wyraźnie się spieszył, choć starał się zachować beztroski ton.

- Recepta na pewno jest w szufladzie stolika. Jest ich tam zresztą cała sterta. Pani Skrof zmieniała leki jak bluzki, co najmniej raz w tygodniu...

- ...Aha, więc tak, więc jednak uznała, że będzie jej potrzebny - podjął doktor po chwili namysłu. - No tak, sprawa jest bardzo prosta, panie komisarzu. Pantofon rzeczywiście jest, jak pan może wie... taa... bardzo silnym lekiem uspokajającym...

- Pochodnym morfiny - mruknął Palmu pod nosem.

- Swego czasu przepisałem pani Skrof zwyczajną, łagodną mieszaninę bromków. Lecz ostatnio była rzeczywiście bardzo podenerwowana. Podejrzewam, że miała jakieś zmartwienia rodzinne. Na przykład jej bratanek, młody Lankella... no, ale to są tylko plotki. A i panna Skrof bywa porywcza i działa czasem bezmyślnie. O ile ją rozumiem, pani Skrof bardzo się martwi... martwiła... o ich dusze. Przedwczoraj przyszła do mnie z prośbą o przepisanie mocnego leku nasennego. Powiedziała, że przez te nerwy odchodzi już od zmysłów. Była to oczywiście czcza gadanina, bo pani Skrof była w gruncie rzeczy kobietą nadzwyczaj opanowaną, panie komisarzu.

- A zatem to pan przepisał jej pantofon? - Palmu przeszedł do meritum.

- Musi mnie pan zrozumieć, panie komisarzu - jęknął doktor Markkola. - Ja ją ostrzegałem, że tabletkę pantofonu wolno jej zażyć wyłącznie po dniu wyjątkowo

wyczerpującym, obfitującym w ciężkie przeżycia i tylko po upewnieniu się, że inaczej nie zaśnie. Powiedziała mi, że chce mieć po prostu na podórzedziu środek, który pozwoliłby jej zasnąć. Dodała, że w nerwach się zapomina, że raz nawet zgubiła na ulicy pieniądze. Że śnią jej się koszmary. Może trochę z tym przesadzała, niemniej sen był dla niej rzeczą świętą. Kiedy była wyspana, wszystko układało się po jej myśli. Natomiast gdy spała źle, nie nadawała się rzekomo do niczego. Poza tym w fiolce znajduje się tylko dziesięć tabletek. No i pantofon jest bezpieczny, bo nie odurzy dorosłego człowieka. Istnieje jedynie niebezpieczeństwo, że pacjent, który się do niego przyzwyczai, będzie chciał zażywać go codziennie - tak jest ze wszystkimi mocnymi środkami nasennymi. Ale nawet dziesięć tabletek nie doprowadziłoby pani Skrof... taa... do czegokolwiek.

- A zatem dwa dni temu to pan przepisał pantofon pani Skrof - podsumował spokojnie Palmu. - W tej chwili w fiolce brakuje dwóch tabletek. To oznacza, że pani Skrof zażyła tabletkę przedwczoraj wieczorem i kolejną wczoraj. Najprawdopodobniej dziś wieczór, gdyby żyła, zażyłaby następną, i podobnie jutro. Innymi słowy, zaczęła używać mocnego leku nasennego. Prawdopodobnie bez wyraźnego powodu, jak wywnioskowałem z pańskich słów.

- Niechże pan nie będzie taki drobiazgowy, panie komisarzu! - Maska opanowanego, doświadczonego lekarza nagle opadła i zobaczyłem przed sobą najzwyczajniejszego zdenerwowanego człowieka. - Zapisałem jej ten pantofon, bo najprawdopodobniej i tak dostałaby go od innego lekarza. Nie wiem, dlaczego tak się uparła akurat na ten lek. Pamiętam, że wspominała, jakoby ktoś jej go polecił. Byłem trochę zły, gdyż pantofon nie jest bynajmniej niewinnym środkiem nasennym, cóż jednak mogłem zrobić? Pani Skrof była kobietą bardzo upartą, a ja nie chciałem tracić dobrej klientki z banalnego powodu. Nie daje mi spokoju tylko to, że może... może nie spałaby tej nocy tak ciężko, gdyby zażyła wieczorem zwyczajny brom. Może by się obudziła...

- Rozumiem pana - Palmu nagle stał się znów zupełnie ludzki. - Proszę się nie martwić, panie doktorze. Zapewne każdy lekarz postąpiłby tak samo na pana miejscu. Do nieszczęścia doszłoby przypuszczalnie i bez tego leku.

Tak długo nic nie mówiłem, że w końcu i ja poczułem potrzebę zabrania głosu. W kilku niewinnych słowach zwróciłem ich uwagę na pewien drobiazg, który pozwalał lepiej zrozumieć, jak doszło do nieszczęścia. Przeszliśmy wszyscy do kuchni, gdzie z dumą pokazałem ślady po owsiance na płycie kuchennej.

- Dobrze pomyślane, dobrze pomyślane! - przyznał Palmu, spojrzał na mnie badawczo i uśmiechnął się przelotnie. Byłem dumny ze swej spostrzegawczości. Doktor Markkola sprawiał wrażenie, jak gdyby kamień spadł mu z serca.

- No tak, to zapewne ostatecznie wyjaśnia sprawę - powiedział. - To oczywiście strasznie przykra historia. Ale teraz muszę już panów opuścić, gdyż o dziesiątej otwieram praktykę. Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, panie komisarzu, będę uchwytany pod telefonem.

I doktor Markkola wyszedł. Zamyślony Palmu przeszedł do pokoju panny Skrof i utkwiał spojrzenie w nietkniętej pościeli. Smród gazu był tam najmniej dokuczliwy.

- To rzeczywiście szczęście, że dziewczyny nie było w domu - zauważyłem. - Ile też lat...?

- Pani Skrof liczyła sześćdziesiąt dwa lata - powiedział Palmu ciepło. Twarz zaczęła mnie piec, bo bynajmniej nie miałem na myśli denatki. Palmu dobrze o tym wiedział i uśmiechnął się po ojcowsku.

- Tak, tak, młodość. Młodość! - rzekł przygnębionym głosem i wyjrzał przez okno na ulicę. Przed wejściem do klatki stało kilka osób i zadzierało głowy do góry. Dozorca coś opowiadał, jego żona zaś rozkładała ramiona, podkreślając wymowę tej wstrząsającej historii. Komisarz uśmiechnął się gorzko i zamknął okno.

- Już się zlatują kruki do padliny - stwierdził. - Nic tak nie pobudza ludzkiej ciekawości jak śmierć bliźniego.

Do sieni zajrzał zniecierpliwiony posterunkowy Ara. Czuł się bez powodu odstawiony na boczny tor. Palmu wyszedł do niego.

- Wszystkie okna były zamknięte i uszczelnione, a haczyki oczywiście na swoim miejscu, zgadza się? - zapytał.

Ara przytaknął.

- Drzwi balkonowe były zamknięte na klucz, tak, że nie udało się wam ich otworzyć. Próbowaliście?

- Były zamknięte, klucza w zamku nie było, bo dziurkę zapchano watą, musiało pewnie wiać. Klucz jest na pewno w którejś szufladzie, ale go nie szukałem. Z okien ciągnęło wystarczająco dobrze - Ara zrelacjonował przebieg akcji z żołnierską zwięzłością.

- Spostrzegawczość na pięć z plusem - pochwalił go Palmu. - A zatem na klamce drzwi balkonowych są teraz odciski waszych mocnych palców - powiedział wolno. Twarz Ary, przed chwilą jeszcze ozdobiona szerokim uśmiechem, nagle sposepniała. Widząc to, Palmu czym prędzej go uspokoił: - To nic. Postąpiliście najzupełniej słusznie. A teraz spróbujcie jakoś zamknąć drzwi od mieszkania i stańcie na straży na klatce schodowej. Jeśli ktoś się pojawi i zapyta o panią Skrof, niezwłocznie mnie o tym zawiadomcie. Tymczasem my z chłopakiem odpoczniemy sobie trochę po tej harówce.

Zerknąłem niecierpliwie na Palmu, nie mając pojęcia, do czego pije. Spojrzał na mnie ze smutkiem, kącik jego ust naznaczył dziwny rys cierpienia.

- Odpowiedzialność ciąży - wyjaśnił. - A nam nigdzie się nie spieszy. Zamknij no okna, powietrze jest już zupełnie czyste, a ja nie chciałbym dostać zapalenia płuc za te wszystkie trudy. Jeden trup w tej sprawie najzupełniej wystarczy.

- Dwa - zauważyłem. - Pan komisarz zapomina o psie!

- Nie, bynajmniej nie zapominam o psie - odparł Palmu nieobecny głosem. - Ale życie psa to nie to samo, co życie człowieka. Są ludzie dobrzy i ludzie źli, lecz nic na świecie nie ma ceny wyższej nad życie człowieka... A tak na marginesie: skoro już przyszło nam działać razem, chłopcze, możesz mi mówić po imieniu.

- Dziękuję, komisarzu! - powiedziałem z szacunkiem i pospiesznie zamknąłem okna na haczyki.

Propozycja Palmu rozwiązała dość kłopotliwą dla mnie kwestię etykiety, on sam bowiem od pierwszej chwili bez zająknięcia mówił mi na ty, mimo że mąż mojej ciotki jest... No, mniejsza z tym. Nie starczyło mi odwagi, by zwracać się do niego inaczej niż: panie komisarzu. Miałem wrażenie, że sprawiało mu to ukrytą przyjemność.

Kiedy wróciliśmy do pokoju pani Skrof, Palmu wysunął spod stołu jedno z owych archaicznych, obitych pluszem krzesel i usiadł ze wzrokiem wycelowanym w łóżko denatki. Ja stałem, nie mógłbym spokojnie usiedzieć.

- Tak w ogóle to na imię mi Frans - powiedział komisarz na poły do siebie. - Co prawda, jestem już po pięćdziesiątce, lecz ciężko bym znosił, gdybyś mi mówił: wujek Palmu. Kiedy dzieci Hagerta tak na mnie wołają, to mam wrażenie, że stoję już nad grobem.

Przez chwilę siedział zamyślony ze spojrzeniem utkwionym w łóżku, gdzie w bladym świetle padającym z północnych okien mieszkania twarz zmarłej majaczyła siną poświatą.

- Cóż sądzisz o tej sprawie? - zagadnął niespodziewanie głosem przenikliwym i napiętym, całkowicie zarzucając ów jowialny ton, którym zazwyczaj podszywał się podstępnie pod dobrodusznego starego niezgułę.

- Co niby ja... sądzę? - wyjąkałem, zdumiony i zażenowany. - Sprawa jest jasna, zdaje się. Drzwi i okna zaryglowane od środka, wszystko w mieszkaniu w największym porządku. Ślady owsianki tłumaczą, jak zgasł płomień. Może pani Skrof, czekając na przygrzanie się kolacji, robiła coś w pokoju. Kaszka wykipiała, kobieta pospieszyła do kuchni, aby zestawić garnuszek na płytę przy zlewie, i zaaferowana oparzoną palcem zapomniała zakręcić kurek z gazem. Kuchnię prawdopodobnie zajmowała się córka, więc pani Skrof zapewne nie radziła sobie w niej za dobrze.

- Dlaczego nie umyła płyty ani kuchenki? - rzucił Palmu surowo.

- Może była zmęczona i zdenerwowana, że nie dopilnowała kaszki, więc postanowiła zaczekać z tym do rana - posłusznie podsunąłem wyjaśnienie.

- Młodzi mężczyźni, którym w domu podtyka się pod nos gotowe jedzenie, nie mają bladego pojęcia o dokuczliwościach prawdziwego życia - rozpoczął wykład Palmu. - Ale podstarzały policjant, który z mizernej pensji musi wyżyć bez gosposi, wie doskonale, że nie ma rzeczy obrzydliwszej od kaszki, która wykipiała na kuchenkę gazową i do tego zdążyła już przyschnąć. Takiego paskudztwa sam diabeł nie doczyści. Choć, przyznaję, jest to raczej drobiazg.

- Mieszkanie jest rzeczywiście aż nieznośnie schludne - przyznałem niepewnie. - Chyba zauważył... zauważyłeś, na przykład, że kurze starto z przerażającą dokładnością, a każdy przedmiot ma tu swoje miejsce, do tego stopnia, że nogi krzeseł zostawiły w podłodze precyzyjnie rozmieszczone ślady. Zważywszy na to wszystko, można się oczywiście dziwić, że kobieta tak skrupulatna i wymagająca zostawia na kuchence wykipiałą kaszkę, lecz przecież doktor przed chwilą powiedział, że pani Skrof była poirytowana i zdenerwowana.

- Zdenerwowanie objawia się niekiedy właśnie skrajną pedanterią i nieznośną potrzebą bezustannego sprzątania - zauważył łagodnie Palmu. - Ale zostawmy tę sprawę. Tak czy owak, stawiam dziesięć do jednego, że gdy do mieszkania wparował posterunkowy Ara, wszystkie drzwi do sieni były zamknięte i jedynie te pomiędzy kuchnią a pokojem pani Skrof były otwarte, a w każdym razie uchylone. Idź, zapytaj, jeśli chcesz.

Niezupełnie rozumiałem, co mu chodzi po głowie. To oczywiste, że drzwi do pokoju panny Skrof były zamknięte, gdyż dziewczyny nie było. Tam też smród gazu był najmniej dokuczliwy. Lecz przecież zgodnie z przypuszczeniami doktora... No, w każdym razie wyszedłem do sieni i na klatkę schodową. Ara stał znudzony; na mój widok szybko ukrył za plecami zapalonego papierosa.

Posterunkowy był absolutnie pewien. Rzeczywiście, to on otworzył wszystkie drzwi. Jedynie drzwi prowadzące z kuchni do pokoju pani Skrof były do połowy otwarte.

- No i kto jej polecił ten pantofon? I dlaczego właśnie pantofon? - zapytał pod nosem Palmu, kiedy mu przedstawiłem zeznanie posterunkowego. - Choć z drugiej strony to jasne - podjął po chwili - że po jednej tabletce pantofonu nie zapadłaby w tak głęboki sen, żeby się nie obudzić, gdy...

- Gdy co? - zapytałem, bo przerwał w pół zdania, wpatrując się uparcie w ścianę nad łóżkiem pani Skrof.

- Jeśli znajdziesz w którejś szufladzie w tym pokoju klucz od drzwi balkonowych, dostaniesz markę - dokończył zagadkowo. - Nie, nie, mój chłopcze, odpowiedzialność ciąży; Hagert przed wyjściem wyraźnie mnie ostrzegął, abym nie narażał rodziny na przykrości. Cóż łatwiejszego, niż wyjść stąd teraz i sporządzić stosowny raport z wydarzenia? Wtedy wszystko byłoby w porządku. Oszczędziłoby to nam mnóstwa roboty, a wielu osobom zmartwień. Ale przeczytaj no, co mówią te srebrne literki na czarnej tekturze nad głową pani Skrof. Moje słabe oczy niedowidzą z tak daleka.

- Bóg widzi wszystko - odczytałem na głos z niewielkiego, spłowiałego arkusza, który wisiał nad stolikiem nocnym. Spojrzałem zdumiony na komisarza. Wydał mi się nagle bardzo poważny.

- Tak mówią, tak mówią - powiedział. - Policjant to nie Pan Bóg i wszystkiego nie widzi, czasem jednak i jemu uda się coś dostrzec. Dlatego też, chłopcze... czy już wybiła dziesiąta?

Zerknąłem na zegarek. Była dokładnie dziesiąta jeden.

- Należę do starej gwardii i w głębi duszy nigdy się nie pogodziłem z przesunięciem godziny rozpoczęcia pracy z dziesiątej na dziewiątą. Dziewiąta rano jest dla policjanta godziną nieprzyzwoitą, bo całą jego energię i myślenie paraliżują resztki snu. Zakładam jednak, że chłopcy zdążyli już przeczytać gazetę, pogrzebać w zębach i opowiedzieć, kto gdzie wczoraj wieczorem wychylił parę kufelków, tak, że wróciła im ochota do pracy. Już czas, chłopcze. Tam stoi aparat. Zadzwonił po chłopaków z komisji zabójstw. Niech tu zaraz przyjadą z tymi swoimi fotomaszynami i proszkami do odcisków palców. Co prawda, zbędna to robota, ale ją także musi ktoś odwalić. Mamy bowiem do czynienia z morderstwem niezwykłym, jakie się trafia może raz na dziesięć lat.

- Ty zwaa... komisarz zwariował! - wyjąkałem z bezbrzeżnym zdumieniem, zdołałem jednak posłusznie postąpić krok w stronę telefonu.

- A wszystko przez jedną małą psinę! - wyrzekł Palmu z nutą przygnębienia w głosie. Wstał i podszedł do brudnej poduszki, by spojrzeć na zeszywniały ze- włók starego jamnika.

- Piesku mój mały - powiedział z szacunkiem. - Nie mogłeś uratować życia swojej pani. Jednak jej mordercę ty właśnie, ty jeden wyślesz do twierdzy na resztę życia. W naszym kraju bowiem, niestety, kary śmierci się nie wykonuje.

4

Dlaczego akurat pantofon? • Martwy pies jest gorszy od żywego lwa. • Na scenie pojawia się na chwilę kaznodzieja Mustapaa i równie szybko znika. • Mecenas Lanne przeciera okulary. •

Gdzie jest panna Skrof?

Odkładając słuchawkę na widełki aparatu, który stał na mocno podniszczonym biurku pani Skrof, miałem świadomość, że w ciągu minuty sprzed komendy ruszy ustawiona skośnie do ulicy czarna limuzyna. W środku zasiądzie pięciu doskonałych fachowców i chociaż samochód jest już nieco sfatygowany, jego zawodząca syrena utoruje mu drogę nawet przez najruchliwsze ulice.

Przyklęknałem przy komisarzu i spojrzałem na truchło jamnika.

- Każdy morderca popełnia błąd - oświadczył poważnie Palmu. - To w tej branży prawo, które nie zna wyjątków. Co najwyżej może się zdarzyć, że policjant te błędy przeoczy. Morderca pani Skrof popełnił błąd z tym psem. Widzisz?

Przyjrzałem się psu. Jego szklane oczy wpatrywały się we mnie ze złośliwym błyskiem. Leżał na poduszce na boku, z przekrzywioną szyją i łbem sztywno wygiętym do tyłu. Pokręciłem pytająco głową.

- Ma otwarte oczy, bo spotkała go nagła, paskudna śmierć - powiedział Palmu. - Są też wybałuszone, a to dlatego, że ma skręcony kark. Sam zresztą widzisz to nienaturalne ułożenie głowy. Na dodatek morderca położył go na poduszce. To kolejny błąd. Gdyby pies poczuł gaz i się obudził, zacząłby biegać nerwowo po pokoju, wszedł pod łóżko albo schował się w najciemniejszy kąt. Wówczas może zdechłby z otwartymi oczami. Ale w tym pokoju doszło do krótkiej, zażartej walki. Gdzieś na podłodze znajdują się na pewno ślady po pazurach psa szamoczącego się z mordercą. Nie sądzę, by zdążył zaszczekać więcej niż dwa razy.

- To obudziłoby panią Skrof - odważyłem się zaoponować.

- To obudziłoby panią Skrof, choćby nawet zażyła tabletkę pantofonu - przyznał Palmu. - Tak się jednak nie stało. W tym względzie morderca nie mógł się zdać na przypadek. Otwarcie zwłok wykaże, dlaczego wejście mordercy jej nie obudziło. Morfinę od pantofonu trudno odróżnić. Tak, morderca pani Skrof był bardzo przebiegły.

- Jesteś pewien, że pies ma skręcony kark? - zagadnąłem. W ułożeniu głowy nie dostrzegłem niczego podejrzanego.

Komisarz z pewnym trudem przyklęknął obok mnie i tak mocno wygiął do tyłu łeb psiny, że jego czubek zetknął się z kręgosłupem. Odwróciłem głowę i dostrzegłem posterunkowego Are, który ostrożnie zapuszczał żurawia do pokoju. Na jego twarzy malowało się niejake zdziwienie.

- Macie pukać przed wejściem! - warknął Palmu i podniósł się niezdarnie z całą godnością, na jaką go było stać w zaistniałej sytuacji.

- Przyszedł kaznodzieja Mustapaa. Zabroniłem mu wchodzić do środka i przyszedłem zawiadomić pana komisarza, zgodnie z rozkazem.

W tej chwili do naszych uszu dobiegł stłumiony przez ściany jęk syreny ekipy z komisji zabójstw. Palmu spojrział na mnie ze smutkiem i pokręcił głową.

- Mogłeś im powiedzieć, żeby nie włączali tej trąby jerychońskiej - warknął. - Za pięć minut zleci się tu cała dzielnica. - Było już jednak za późno na wyrzuty. Palmu zwrócił się do Ary: - Zbiegnijcie na dół i trzymajcie ciekawskich z dala. Kaznodzieją sam się zajmę.

Przeszliśmy do korytarza. Przez niedomknięte drzwi, z jedną nogą za progiem mieszkania, zaglądał do środka korpulentny, bladolicy mężczyzna, który czarnym płaszczem, wysokim, sztywnym kołnierzykiem i miękkim czarnym kapeluszem usiłował przydać sobie duszpasterskiej godności. Na nasz widok wycofał się szybko na klatkę schodową i z szacunkiem zdjął kapelusz. Jego napuchnięta twarz wyglądała jak gomółka sera. Z jasnych niebieskich oczu ziało osobliwą martwością i chłodem. Powitawszy komisarza, podał mi miękką, sflaczałą dłoń.

- Jestem głęboko wstrząśnięty tą tragedią - powiedział świdrującym głosem kaznodziei. Lub wytrawnego aktora. - Pani Skrof była niejako duszą naszego zgromadzenia, jego filarem, że pozwolę sobie użyć takiego wyrażenia, w tych światowych czasach, gdy nawet osoby starsze tak często odwracają się ku doczesnej marnośći lub szukają schronienia u płatnych pasterzy obłudnego kościoła. Jestem załamany, gdyż utraciłem przyjaciółkę i sprzymierzeńca, zarazem jednak moje serce śpiewa hymn dziękczynny, jej udręczona dusza bowiem wstępuje właśnie na niebieskie pokoje, do wiekuistego Betlejem, którego ledwie błada poświata...

- Przejdźcie!

Na najwyższe piętro weszło tymczasem pięciu mężczyzn, którzy stali teraz przed progiem mieszkania pani Skrof, słuchając mimowolnie tej odstręczającej przemowy. Przerwał ją w końcu brutalnie detektyw Kokki, depcząc kaznodziei po palcach i meldując komisarzowi o przybyciu ekipy. Mustapaa zamilkł w pół słowa i popatrzył mściwie dokoła.

Palmu skinął mi głową, bym wziął na siebie kaznodzieję, sam zaś ruszył z powrotem w głąb sieni i cichym głosem zaczął udzielać Kokkiemu instrukcji. Kaznodzieja zwrócił się teraz do mnie, szepcząc teatralnie, jak gdyby nie chciał zakłócać spokoju zmarłej:

- A panna Skrof?

Pokręciłem głową, nie mówiąc ani słowa. Starłem się podsłuchać polecenia komisarza.

- Jak wypędzujecie i obfotografujecie pokój, spróbujcie otworzyć drzwi na balkon. Ale biada temu, kto waży mi się tam wejść, zanim porobicie zdjęcia. Weźcie płyty specjalne. To jedyne miejsce, skąd możemy ściągnąć dobre ślady butów. Po pokoju łąziło już czterech ludzi.

Ostrożnie odsunąłem kaznodzieję od drzwi. Wybałuszył oczy, jego twarz wyrażała czyste przerażenie. Wreszcie wyjąkał:

- Nic nie rozumiem... Dlaczego pan komisarz...? Nagłe, zanim zdążyłem złapać go za klapy, jak opętany rzucił się w dół po schodach. Wychyliłem się przez poręcz - zbiegał wielkimi susami, za nim łopotały szaleńczo poły czarnego płaszcza.

Palmu wyszedł powoli z mieszkania i stanął przy mnie.

- Idiota - odezwał się ze złowróżbną łagodnością. - Po trzykroć idiota. Matoł.

Zupełnie nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

- Dlaczego? - odważyłem się zapytać.

Komisarz zatarł ręce.

- Nie wiem, nie mam pojęcia - przyznał szczerze. - W każdym razie mamy już pierwszą osobę, która ma niezbyt czyste sumienie, mimo kontaktów z wiekuistym Betlejem.

Powoli zeszliśmy na dół. Posterunkowy Ara stał przed drzwiami klatki 8A i bronił dostępu grupce ciekawskich, których ściągnęło pod kamienicę wyjące czarne auto.

- Dokąd to było tak spieszno panu kaznodziei? - zagadnął go Palmu spokojnie.

Ara zrobił głupią minę.

- Przecież poszedł na górę - odrzekł. - Zaraz też zbiegł z powrotem, aż się za nim kurzyło.

Palmu zrobił w tył zwrot i wmaszerował do środka. Z parteru klatki schodowej kilka bocznych stopni prowadziło do jakichś drzwi. Komisarz podszedł do nich i je otworzył. Znaleźliśmy się na podwórzu i już po kilku krokach stwierdziliśmy, że kaznodzieja Mustapaa musiał się ulotnić właśnie tamtędy, nie przeszkadzając posterunkowemu Arze w wykonywaniu obowiązków służbowych. Gapie na szczęście nie zmiarkowali jeszcze, że na klatkę można się dostać także od podwórza.

Komisarz zlustrował poprzerastaną trawą alejkę ciągnącą się po sam mur oddzielający podwórze od terenów fabryki, rozpościerających się naprzeciw kamienicy.

- Niech będzie pochwalony dozorca tego domu - powiedział złośliwie. - Tak wcześnie rano, a alejki trawniki już pięknie zamiecione. Ale nic to: jeśli zostały ślady, znajdziemy je na balkonie.

Spojrzeliśmy w górę. Wpuszczona w ścianę kamienicy żelazna drabinka przeciwpożarowa sięgała dachu, który od okapu wznosił się stromo, by dwa metry wyżej przejść w łagodny łuk. Od krawędzi wąskiego balkonu pani Skrof dzieliła ją odległość mniej więcej czterech metrów.

Z drzwi prowadzących na klatkę schodową wyszedł starszy mężczyzna z odkrytą głową. Przetarłszy okulary, podszedł do nas z zatroskaną twarzą i przedstawił się jako mecenas Lanne.

- Jeżeli pan komisarz miałby chwilkę, prosiłbym pana na momencik do mojego mieszkania - powiedział.

- Mieszkam na parterze i jestem prawnikiem pani Almy Skrof. Szczerze mówiąc, w ostatnich latach - nieco wbrew swej woli - załatwiałem niemal wszystkie jej sprawy bieżące. Jestem zaniepokojony z powodu tego... tego przykrego zdarzenia.

Palmu poinformował posterunkowego, gdzie będziemy, po czym udaliśmy się do mieszkania mecenasa Lannego. Gospodarz zasiadł za biurkiem i ześrodkował rozbiegane oczy na twarzy komisarza.

- Dlaczego ściągnął pan tu dodatkowych ludzi, panie komisarzu? - zapytał. - Czy to było... bezwzględnie konieczne?

Palmu spojrzał mu prosto w oczy. Mecenas, pozornie zatroskany i wciąż sumiennie wycierający szkła okularów, emanował osobliwą pewnością siebie. Takiego człowieka nie da się zbyć byle czym.

- Tak, to było... bezwzględnie konieczne - przyznał Palmu.

- Wiem, że helsińska policja bez wyraźnej przyczyny nie narażałaby rodziny na skandal - powiedział mecenas powoli, rozważnie dobierając słowa. - Zatem proszę pana jedynie, aby do ostatniej chwili unikać wszelkiego rozgłosu. Wiem, że prasa codzienna jest skłonna współdziałać z policją. Ufam, że zrobi pan w tej kwestii wszystko, co w pańskiej mocy.

Palmu skinął głową. Czekał na ciąg dalszy.

- Do tego... nieszczęśliwego wypadku doszło w nadzwyczaj osobliwym momencie. Użyję wyrażenia: w chwili przełomowej. Pani Skrof była bogata, jak panom z pewnością

wiadomo. Ale miała też sporo zmartwień. W zaistniałych okolicznościach najlepiej będzie zapewne, jeśli przedstawię panom w zarysie sytuację rodziny.

Mecenas zdjął okulary i ponownie jął wycierać szkła rąbkiem chusteczki. Wreszcie rozparł się wygodnie za biurkiem i spojrzał pytająco na komisarza. Palmu skinął głową zachęcająco.

- Postaram się nakreślić ogólny zarys - zapewnił ponownie mecenas cokolwiek niepotrzebnie, osobiście bowiem byłbym gotów wysłuchać także szczegółów. - Kiedy pani Skrof wychodziła za mąż, zbliżała się już do pięćdziesiątki. Jej mąż miał siedmioletnią córkę z poprzedniego związku, pani Skrof natomiast dzieci nie miała. Okazało się, że małżeństwo było posunięciem bardzo niefortunnym, a jej mąż, niemal dziesięć lat młodszy to nieudolny łowca posagu. Niczego się jednak nie dorobił, gdyż pani Skrof miała głowę do interesów i zadbała o intercyzę. Mimo to otrzymywał od żony spore sumy, skutkiem czego pięć lat później palnął sobie w łeb, jako że okazał się nieuleczalnym alkoholikiem. Konflikt ojca i macochy oczywiście położył się cieniem na rozwoju dziecka. Ale pani Skrof robiła, co mogła, by nie dopuścić do rozwinięcia się w dziewczynce fatalnych wrodzonych skłonności. Panna Skrof to dziś prawdziwy wzór dla innych dziewcząt, dwa lata temu zdała maturę z dobrymi wynikami, a miesiąc temu doszła do pełnoletniości. Niemniej w pewnych sprawach jest nadzwyczaj uparta, co prowadziło niekiedy do zażartych kłótni z macochą. Prędzej czy później jednak córka i macocha się godziły, jako że panna Skrof jest z natury dziewczyną bardzo wrażliwą i poważną. Po maturze miała jeszcze jakieś dziewczęce marzenia - chciała zostać pielęgniarką albo wstąpić do konserwatorium - ale i ja ze swej strony dałem jej do zrozumienia, że to próżne mrzonki, gdyż najlepiej wypełni życiową misję, jeśli pozostanie w domu i będzie pomagać macosze, która ostatnimi laty zaczęła trochę niedomagać.

Palmu pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak, tak, gotowanie, polerowanie sreber i wyprowadzanie psa. Aż nadto życiowych zadań dla młodej dziewczyny.

Mecenas Lanne zdjął szybko okulary i rzucił komisarzowi podejrzliwe spojrzenie. Po chwili podjął, lecz już nieco innym tonem:

- Ocena metod wychowawczych pani Skrof nie leżała w zakresie moich kompetencji. To była kobieta staroświecka, a do tego jeszcze głęboko wierząca. Dziewczyna dwukrotnie od niej uciekała. Raz płakała do poduszki w łóżku mojej żony, innym razem znów spędziła noc u koleżanki ze szkoły i zagroziła, że już nigdy nie wróci do domu. No, ale młodzi lubią się buntować. Z drugiej strony pani Skrof chyba jednak miała trochę racji. Nie wiem, czy ta cała nowoczesność rzeczywiście coś nam daje. Mój syn Pentti, na przykład... - mecenas przerwał i

wzdrygnął się, spostrzegł bowiem, że zmienia temat. Poprawił się na krześle. - Zanim przejdę do wydarzeń z wczorajszego wieczoru - a nadmieniałem już, że są dość dziwne - chciałbym poruszyć w dwóch słowach kwestię drugiego członka najbliższej rodziny pani Skrof, to jest młodego Lankelli. Panieńskie nazwisko pani Skrof brzmiało Langell, na pewno pan to wie. Młody Lankella był, najdelikatniej mówiąc, czarną owcą w rodzinie - jeśli bardzo chcielibyśmy uniknąć wypowiedziania na głos słowa zgniłek. Co prawda, miał na koncie pewne osiągnięcia w sporcie, chociażby w awiacji, której, nawiasem mówiąc, pani Skrof nigdy nie aprobowała. Lecz po osiągnięciu pełnoletniości i wstąpieniu na uniwersytet Lankella zdołał zmarnować cztery lata studiów, nie zdając ani jednego egzaminu, i roztrwonić cały odziedziczony majątek. Folwark Hame-Lankella przeszedł w jego ręce; nowy właściciel w pierwszej kolejności dorzucił kolejne pół miliona do obciążeń hipotecznych, a potem kazał wyciąć z lasu ostatnie papierówki. Złe towarzystwo, zaniedbania wychowawcze i tak dalej, zresztą zna pan Langellów. W każdym razie po śmierci starego Jouniego Langella pani Skrof i młody Lankella pozostali jedynymi żyjącymi członkami tego odgałęzienia rodu. Starego Langella złamał wielki kryzys, jak pan może pamiętać. A pani Skrof miała - chciałoby się rzec: niestety nadzwyczaj silny instynkt rodzinny. Mimo wybryków młodego Lankelli czuła do niego wielką słabość, więc gdy mniej więcej przed rokiem hulaka zapragnął odnowić kontakt z ciotką, ta przyjęła go z otwartymi ramionami. Wcześniej ich wzajemne stosunki były praktycznie żadne, no, ale cóż chłopakowi zostało, skoro wszystkie inne źródła gotówki zupełnie mu wyschły.

- Zatem bratanek pani Skrof już od roku pozostawał na jej utrzymaniu - podsumował Palmu.

- Nie mogę powiedzieć, abym się cieszył pełnym zaufaniem mej chlebobawczyni - pospieszył wyjaśnić nieco zażenowany mecenas Lanne. - Gotówką, akcjami i krótkoterminowymi inwestycjami pani Skrof obracała sama, zabroniła mi się do nich mieszać. W mojej gestii pozostawały jedynie nieruchomości. Administruję wszystkimi jej kamienicami. Niekiedy wynikały z tego pewne godne pożałowania nieporozumienia, na przykład całkiem niedawno, kiedy po sporządzeniu przeze mnie rocznego zeznania podatkowego komisja rewizyjna zażądała od niej dodatkowych wyjaśnień w sprawie sprzedaży akcji spółki jedwabniczej Keinosilkki. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że pani Skrof była jej głównym udziałowcem. Ta kobieta miała głowę do interesów.

- Zatem i sumienie miała raczej rozciągliwe, w każdym razie z punktu widzenia komisji rewizyjnej - zauważył sucho komisarz Palmu.

Mecenas nieco się zaperzył.

- Każdy buchalter w dużej spółce i każdy zarządca wielkiego majątku wie doskonale, że w prawie podatkowym są, nieprawdaż, pewne luki. W żadnym razie nie wchodzi tu w grę oszustwo sensu stricto. To naturalne, że kapitał, ciężko doświadczany przez urzędy podatkowe, broni się, jak może. Ale pani Skrof postąpiła bardzo niemądrze, bo usiłowała wywieść w pole także mnie. Gdybym wiedział o tej sprawie, nie doszłoby wówczas do tego godnego pożałowania...

- Już, już - uspokoił go Palmu. - Chyba zaczynamy zbaczać z tematu. Sam dobrze wiem, że podatnik ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek uwzględnić w swoim zeznaniu wszystkie ulgi dopuszczone przez prawo. Ale niechże pan mecenas kontynuuje.

- Tak więc pani Skrof samodzielnie rozporządzała gotówką, dlatego też nie wiem, ile dała temu hultajowi na uładzenie jego spraw. Nie chodziło jednak bynajmniej o małe sumy. Ale pani Skrof nie była ślepa. Pragnęła, by jej bratanek się ustatkował, i sądziła, że najlepszym środkiem do tego celu będzie małżeństwo. Wiem, że już dawno wszystko sobie przemyślała, gdyż obojgu podopiecznym życzyła jak najlepiej.

Komisarz gwizdnął cicho i rzucił mi przelotne spojrzenie.

- A zatem pani Skrof zamierzała ożenić pannę Skrof z młodym Lankellą, aby ten się ustatkował?

- I żeby majątek pozostał w rodzinie - uzupełnił mecenas Lanne. - Od pewnego czasu bowiem żyła ciąglą troską o jego los. Małżeństwo młodych wydawało się najprostszym rozwiązaniem wszystkich bolączek. Panna Skrof to przyzwoita, porządna dziewczyna, i z pewnością miałaby na młodego Lankellę dobry wpływ.

- A jak sami zainteresowani zapatrywali się na tę kwestię? - zapytał sucho Palmu. - W dzisiejszych czasach nie wszyscy młodzi chętnie poddają się podobnym zabiegom... hm... uszlachetniania rasy.

Mecenas nerwowo przetarł okulary.

- Oczywiście małżeństwo było rozwiązaniem idealnym jedynie z pozoru - przyznał. - Zanim jednak do tego przejdę, muszę jeszcze pokrótce omówić, nieprawdaż, nader nieprzyjemny wątek życia pani Skrof.

- Zgromadzenie Betlejem pana Mustapaa, jak mniemam? - zapytał Palmu.

Mecenas kiwnął głową z wyraźną ulgą.

- Aha, czyli słyszał już pan o zgromadzeniu. Nie muszę zatem trwonić słów na opis tej sekty. Pani Skrof należała do jej zarządu, podobnie jak kilku innych poważanych obywateli. Zasiadała w nim, między innymi, wdowa po autentycznym radcy stanu. Nie wiem... dla mnie szalbierstwo religijne to najobrzydliwsza forma oszustwa. Wielokrotnie ostrzegałem panią

Skrof przed kaznodzieją tej sekty, ona jednak w tej sprawie pozostawała ślepa i głucha. Kiedy przed Bożym Narodzeniem wyraziła chęć zmiany testamentu, postanowiłem lepiej się przyjrzeć temu całemu Mustapaa. Zdołałem ustalić, że to dawny student teologii, niejaki Brummer, który w swoim czasie za haniebnny czyn został wydalony z uniwersytetu. Wyjechał wtedy do Ameryki, gdzie zmienił nazwisko i mniej więcej dziesięć lat był kaznodzieją. Po powrocie do kraju zaczął się udzielać w pewnej amerykańskiej sekcji, dopóki nie został przyłapany na malwersacji. Zarzutów nie wniesiono, a Mustapaa założył Zgromadzenie Betlejem. Sądziłem, że te fakty przemówią pani Skrof do rozsądku, lecz ona tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że doskonale o tym wie. Rzekomo wszyscy wielcy kaznodzieje mieli burzliwą młodość. Mustapaa również był opacznie rozumiany, a zawistnicy próbowali go oczernić z powodu jego dawnych grzechów. Ale on narodził się na nowo.

- W tej sprawie popłynęła niejedna krokodyla łąza

- stwierdził Palmu. - Oślizły gad. Na szczęście oni wszyscy prędzej czy później trafiają za kratki.

- W każdym razie przed Bożym Narodzeniem pani Skrof podpisała testament, który sporządziłem na jej żądanie - podjął oficjalnym tonem mecenas Lanne.

- Zgodnie z jej rozporządzeniem panna Skrof i młody Lankella dostawali stosunkowo niewielkie sumy. Reszta pieniędzy, bez żadnych potrąceń, miała trafić do kasy Zgromadzenia Betlejem i posłużyć w pierwszej kolejności do zbudowania kościoła, a ostatecznie do stworzenia fundacji, której statut pani Skrof dostarczyła mi sporządzony odręcznie przez Mustapaa. Pozostało mi więc jedynie przepisać dokument na czysto.

- A zatem to Zgromadzenie Betlejem dziedziczy...? - przeraził się Palmu, lecz mecenas Lanne uśmiechnął się i czym prędzej go uspokoił:

- Testament ten pozostawał w mocy do dnia wczorajszego i możecie mi panowie wierzyć, że moja łysina poszerzyła się przez niego w bardzo krótkim czasie. Nic na to nie poradzę, lecz krew burzyła się we mnie na samą myśl o nim. Na szczęście pani Skrof była jeszcze w stosunkowo dobrej kondycji i pozostało mi mieć nadzieję, że policja zdąży zamknąć tego szalbierza przed jej śmiercią i testament zostanie zmieniony. Może pan więc sobie wyobrazić moją radość, panie komisarzu, gdy wczoraj w południe przyszła tu pani Skrof, zażądała wydania dokumentu i na moich oczach podarła go na drobne kawałeczki. Była wzburzona i wściekła. Powiedziała, że wreszcie bielmo spadło jej z oczu. Przyczyn wzburzenia nie chciała wyjawiać, powiedziała mi jednak, że zamierza je wyłuszczyć na poufnym forum zarządu Zgromadzenia Betlejem, który miał się zebrać dzisiejszego dnia

wieczorem. Dała mi tym samym do zrozumienia, że dni pana Mustapaa w Zgromadzeniu Betlejem są policzone.

- A zatem to wszystko wydarzyło się wczoraj - podsumował Palmu, gdy mecenas Lanne zamilkł, jak gdyby zbierał myśli. - Ale pani Skrof nie umarła chyba bez żadnego testamentu? Bo przecież w takim razie...

- Ależ oczywiście, że nie - pospieszył z wyjaśnieniem mecenas. - Wręcz przeciwnie, ponagliła mnie wczoraj, bym czym prędzej spisał nowy. Pani Skrof nie cierpiała bałaganu we własnych sprawach. Byle drobiazg potrafił wyprowadzić ją z równowagi. Pewnie przez te jej nerwy. W każdym razie powiedziała mi, że ma wreszcie całkowitą jasność co do swojej ostatniej woli. Sprawa z Mustapaa głęboko nią wstrząsnęła, lecz mimo przygnębienia potrafiła dostrzec w niej palec boży. Panna Skrof miała natychmiast wyjść za młodego Lankellę. Pani Skrof była gotowa jeszcze za życia przekazać młodej parze większą część majątku, aby oszczędzili na podatku spadkowym po jej śmierci. Kazała mi jednak zapisać w testamencie warunek, że młodzi odziedziczą majątek wyłącznie wtedy, gdy w chwili jej śmierci będą ze sobą w związku małżeńskim lub wstąpią w taki związek w ciągu dwóch miesięcy od dnia jej zgonu. Była bardzo podniecona i przejęta tym planem. No, ale czemu tu się dziwić, była przecież z domu Langell i niekiedy uwidaczniało się to, mimo wszystko, bardzo wyraźnie.

- Dziwne - orzekł Palmu, kręcąc głową.

Miał zatroskaną minę i zamyślony patrzył w okno. Nie muszę chyba dodawać, że zaraz na początku rozmowy wyciągnąłem notes i starałem się stenografować słowa mecenasa najlepiej, jak umiem, choć szło mi to jeszcze trochę niemrawo. Nie miałem przecież doświadczenia i cały czas bałem się, że później nie rozczytam własnych znaków.

- Biorąc pod uwagę jej stan psychiczny - kontynuował mecenas Lanne z uśmiechem pełgającym w kąciu ust - uznałem tę propozycję za zupełnie nieprzemysłaną. Jeśliby rzeczywiście zmarła, pozostawiając taki testament, mogłoby to doprowadzić, nieprawdaż, do nader przykrych interpretacji. Gdyby Zgromadzenie Betlejem zaczęło gardłować, mogłoby wzbudzić uzasadnione podejrzenia co do stanu mentalnego pani Skrof. Oczywiście nie mogłem jej tego powiedzieć wprost, niemniej możliwie najdelikatniej wytłumaczyłem, że testament zawierający taki zapis nie byłby bezsporny z prawnego punktu widzenia. Przecież przeżyje jeszcze wiele lat i zdąży szczęśliwie ożenić młodych na długo przed swoją śmiercią. A jeżeli pojawią się później jakieś przeszkody, zawsze będzie mogła zmienić ostatnie rozporządzenie. Nieszczerólnie jej się to podobało, była to wszak kobieta nawykła, nieprawdaż, do rządów niemalże tyrańskich i do tego, że zawsze przeprowadza swoją wolę do

końca, miała jednak na tyle zdrowego rozsądku i zrozumienia dla kwestii praktycznych, że wreszcie ustąpiła. Zadowoliliśmy się zatem sporządzeniem szkicu testamentu, według którego wszelkie nieruchomości i ruchomości pani Skrof po jej śmierci mają zostać podzielone równo między pannę Skrof i młodego Lankellę.

Mecenas mówił coraz bardziej nerwowo i znów zaczął pracowicie przecierać szkła okularów. Widziałem, że coś go gryzie. Myślam błędził gdzie indziej. Po chwili podjął wątek:

- Kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, pani Skrof z niejakim ociąganiem zapytała mnie, co sądzę o planowanym przez nią małżeństwie. Trudno mi było, oczywiście, cokolwiek na ten temat powiedzieć. Nigdy nie dostrzegłem czułości we względach, jakie panna Skrof okazywała młodemu Lankelli. On zaś przezywał ją złośliwie dziewczynką albo zakonnica, drwił z jej zachowania, a nawet z ubioru. Doszło w końcu do tego, że panna Skrof nie chciała przebywać w domu, gdy młody Lankella przychodził do ciotki w odwiedzin, i pod pretekstem, że musi wyprowadzić psa, wychodziła z mieszkania. Wielkopańska bezwstydnosc Lankelli głęboko ją dotykała, nie mam w tej kwestii żadnych wątpliwości. Ale pani Skrof pozostawała ślepa na te, nieprawdaz, niuansy psychologiczne. Poza tym Lankella miał swoje przygody miłosne, każdy przecież wie, że prowadził życie nader bez troskie. No, ale moglibyśmy tak gawędzić cały dzień, zakładam jednak, że pan komisarz ma inne zajęcia. Proszę mi wybaczyć, że nie potrafiłem należycie zebrać myśli.

Palmu rzucił mu ostre spojrzenie.

Mecenas Lanne poruszył się niespokojnie na krześle, pochylił w przód i chrapliwie, niemal szeptem, powiedział:

- Niepokoję się o pannę Skrof. Dlaczego nie było jej w domu?

5

Mecenasa Lannego opinia o młodych tancerkach. • Testament zostaje przeczytany i spokojny mężczyzna sięga po browninga. • Ja mam teorię, komisarz Palmu zaś poznaje surrealizm. • Kurt Kuurna mówi o jedwabnym nocniku, a młody Lankella nie przyznaje się do zdeptania kwiatów.

Dopiero teraz pojąłem, że nieobecność nieznajomej panny Skrof cały czas bezwiednie nurtowała i mnie. Wyobraźnia podsuwała mi obrazy nowej tragedii. Po kolejnych słowach mecenasa aż skoczyłem na równe nogi.

- W razie śmierci jednego z dziedziczących przed nabraniem mocy prawnej przez testament drugi spadkobierca dziedziczy całość. Wprowadzenie takiego zapisu uznałem za niezbędne, moim zdaniem bowiem odzwierciedlał on zamysł pani Skrof. Zaaprobowała go też bez słowa.

Komisarz Palmu nieznacznie się uśmiechnął, z wyniosłością, która - moim zdaniem - była zupełnie nie na miejscu.

- I testament wczoraj podpisano? - zapytał.

- Oczywiście - przytaknął żarliwie mecenas Lanne. - Do godziny trzynastej uzgodniliśmy ostateczny szkic i przedyskutowaliśmy wszystko, co było do przedyskutowania. Pani Skrof już z samego rana powiedziała mi, że przedstawiła ów małżeński projekt bratankowi, który go zaaprobował. Obiecała też, że następnego dnia, to jest dzisiaj, wręczy mu pewną sumę przeznaczoną na uregulowanie jego, nieprawdaz, zawikłanych spraw.

- Jak by to powiedzieć... drobny prezent dla pani Iiri Salmii na otarcie łez? - rzucił chłodno Palmu.

Mecenas się wzdrygnął, poczerwieniał nieco i spojrzał podejrzliwie na komisarza.

- A skąd pan o tym wie?... - zaczął zdumiony, zaraz jednak ochłonął i wrzucił ramionami. - No tak, przecież zimą huczało o tym w całym mieście - powiedział i westchnął. - Osobiście nie znam rzeczonyj kobiety, nawet jej na oczy nie widziałem, o ile mi jednak wiadomo, takie, nieprawdaz, tancerki stołówkowe nader skwapliwie wyzyskują romanse z lekkomyślnymi młodzieńcami. Nie zaprzeczam, że rozmawialiśmy z panią Skrof także o Iiri Salmii. Już wcześniej słyszała, że jej bratanek romansuje z tą kobietą, i bardzo ją to martwiło, lecz młody Lankella zawsze potrafił się wykręcić od poważniejszej rozmowy na ten temat.

Tym razem jednak miał tę sprawę definitywnie zakończyć i - według słów pani Skrof - obiecał jej, że to zrobi. Ja również uważałem, że z uwagi na planowane małżeństwo pewna, nieprawdaż, większa suma gotówki może się okazać, nieprawdaż, właściwym rozwiązaniem.

- Odnoszę wrażenie, że pan mecenas naczytał się amerykańskich powieści detektywistycznych - wtrącił zgryźliwie komisarz Palmu.

Mecenas schował szyję między barki, ton jego głosu stał się wyraźnie chłodniejszy.

- No tak... każdy postępuje, oczywiście, według własnego uznania. Ja uważam... - zaczął, lecz Palmu mu przerwał:

- Tak, wiemy już, że pan mecenas ma złe zdanie o młodych tancerkach. Może wróćmy zatem do tego testamentu.

- Zamierzałem natychmiast sporządzić czystopis i zanieść pani Skrof do podpisania. Pojawiło się jednak kilka przeszkód. Nie mam sekretarki, a dokumenty tak poufne najlepiej sporządzać samemu. To sprawiło, że testament był gotowy dopiero około godziny piątej. Gdy szedłem do pani Skrof na ostatnie piętro, wpadła na mnie na schodach panna Skrof. Pewnie mnie nie zauważyła, bo oczy miała pełne łez. Usiłowałem ją zatrzymać i zapytać, co się dzieje, ona jednak gwałtownie mnie odepchnęła i niemal krzyknęła, że idzie sobie precz, precz! „I już nigdy nie wrócę! - dodała. - Przenigdy! Nienawidzę was wszystkich!” Po czym, szlochając, rzuciła się schodami w dół. Zrazu chciałem pobiec za nią, była już jednak daleko, a poza tym pomyślałem, że najlepiej pozwolić jej wyładować gniew. Młode dziewczęta...

- Najzupełniej słusznie - przyznał Palmu niewinnym tonem. - Nie wolno nigdy zapominać o niuansach psychologicznych. Nie każdy potrafi je docenić.

Mecenas spojrzał podejrzliwie na komisarza, jego twarz pozostała jednak obojętna. Ciągnął sucho:

- A zatem wszedłem na ostatnie piętro i zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi pani Skrof i od razu spostrzegłem, że jest zła i wzburzona. Stół w kuchni był nakryty. Pani Skrof wiodła bardzo skromny tryb życia.

Wyglądało na to, że pasierbica wybiegła w trakcie posiłku, bo jej talerz nie był pusty. Zaczekałem, aż pani Skrof skończy jeść. Była tak wzburzona, że dzwoniła widelcem o talerz i szklanke.

- Czekał pan w jej pokoju? - zapytał nagle Palmu.

- Oczywiście - mecenas spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Po chwili wyszła z kuchni, zaciskając mocno zęby i starając się zapanować nad drżącymi rękami. Przeczytała uważnie cały testament, mrużąc pod nosem coś o niewdzięcznej smarkuli. Odniosłem wrażenie, że korci ją, aby sporządzić nowy testament. Jednak zdrowy rozsądek zwyciężył.

Uśmiechnęła się słabo i powiedziała, że chyba zbyt nagle oświadczyła dziewczynie, iż wyjdzie za mąż za Lankellę. Ta podobno tak zbladła, że pani Skrof aż się przestraszyła. Ale panna Skrof bez słowa rzuciła się do sieni, zerwała płaszcz z wieszaka i wybiegła, trzaskając drzwiami. „Przyjdzie koza do woza”, pocieszała się pani Skrof. Bo przecież myślała wyłącznie o szczęściu tego dziecka. W ogóle nie pojmowała, jak młoda dziewczyna może się nie kochać w jej bratanku. Można by niemal pomyśleć, że gdyby nie jej zaawansowany wiek, nieprawdaż... W każdym razie jej słabość do młodego Lankelli rzucała się w oczy. Pani Skrof uznała, że sprawa została postawiona zbyt nagle. Była przekonana, że za dwie godziny dziewczyna wróci. Ja nie byłem tego już taki pewny, bo Lankella, jakkolwiek by na niego patrzeć, to nieudacznik i hultaj, choć oczywiście nie mogłem tego powiedzieć jego ciotce. No, ale pani Skrof przeczytała i zaaprobowała testament, ja zaś poszedłem sprowadzić świadków. Na klatce schodowej spotkałem panią Hallamaa, która mieszka pod panią Skrof, i żonę dozorca, która właśnie myła stopnie. Obie panie zgodziły się pójść ze mną i w ich obecności pani Skrof podpisała testament, co potwierdziły poniżej podpisami. Jego treści nie musiałem odczytywać; wystarczyło ich poświadczenie, że pani Skrof podpisała dokument osobiście.

- Dziwne - powiedział komisarz Palmu, wybiegając gdzieś w przestrzeń zamyślonym wzrokiem. - Nie wystarczyłby jeden świadek? Pan mógłby przecież wystąpić w charakterze drugiego.

Mecenas Lanne nieco się zmieszał. Po chwili odezwał się, starannie dobierając słowa:

- To nie było możliwe. Sprawa ma się bowiem tak, że pani Skrof, nieprawdaż, wymieniła w testamencie także mnie. Mimo że już kilkanaście lat prowadziłem jej sprawy i nie dochodziło między nami do poważniejszych nieporozumień, nieprawdaż, płaciła mi nader skromnie. Przypuszczam, że tym zapisem w testamencie chciała mi to jakoś wynagrodzić... No, jakkolwiek było, wyznaczyła mi rolę wykonawcy testamentu i za to miałem otrzymać, po pełnym wykonaniu jej woli, jednorazową gratyfikację w wysokości czterystu tysięcy marek.

- Gratyfikacja zdumiewająco wysoka, jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie sprawy pani Skrof są w nienagannym porządku - zauważył cierpko Palmu.

- I z tym można by się nie zgodzić - odparował ostro mecenas. - Masa spadkowa jest duża, a ponadto, tak jak powiedziałem, przez kilkanaście lat załatwiałem sprawy pani Skrof za bardzo skromnym wynagrodzeniem, mimo że w ostatnich latach pochłaniały one nie- mały mój czas. Ale to sprawa marginalna. Pomyślmy raczej o panie Skrof. Prawdę mówiąc, tak bardzo się o nią martwiłem, że wieczorem przed wyjściem z domu zadzwoniłem do pani Skrof i zapytałem, czy dziewczyna wróciła. Jednak nadal nie było jej w domu.

- A godzina była wtedy...? - zapytał Palmu.

- Mniej więcej wpół do dziewiątej wieczór. Okazało się jednak, że panna Skrof wczoraj wieczorem wrócił a do domu!

Tym razem Palmu aż podskoczył.

- Przecież to niemożliwe - warknął.

- A jednak panna Skrof wróciła do domu - powtórzył z uporem mecenas, dziwnie pobladłszy. - Nie było mnie w domu dość długo. Wróciłem z klubu dopiero około wpół do drugiej. Starym zwyczajem jednak wstałem o ósmej i gdy mniej więcej pół godziny później zobaczyłem przez okno dozorcę zamiatającego podwórze, wyszedłem na dwór, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Wtedy się dowiedziałem, że panna Skrof wróciła późnym wieczorem, około dziesiątej, to jest akurat wtedy, gdy dozorca zamykał na noc drzwi wejściowe. Dziewczyna wydała mu się blada i przygnębiona, ale poza tym była zupełnie spokojna. Przed zamknięciem bramy wjazdowej na podwórze dozorca jeszcze przez dwadzieścia minut rozmawiał z kolegą z sąsiedniej kamienicy, więc na pewno zauważyłby pannę Skrof, gdyby w tym czasie wychodziła. Dlatego byłem przekonany, że noc spędziła w domu, i kiedy z polecenia pana posterunkowego zaalarmowałem przez telefon doktora Markolę, zrobiło mi się tak słabo, że musiałem na chwilę położyć się do łóżka. Bo widzi pan, ja mam słabe serce... Może więc pan sobie wyobrazić moją ulgę, kiedy dozorca przyszedł mi powiedzieć, że tej feralnej nocy panny Skrof nie było jednak w domu. Obaj byliśmy tym bardzo zdziwieni.

- Wyrzucimy tymczasem pannę Skrof poza nawias - powiedział sucho Palmu. - Najważniejsze, że się uratowała. Przyszła koza do woza, jak to przed śmiercią się pocieszała pani Skrof. Zakładam, że testament jest tutaj, w pańskim mieszkaniu?

- Zamierzałem wczoraj wcześniej go przygotować, by zdążyć jeszcze zdeponować go w sejfie bankowym. Lecz jak już wspominałem, czystopis był gotowy dopiero około piątej i do banku już nie poszedłem. Poprzedni testament trzymałem tutaj, w szufladzie zamykanej na klucz, bo prawdę powiedziawszy, cały czas żywiłem nadzieję, że pani Skrof szybko go zmieni. Dlatego też chciałem go mieć pod ręką o każdej porze dnia i nocy.

- Prawdę powiedziawszy, ja również - powiedział Palmu spokojnie - chciałbym rzucić okiem na ten testament, jeśli pan pozwoli. I namawiam pana, aby jak najszybciej zdeponował go w banku.

Mecenas Lanne wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął powoli otwierać szufladę. Wspiąłem się na palce, aby lepiej widzieć. Ogarnęło mnie straszliwe przecucie, że testament zniknął. Palmu przyglądał mi się z boku z uśmiechem politowania, mecenas bowiem najzwyczajniej w świecie otworzył szufladę, wyjął z niej dokument i podał komisarzowi.

Zajrzałem mu przez ramię. Testament był stosunkowo krótki, lecz mecenas zdołał zawrzeć ostatnią wolę pani Skrof w zdaniach należycie zawikłanych, jak na jurystę przystało. Na oko jednak wszystko wydawało się w porządku. Chyba już wspominałem, że studiowałem na uniwersytecie i jestem licencjatem prawa.

Palmu przeczytał dokładnie treść, po czym zerknął na mnie. Skinąłem potakująco głową. Oddał cenny dokument mecenasowi, który od razu schował go do aktówki.

- Najlepiej będzie, jak pójdzie pan do banku przez podwórze, aby zbytecznie nie zwracać na siebie uwagi - rzekł komisarz. - Powiem posterunkowemu Arze, aby panu towarzyszył. Proszę na niego poczekać na rogu ulicy. Lepiej nie kusić losu.

Mecenas Lanne się wyprostował.

- Może wezmę pistolet? - spytał półszepem. - Mam browninga...

- Niechże pan lepiej weźmie jakąś amerykańską powieść detektywistyczną - doradził mu Palmu - w razie gdyby w banku musiał pan trochę poczekać.

Przed wejściem zebrała się już spora grupa gapiów. Palmu kazał posterunkowemu odprowadzić mecenasa Lannego do banku i z powrotem do domu, po czym na straży drzwi wejściowych ustawił dozorcę. Z ożywionych szeptów gawiedzi wywnioskowałem, że liczba ofiar zatrucia gazem wzrosła do pięciu. Ktoś twierdził, że to na pewno zamach polityczny i dlatego policja nabrała wody w usta.

Palmu wciągnął mnie za sobą do klatki schodowej; tam było już spokojnie.

- Chłopaki mają jeszcze roboty na jakieś pół godziny - ocenił. - Potem zabiorą ciało i w drzwi wprawi się tymczasowy zamek, a wtedy będziemy mogli spokojnie obejrzeć mieszkanie. Pies pojechał już w zaplombowanej skrzynce do wydziału medycyny sądowej. Chwilę trzeba będzie poczekać, aż chłopaki wywołają te swoje płyty i sporządzą raporty. Ale oficjalne przesłuchanie będziemy mogli przeprowadzić już jutro rano.

- To się przeciągnie - uznałem, klepiąc się po kieszeni, w której trzymałem notatki zapisane drobnym stenograficznym maczkiem. Zebrał się ich gruby plik.

- Przecież przesłuchanie samego tylko mecenasa Lannego zajmie...

- Najwyżej pół strony raportu - wtrącił Palmu.

- Trzy zdania.

- Najmniej dziesięć stron - dokończyłem, oburzony.

- Pewnie by tak było, gdybyś to ty pisał ten raport - powiedział Palmu złośliwie. - Ma on brzmieć tak: „Mecenas Lanne oświadczył w trakcie przesłuchania, że był prawnikiem pani Skrof. Dzień wcześniej denatka bez podania konkretnej przyczyny odwołała poprzedni testament, w którym większość majątku zapisywała Zgromadzeniu Betlejem, i podpisała

nowy, zgodnie, z którym majątek zostaje podzielony równo między pasierbicę i bratanek denatki. Mecenase Lanne oświadczył również, że był przekonany, iż panna Skrof spędziła noc w domu i także zatrąła się gazem”. To wszystko.

- Ale w zaleceniach napisano... - próbowałem się jeszcze opierać.

- Ja jestem twoim zaleceniem - uciał niegrzecznie Palmu. - I zalecam, co następuje: żadnych powieści! A teraz udamy się spokojnie spacerkiem do mieszkania pana Lankelli, aby mu obwieścić tę smutną wiadomość, że z dnia na dzień stał się multimilionerem. Ciekawie będzie prześledzić jego pierwszą reakcję na ową nowinę.

- Mam jeszcze trochę pieniędzy - zaproponowałem nieśmiało. - Może byśmy wzięli taksówkę...

- W Piśmie napisano, że Bóg błogosławi radosnemu dawcy - odrzekł obłudnie komisarz Palmu. - Nie przyjąłbym twojej oferty, gdybym nie miał pewności, że inaczej przepuściłbyś te pieniądze z dużo gorszym skutkiem. A marnotrawstwo to korzeń wszelkiego zła, zapamiętaj to sobie, chłopcze. Wcześniej czy później doprowadza człowieka do upadku. Bądź czyni z niego milionera, co przytrafiło się właśnie młodemu Lankelli. Z czego można by pewnie wysnuć wniosek, że wszystkie ciotki świata mają łekliwą słabość do czarnych owiec w rodzinie. Masz zamożną ciotkę, chłopcze?

- Trzy - przyznałem niewinnie.

- Jeżeli któraś z nich zatrąje się nagle gazem akurat wtedy, gdy ty rozdasz resztki fortuny chciwym fiakrom, nazwę to nader osobliwym zbiegiem okoliczności. Zwłaszcza jeśli ciotuchna nie zapomni o tobie w testamencie i zapisze ci kilka ładnych milioników.

Tak cicho pogadując, komisarz usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu taksówki, która stała na najbliższym postoju. Podał szoferowi adres młodego Lankelli i jakoś mnie nie zdziwiło, że nie musiał o niego pytać mecenasa Lannego. Sądę, że jego przepastne mózgowie archiwum zawiera przynajmniej dziesiątą część helsińskiej księgi adresowej. Wydaje się to niewiarygodne, ale to fakt.

Samochód ruszył, więc wykorzystałem nadarzącą się sposobność do wyrażenia własnych przemyśleń.

- Mam teorię... - zacząłem odważnie.

- Wcale mnie to nie dziwi, w najmniejszym stopniu - zapewnił mnie Palmu ojcowskim tonem. - I ja miałem teorie, kiedy zaczynałem w tym fachu. Często miałem ich nawet od razu kilka. Kilka bardzo dobrych teorii. Niestety, dziwnym trafem zawsze okazywały się fałszywe. Ale to nic nie szkodzi. Gimnastykowanie umysłu dobrze robi młodzieży. Tak, że śmiało, nie krępuj się.

Jego serdeczna złośliwość spłynęła po mnie jak po gęsi. Faktem jest bowiem, że sporo się naczytałem psychologii kryminalnej i psychologii w ogóle. Nie wiem, czy już o tym wspominałem. Dlatego trzymałem w rękawie małego psychologicznego asa. Komisarz oczywiście zakładał, że w pierwszej kolejności będę podejrzewał młodego Lankellę, kaznodzieję Mustapaa, czy może nawet pannę Skrof. Mecenas Lanne również figurował w testamencie, a zatem i on automatycznie zaliczał się do grona podejrzanych, przynajmniej teoretycznie. Policyjny detektyw musi podejrzewać wszystkich i każdego. Ja jednak wpadłem na pomysł, którym, jak sądziłem, napuszczę mu trochę mrówek za koszulę, i stary wyga może nawet zaklnie siarczyście.

- A co powiesz na to? - zacząłem z beczelną poufałością. - Jest bardzo prawdopodobne, że pani Skrof popełniła samobójstwo!

Palmu niemal położył się na siedzeniu, bo taksówka skręciła gwałtownie na rogu ulicy, i wybuchnął śmiechem. Rechotał dobrą chwilę, szczerze ubawiony. Kiedy się wyprostował, na jego twarzy widniał jeszcze zamarły uśmiech.

- Chłopcze - zaczął uroczyście - chyba się jednak pomyliłem względem ciebie. Niewykluczone, że mimo wszystko w twojej czaszce pączkuje jakiś załazek mózgu. Ale nie! - Zaśmiał się ponownie, choć w tym śmiechu wyczułem napiętą nutę. - Zapominasz o psie!

- Wcale nie - odrzekłem z zapałem. - Z psychologicznego punktu widzenia samobójstwo wydaje się rozwiązaniem całkiem logicznym. Nazwisko panięńskie pani Skrof brzmiało Langell. A wszyscy Langellowie byli, każdy na swój sposób, odrobinę stuknięci. Na nienormalność pani Skrof wskazują choćby ta jej zarliwa, sekciarska religijność i chorobliwe sknerstwo. Wczoraj kobietą przeżyła bodaj największe duchowe załamanie swego życia. Z nieznanej nam przyczyny, która musiała jednak potężnie nią wstrząsnąć, straciła wiarę w Zgromadzenie Betlejem. Przyszło jej gruntownie zrewidować plany, lecz oto pasierbica uciekła z domu. Niewykluczone, że wieczorem doszło między nimi do kolejnego ostrego spięcia, po którym dziewczyna wyszła, by już nie wrócić na noc, ale to nie było przecież konieczne. Pani Skrof i bez tego miała aż nadto powodów do zgryzoty, o czym zaświadczył doktor Markkola. A gdy duchowa udreka staje się nie do zniesienia, wystarczy pozornie najbliższy powód, by puściły wszelkie hamulce. Być może wykipienie owsianki było tym przysłowiowym piórkiem, które złamało grzbiet wielbłąda. Może pani Skrof chciała znaleźć pocieszenie u swojej maskotki, jedyne wiernego stworzenia, lecz pies z niewiadomych przyczyn zawarczał na panią. Wtedy wpadła w szal. Skręciła mu kark, połknęła tabletkę pantofonu - wiedząc od doktora Markkoli, że to silny lek - po czym celowo odkręciła kurek z gazem i poszła do łóżka, powierzając duszę Bożej opiece. W przełomowych momentach

życia ludzie postępują często w sposób niewytłumaczalny. Życie pani Skrof legło w gruzach. Psychologia samobójstw zna przypadki...

- Dobrze już, dobrze, dajmy temu spokój - przerwał mi wreszcie Palmu, którego przerażają naukowe dysputy. - Ta twoja teoria ma swoje plusy, niech tak będzie. Pewnie, sam z początku brałem pod rozwagę samobójstwo, ale ten jamnik... Nie, oczywiście nie wolno mi przez tego psa tracić z oczu całej reszty, chociaż od razu widziałem, że skończył gwałtowną śmiercią. Ta twoja teoria ma plusy. I gdyby minionej nocy padał deszcz...

- Deszcz? - powtórzyłem, nie mając zielonego pojęcia, do czego zmierza.

- Tak, deszcz, teraz bowiem wszystko zależy od tego, czy na balkonie znajdziemy ślady butów. Jeżeli nie, to samobójstwo pozostanie jedynym wyjaśnieniem. Zdrowy rozsądek podpowiada mi jednak, że znajdziemy te ślady. Na szczęście w nocy nie padało. Najgłupszy kapuśniaczek byłby zbawieniem dla mordercy, wówczas bowiem nie zdołalibyśmy nijak udowodnić, że nocą ktoś zakradł się do mieszkania.

- Poza tym moja teoria samobójstwa wyjaśniłaby wszystko z psychologiczną wiarygodnością - dodałem buntowniczo. - Mimo tego twojego psa.

- Przestań już bredzić o tej psychologii! - warknął tak gniewnie, jak gdybym rzeczywiście trafił w jego czuły punkt. Moje mrówki na pewno już rozlażyły mu się po plecach i nie przestaną go gryźć, dopóki chłopaki nie skończą wywoływać tych swoich płyt. - Tak czy owak jasne jest - podjął po chwili - że z mieszkania można się było wydostać jedynie przez drzwi balkonowe. Po wyjściu na klatkę schodową nikt nie zdołałby zamknąć drzwi na zamek od środka i na dodatek zaciągnąć łańcuch. Poza tym klucz do zamka patentowego leżał na stoliku nocnym przy łóżku pani Skrof.

- Może ktoś odkręcił kurek gazowy późnym wieczorem, tuż przed opuszczeniem mieszkania - poddałem myśl. - Wskutek wycięcia wola pani Skrof nie czuła smrodu, więc po zamknięciu drzwi za swoim późnym gościem zażyła tabletkę i poszła spokojnie do łóżka.

- A pies? - zauważył zgryźliwie Palmu. - I owsianka na kuchence, którą pani Skrof z pewnością by starła, a przy okazji dostrzegła odkręcony kurek?

- Jakkolwiek by było, należy rozważyć każdą ewentualność - wycofałem się, usiłując zachować resztki godności. - Szukać, znaleźć, stwierdzić, upewnić się i wyciągnąć wniosek, jak mówią instrukcje...

Palmu zamachnął się na mnie, więc potulnie zamilkłem. Taksówka zatrzymała się właśnie przed reprezentacyjną, niedawno wybudowaną kamienicą w najnowszej części Tóóló. Przed lśniącem wejściem ze szlifowanego granitu pysznił się niebieski sportowy packard. Palmu zagłębił się w spis mieszkańców, po czym energicznie wcisnął i długo przytrzymał

guzik dzwonka, który znajdował się w górnej części skrzynki obok nazwiska Lankella. Po dłuższej chwili zimny, zagniewany kobiecy głos warknął mi prosto do ucha: „Kto tam?“, aż podskoczyłem ze strachu.

Palmu zbliżył usta do kratki mikrofonu i ryknął:

- Pan Lankella w domu?!

- Panowie śpią jeszcze i nie wolno ich budzić - rzucił kwaśno ten sam chłodny kobiecy głos.

- Więc proszę wylać im na głowę wiadro zimnej wody - poinstruował ją Palmu. - Mają zaraz stanąć na nogi! Tu komisarz Palmu z wydziału kryminalnego!

Głośnik lekliwie się zachłysnął, opryskliwy głos zamilkł. W drzwiach coś stuknęło i nad zamkiem zapalił się czerwony napis z uprzejmą radą: „Cięgnij!”.

- Osobliwy sposób spoufalania się - zgorzzył się Palmu, niemniej pociągnął za uchwyt drzwi. Weszliśmy do lśniącej jasnym niklem windy i wjechaliśmy na ostatnie piętro. Na jedynych drzwiach, jakie tam znaleźliśmy, widniała tabliczka z zupełnie innym nazwiskiem. Schody prowadziły jednak wyżej i Palmu zdecydowanym krokiem ruszył na szczytowy taras.

Tam przed otwartymi drzwiami stała dobrze odżywiona, masywna herod-baba. Ze skrzyżowanymi wysoko na piersiach ramionami i gniewną miną niczym wielka niedźwiedzica broniła wstępu do mieszkania.

- Panowie śpią. O co chodzi? - warknęła groźnie.

Palmu bez słowa pokazał odznakę. Niedźwiedzica prychnęła z pogardą.

- Co te biedne chłopaczyska znów takiego zbroiły? - zapytała z politowaniem.

- O której wrócili rano do domu? - Palmu jakby nie usłyszał pytania. Kobieta już miała odpowiedzieć, lecz ugryzła się w język i spojrzała chytrze na komisarza.

- Nie wiem - odrzekła. - Spałam. Ktoś w tym domu musi czasem spać.

Palmu stracił cierpliwość.

- Jeżeli w ciągu pięciu minut nie obudzi pani i nie postawi przede mną Lankelli, to przeklnię pani dzień, w którym mnie poznała! - ryknął z udaną wściekłością.

Wyraźnie złękciona służąca wycofała się do mieszkania. Rzuciłem okiem na drzwi, do których w miejsce zwyczajowej tabliczki przyczepiono dwa bilety wizytowe z nazwiskami: Kaarle Lankella i Kurt Kuurna. Wiedziałem, że to drugie nazwisko też mi się już obilo o uszy.

- No, w takim razie proszę wejść - ustąpiła. - Możecie panowie poczekać w atelier. Pójdę obudzić pana Lankellę, ale na pewno będzie bardzo zły.

Co rzekłszy, wepchnęła nas do dużego pomieszczenia z mansardowym oknem, przez które wlewało się do środka światło słoneczne, i zamknęła za nami drzwi. Usłyszałem, jak

wchodzi do pokoju gdzieś w głębi mieszkania, a po chwili czyjś zaspany głos: „Co tu się dzieje, do cholery?”.

Wnętrze atelier wprawiło mnie w niejakie osłupienie. Od razu sobie przypomniałem, gdzie natknąłem się na nazwisko Kurta Kuurny. Po jego wernisażu w jakiejś szemranej galerii stołeczny krytyk napisał, że wyszedł z niej bardzo szybko z powodu nagłych mdłości.

- Wiele widziałem w życiu farmazońskich głupot... - zaczął komisarz Palmu, lecz wzruszenie odebrało mu mowę.

Z westchnieniem zapadł się w wygodny, luksusowy fotel.

- Surrealizm - rzekłem krótko, popatrując z zainteresowaniem dokoła.

Między innymi dlatego jestem ciągle młody, że w każdej nowince potrafię się czegoś dopatrzeć, choćby na pierwszy rzut oka wydawała się absolutnym nonsensem.

Na sztalugach rozpięte było spore niedokończony płótno. Gruby męski tułów zwieńczony spokojnym końskim łbem spoczywał na rusztowaniu - utworzonym z ekierki i gigantycznego cyrkla - przed którym stał odwrócony budzik. W tle majaczył ledwie tylko zarysowany idylliczny pejzaż leśny z brzoźami. Z kolei wiszący na ścianie obraz w pięknej oprawie był zapewne poligonem nowych technik. Wyglądało to tak, jak gdyby malarz najpierw stłukł na płótnie kałamarz, a następnie na tak sprokurowaną płamę nałożył dwa sadzone jajka, przeciętą marchew i pudełko zapalek z podobizną hotelu Kamppi na etykiecie. Pod spodem starannie przyklejono wycięty z jakiejś fotografii obraz parlamentu.

Artysta nie przebierał w środkach wyrazu i zainteresował się także rzeźbą. Obok fotela okupowanego przez komisarza stały jeden w drugim dwa ogromne miedziane cylindry, a tak były porżnięte i ponacinane, że uznałem, iż miały zapewne naśladować chropowate pnie. U góry przymocowano do nich dwa nagie kobiece przedramiona, odjęte od jakiegoś manekina, całość zaś starannie okryto żalobnym welonem.

Po raz pierwszy w życiu widziałem Palmu całkowicie bezradnego. Przerzucał spojrzenie z przedmiotu na przedmiot i tylko kręcił głową.

- We Francji surrealizm ma wielu zwolenników - powiedziałem z tajoną satysfakcją. - Laikowi, rzecz jasna, trudno to pojąć, ekspert jednak napisałby studium i o tych motywach.

Palmu spojrział na oparty o ścianę obraz przedstawiający nagą kobietę leżącą wygodnie na gigantycznej patelni i trzymającą w jednej dłoni połówkę zegarka, w drugiej zaś fortepian. Po chwili zasłonił ręką oczy.

- Cały ten pokój tchnie obłędem - jęknął. - Przecież tu nawet nie da się myśleć. - Przerwał nagle i uśmiechnął się okrutnie. - Wiemy przynajmniej, gdzie szukać mordercy! Wystarczyłby mi tydzień w takim otoczeniu, a byłbym gotowy popełnić najgorszą zbrodnię.

Za ścianą rozległy się stuki. Po chwili zaszumiały rury i z sąsiedniego pokoju usłyszeliśmy bardzo wyraźnie młody, żwawy głos: „Kurt, wstawaj! Gliny już tu są!”.

Skrzypnęło łóżko, huknęło upadające krzesło, a potem dobiegły nas jakieś szepty, zagłuszone pluskiem wody. Palmu słuchał z napiętą twarzą. Ja również przysiadłem w oczekiwaniu.

Po niecałych dziesięciu minutach do atelier wszedł Kaarle Lankella w jedwabnym szlafroku i pantoflach na bosych stopach. Mokre, starannie zaczesane włosy lśniły. Szybki prysznic usunął najgorsze pozostałości minionej nocy, nietrudno było jednak dostrzec, że pana Lankellę męczy straszny kac.

Był mi znany z widzenia. Brał udział w pokazach akrobacji lotniczej i jego zdjęcie dwukrotnie bodaj trafiło na łamy prasy. Wysoki blondyn, którego postawa i ułożenie głowy nie tylko znamionowały beztróską brawurę, lecz także miały w sobie coś rozbijającego. Za nim w pizamie w kolorze katowskiej czerwieni wszedł zaspany Kurt Kuurna, drapiąc się po głowie. Był to czarnowłosy, szczupły młodzian z inteligenckiego rodu, w którego napiętych kącikach ust i rozbieganych kawowych oczach odbijała się owa szczególna artystyczna wrażliwość. Miał piękne białe dłonie, z czego aż nadto zdawał sobie sprawę. To on rozpoczął rozmowę.

- Czemu zawdzięczamy tę... haaau... poranną fatygę panów? - ziewnął demonstracyjnie, przysłaniając usta rękawem pizamy.

- Chcę rozmawiać z panem Lankellą w cztery oczy - odrzekł Palmu z oficjalną surowością.

Było widać, że na wstępie chce chłopakom trochę przytrzeć rogów. Kuurna jednak nie dawał się tak łatwo spławić.

- Sprawa wygląda tak, panie konstablu - powiedział przeciągle, i dostrzegłem, jak Palmu krasnieje z oburzenia, był bowiem czuły na punkcie swej tytulatury - że jesteśmy zazwyczaj jako ta para koni, by nie powiedzieć wręcz - jako syjamskie bliźnięta. Gdzie Lankella, tam i Kuurna, i niedaleko pada Kuurna od Lankelli. To już znane przysłowie w lepszych knajpach Helsinek. No, więc jeśli chodzi o to godne pożałowania zajście z ubiegłej nocy...

- Cicho bądź, Kurt - przerwał mu Lankella, trącając towarzysza w bok. - To moja sprawa, ty się nie wtrącaj.

- Jam jednakowoż był w tej całej sprawie primus motor, jam był iniciator, jak zwykł mawiać mój świętej pamięci stary łacinnik w jyvaskylańskim liceum - paplał dalej Kuurna. - Beze mnie nie wpadłbyś nigdy na to, że...

Widziałem, że cierpliwość Palmu za chwilę się wyczerpie. Zerknąwszy przelotnie na mężczyznę z głową konia, wbił nagle wzrok w młodego Lankellę.

- To poważna sprawa - powiedział.

Odniosłem wrażenie, że Lankella nieco pobladł. Przesząpił z nogi na nogę. Mój wzrok zatrzymał się na jego prawej ręce, którą dopiero co wyjął z kieszeni szlafroka. Nasadę kciuka i grzbiet dłoni pokrywał bandaż. Bezwiednie się wzdygnąłem, gdyż przed oczami stanął mi od razu jamnik, który w nocnych ciemnościach rzuca się z zębami na włamywacza. Pies bez trudu przegryzłby cienką rękawiczkę i pozostawił ślad na dłoni mordercy.

- Oczywiście, że to poważna sprawa - przyznał zdenerwowany Lankella. - Nie mogę tylko pojąć, jak wam się udało tak szybko ustalić, że to ja...

- Cicho - tym razem Kurt Kuurna starał się uciszyć druha. - Bądź ostrożny. Wszystko, co od tej pory powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Gość miał wszakże nader wiarygodnego świadka. Wypieraj się! Wszystkiemu zaprzeczaj!

- Daj już spokój tym żartom, Kurt! - odpowiedział Lankella, machając niecierpliwie obandażowaną ręką.

- Oczywiście, że to poważna sprawa. Nie jesteśmy już przecież pod gazem!

Zdumiony Palmu patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Tylko niech pan nie próbuje mi wmawiać, że zrobił to po pijanemu! - ostrzegł go. - Trudno sobie wyobrazić coś bardziej wykalkulowanego niż to, co się stało ubiegłej nocy. Na poły już się pan przyznał, więc niechże pan postąpi po męsku i wyzna całą resztę!

Nawet Kuurna spoważniał. Błagalnym tonem zaczął:

- Ale niechże pan zrozumie, panie komisarzu! Przecież to nie mogło być wykalkulowane. Najpierw ja powiedziałem do Kallego²: „Gdybyśmy tak mieli...”.

- Klucz? - wtrącił Palmu z napiętą twarzą, pochylając się do przodu.

- Nie, kapelusz! - odparł zdumiony Kuurna. - Cylinder! Jedwabny nocnik, jak to się mówi!

- Co mi pan tutaj za dyrdymały klepiesz, do diabła ciężkiego?! - ryknął rozwścieczony Palmu. Wtedy młody Lankella stanął przed Kuurną i powiedział sztywno:

- Ale to nie ja zdeptałem kwiaty, panie komisarzu!

² Kalle - zdrobnienie imienia Kaarle.

6

Artysta Kuurna szuka ucieczki w alkoholu, pan Lankella zaś miesza do poważnej sprawy narodowego wieszca. • Dwa ululane pawiany i zaginione tenisówki. • Czy pies ugryzł mordercę?

Na chwilę w słonecznym atelier zapadła przykra i pełna napięcia cisza. Wreszcie Palmu zaczął oddychać normalnie i odzyskał panowanie nad sobą.

- Mówiłem ci już, że ja w tym pokoju postradam rozum - odezwał się do mnie ze smutkiem w głosie. - Jedwabne cylindry i kwiaty. Jakiego piwa nawarzyli sobie ci dwaj, tego nie wiem.

- Stary glina jest chory - odezwał się Kuurna ze współczuciem. - Stary glina ma nierówno pod sufitem, a młody glina jest po prostu głupi. To panowie nie przyszli z powodu Runeberga?

- A więc chodzi im tylko o cygaro - rozpromienił się Lankella. - Leżało sobie spokojnie obok mnie, kiedy stara Megajra przyszła mnie obudzić. A ty masz jeszcze tę swoją miseczkę do golenia?

- A ja cały czas myślałem, że oni mówią o Runebergu - stropił się Kuurna. - Wybacz, jeżeli postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Więc teraz wiedzą już także o tej sprawie.

- Ale to nie ja zdeptałem kwiaty - powtórzył buńczucznie Lankella, po czym obaj młodzieńcy zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Komisarz wreszcie stracił cierpliwość.

- Panie Lankella - odezwał się złowróbnym tonem. - Może ubawi pana również to, że ubiegłej nocy rozstała się z życiem pańska ciotka, pani Alma Skrof. Żarty się skończyły. Z różnych względów byłoby najlepiej, gdyby pan zawczasu wyjaśnił, gdzie pan tej nocy przebywał, co robił i o której wrócił do domu.

Lankella powoli uniósł do ust przewiazaną dłoń, jak gdyby chciał stłumić krzyk. Moim zdaniem gest był nieco teatralny. Kuurna bez słowa wyslizgnął się z atelier. Po chwili Lankella przemówił drżącym głosem:

- Ale przecież jeszcze wczoraj ciotka była w całkiem niezłej kondycji. Ona... ona... - Chyba dopiero teraz zaczął wszystko pojmować.

Opadł ciężko na krzesło i krew dosłownie odpłynęła mu z twarzy.

Do atelier wrócił Kurt Kuurna. Zdążył się szybko uczesać i przebrać w czarną pizamę. Na tacy niósł butelkę whisky i cztery szklaneczki, które postawił na fajczarni obok fotela komisarza.

- Za to warto wypić - stwierdził cicho, choć miałem wrażenie, że jego cynizm jest udawany, przynajmniej po części. - Kto starą udusił? - zapytał po chwili z rzeczową ciekawością.

Palmu natychmiast połknął haczyk.

- Skąd panu przyszło do głowy, że panią Skrof uduszono? - zainteresował się.

- Och, sam nie wiem - Kuurna uniósł wykrzywioną złośliwie twarz i zaczął szybko poruszać brwiami. - To dla mnie niemal naturalna myśl, kiedy mowa o starej Skrofowej. I naprawdę nie byłbym wstrząśnięty, gdyby ją ktoś odprawił na tamten świat. A już na pewno nie będę udawać żalu z powodu jej odejścia.

Palmu nie przywykł do tak bezwstydney szczerości. Był na tyle konwencjonalny, że mógłby się oburzyć, przypuszczam jednak, iż w skrytości ducha sympatyzował z otwartością Kuurny.

- A zatem pan również ją znał? - spytał.

- Spotkałem ją kilkakrotnie. Ostatnio wczoraj, gdy usiłowałem przemówić jej do rozsądku!

Drgnęliśmy obaj z komisarzem.

- Widział ją pan wczoraj?! - krzyknęliśmy niemal jednym głosem.

- Kiedy Skrofówna przyszła tutaj około szóstej... - zaczął Kuurna niewinnie, lecz Palmu mu przerwał.

- Ale może wszystko po kolei. To nie jest oficjalne przesłuchanie, a zatem żaden z panów nie musi nic mówić, jeżeli nie ma ochoty. Pomogłoby mi jednak bardzo, gdybyście całkiem otwarcie opowiedzieli o wydarzeniach wczorajszego dnia i ubiegłej nocy. Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli zacznie pan Lankella, gdyż o ile mi wiadomo, odwiedził ciotkę już wczoraj rano.

- Gólnij sobie, Kalle! - zachęcił go Kuurna. - To dla ciebie ponura historia, więc powinieneś się trochę zahartować.

Lankella odmówił, Palmu też oświadczył, że przekonania zabraniają mu picia alkoholu przed południem, ja natomiast - no cóż - ja łyknąłem łagodnego grogu z Kurtem Kuurną, który zdążył mi już w zaufaniu szepnąć, że męczy go kac stulecia, po czym znów się wyprostował i z niewinną miną zaczął słuchać opowiadania swego druha. Lankella zaczął:

- Ciotka zatelefonowała wczoraj z samego rana i zaprosiła mnie do siebie. To było gdzieś tak około dziesiątej. Kirsti, swoją pasierbicę, pod jakimś pretekstem wysłała na miasto, abyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy. Oświadczyła mi, że podjęła decyzję i że mam jak najszybciej poślubić tę dziewczynę. Zaraz po ślubie miałem otrzymać większą część jej majątku. Ma się rozumieć, że kategorycznie odmówiłem. Nic do Kirsti nie mam, ale ona mnie nie cierpi i... mniejsza z tym. Po prawdzie jednak byłem w ciężkiej biedzie. Mam cały stos oprotestowanych weksli, a ciotka zagroziła, że przestanie mi pomagać. Poza tym była bardzo zdenerwowana i w końcu... no tak...

- Biedny Kalle ma słaby charakter - wtrącił współczująco Kuurna. - No, ale gdyby mnie przed pyskiem ktoś pomachał plikiem dwustu tysięcy...

Palmu rzucił mu karcące spojrzenie i Kuurna umilkł z udaną miną winowajcy.

- To prawda - przyznał Lankella. - Ciotka rzeczywiście obiecała mi od razu dwieście tysięcy marek na... tego... załatwienie spraw. Wyjęła z szuflady gruby plik banknotów i dosłownie potrząsnęła mi nim przed pyskiem, tak jak powiedział Kurt. Obiecała, że będę mógł przyjść dzisiaj po te pieniądze, jeżeli... jeżeli tym sposobem załatwię swoje sprawy.

- Mam przez to rozumieć, że pańska ciotka trzymała w szufladzie biurka dwieście tysięcy marek w gotówce? - zapytał Palmu z niedowierzaniem.

- Nie było to aż takie dziwne. Często trzymała w domu duże sumy. Dlatego też drzwi wejściowe przerobiła na wrota twierdzy. Lubiła patrzeć na banknoty, a kiedy dawała komuś pieniądze, to chciała rzeczywiście czuć, że daje pieniądze. Czeki byłyby zapewne nieco taktowniejszym rozwiązaniem, ale... mniejsza z tym. Powiedziała mi, że tę sumę przeznaczyła w istocie na Zgromadzenie Betlejem. Już wcześniej mówiła o budowie jakiegoś kościoła i podobno znalazła się wreszcie działka w dobrej cenie, należało tylko zapłacić gotówką. Wczoraj jednak ciotka najwyraźniej zmieniła zdanie co do tych pieniędzy. Odniosłem wrażenie, że uznała ostatecznie, iż zgromadzenie będzie się musiało obejść bez kościoła.

- A zatem obiecał pan ożenić się z panną Skrof? - Palmu pomógł mu wrócić do rzeczy.

- Przyznaję, że ciotka musiała tak właśnie zrozumieć moje słowa - stwierdził Lankella z zażenowaniem. - W rzeczywistości jednak obiecałem jej po prostu, że uporządkuję swoje sprawy i ułożę sobie życie od nowa. Proszę mi wierzyć, panie komisarzu - co mówiąc, spojrzał mu w oczy otwarcie i z przekonaniem - że byłem jak najdalej od zamiaru poślubienia panny Skrof, choćby nawet ona skłaniała się ku temu małżeństwu. Jednak moje sprawy naprawdę zaszły już tak daleko, że sam zrozumiałem, iż zmiana trybu życia jest nieunikniona. Miałem zresztą pewien plan, może absurdalny i głupi, ale i tak spalił na panewce. Może nawet dobrze, że tak się stało.

- Co to był za plan? - zainteresował się Palmu.

Lankella odwrócił wzrok i nieco poczerwieniał. Po chwili odpowiedział zmienionym głosem:

- Nie chciałbym o tym rozmawiać, panie komisarzu. To była bardzo głupia i absurdalna myśl!

- Te kobiety, te kobiety, te kobiety z varietes... - zanucił pod nosem Kurt Kuurna.

Spaśowiwały Lankella przypadł do niego i kazał mu stulić pysk. Palmu się uśmiechnął.

- Jak sobie palnę do południa jednego groga, to zaraz diabelnie chce mi się śpiewać - poskarżył się Kuurna przeproszającym tonem.

- Wyszedłem od ciotki trochę przed dwunastą i, jak zapewne pan się domyśla, myśli miałem czarne jak piekło - wyjaśnił Lankella. - Wystawiłem z garażu samochód - ten sportowy wózek, który mogliście panowie zobaczyć przed domem, to mój - i pojechałem do Hame-Lankelli. Jechałem bardzo szybko, więc na miejscu zdążyłem jeszcze zjeść obiad z zarządcą. O dziewiątej wróciłem do Helsinek i zabrałem Kurta z domu...

- Pracowałem wtedy w atelier - wtrącił z godnością Kuurna.

- Postanowiliśmy zorganizować pożegnalną bibendę - dokończył Lankella. - Zamówiłem łóżę w hotelu Helsinki i telefonicznie umówiliśmy z Kurtem całą ekipę. Mają tam taką boczną salę, wie pan zapewne, można nawet potańczyć, no i udało nam się przedłużyć zabawę do trzeciej nad ranem.

- Ja też bym chętnie coś czasem powiedział - wtrącił Kurt Kuurna z udawaną nieśmiałością. - Jak sobie palnę do południa dwa grogi, to zaraz diabelnie chce mi się gadać. A koniec tej opowieści znam co najmniej równie dobrze jak Kalle. Co prawda, czasem na chwilę się wyłączałem, bo słaby mam bardzo żołądek, lecz tym lepiej pamiętam tę scysję pod Runebergiem.

- Proszę mi najpierw opowiedzieć o pańskiej wizycie u pani Skrof - wtrącił ostro Palmu.

- A, tak, prawie już o tym zapomniałem - ocknął się Kuurna. - Sprawa wygląda tak, że przez całe popołudnie o pustym żołądku i bez zmrużenia oka, jak to się mówi, pilnie pracowałem nad wykończeniem portretu dyrektora banku, Kallberga, który widzicie panowie tam - wskazał skromnie na niedokończony obraz rozpięty na sztalugach. - Nie jest to, co prawda, praca zlecona, pomysł jednak przypadł mi do gustu, gdyż Kallberg w sposób nadzwyczaj subtelny odmówił niedawno przyjęcia ode mnie małego weksla, postanowiłem więc ujawnić całemu światu bezwzględną moralność finansjery, która stała się symbolem naszych czasów, a którą ta persona z końskim łbem tak wybitnie reprezentuje...

- Do rzeczy! - przerwał mu Palmu znudzonym głosem.

- No więc o wpół do szóstej natrętny dźwięk dzwonka jak zimny prysznic zgasił erupcję mego twórczego zapалу. Zauważyłem, że nasza niewierna Megajra...

- Kto? - przerwał mu Palmu.

- Postać z mitologii greckiej, potwór o cechach kobiety, siedem liter, na em. W rzeczywistości nasze domowe bóstwo nazywa się Mina, uznałem jednak, że imię to jest dla niej zbyt prozaiczne, i jednogłośnie przechrzciliśmy ją z Kallem na Megajrę. Bardzo jej to pochlebilo i żywię tylko nadzieję, że nie sprawdziła jeszcze w leksykonie, co to słowo oznacza.

- Niech mnie pan posłucha, młody człowieku - odezwał się Palmu zbolalym głosem. - Napominam pana, niechże pan wreszcie mówi do rzeczy. Co mnie, do ciężkiej cholery, mogą obchodzić przezwiska waszej służącej?

- Przecież sam pan zapytał - odciął się Kuurna, mieszając sobie z niewinną miną trzeci grog. - No więc było tak, że chwilę przedtem Megajra wyszła po mleko i przypuszczając, że zapomniała kluczy, bezwiednie wpuściłem do windy - zamiast niej - Skrofównę. Oczywiście nie doszłoby do tego, gdybym tylko wiedział, kto dzwoni.

Zerknął figlarnie na Palmu, ten jednak nie dał się już wrobić w kolejne pytanie - siedział w fotelu bez słowa, ze złością przygryzając wargi.

- Jestem bowiem młodym, przyzwoitym mężczyzną i bynajmniej nie zamierzałem narażać na szwank dobrego imienia porządnej dziewczyny, przyjmując ją w swoim atelier o tak późnej porze bez osób towarzyszących. Jednak przez pomyłkę Skrofówna dostała się tutaj i już od progu pytała o Kallego. Była wściekła i wielkie szczęście, że go nie zastała, bo naprawdę wyglądała, jak gdyby żywiła wobec niego mordercze zamiary.

Komisarz rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i Kuurna podjął już wyraźnie utemperowanym tonem:

- Prawdę powiedziawszy, biedna dziewczyna była zupełnie rozbita. Zdołałem z niej wydusić, że Kalle zamierza się z nią ożenić, że przyrzekł to już swojej ciotce. Skrofówna zaś tego nie chciała, bo nienawidziła Kallego i nienawidziła macochy, czuła wstręt do nich obojga, do mnie zresztą też. W ogóle brzydziła się wszystkimi mężczyznami i była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa, co łatwo zrozumieć. Próbowałem jej wyjaśnić, że o ile znam Kallego, to nie pójdzie na małżeństwo za żadną cenę, lecz dziewczyna uważała chyba, że Kalle za pieniądze zrobiłby każde świństwo. Po pewnym czasie trochę się uspokoiła i powiedziała mi, że odeszła od ciotki na zawsze i od teraz zamierza sama na siebie zarabiać. Podobno jedna z jej dawnych koleżanek z klasy jest pielęgniarką i Skrofówna zamierzała na

początku zamieszkać właśnie u niej. Poparłem ją serdecznie w tym szlachetnym zamiarze i obiecałem postarać się o jakąś pracę dla niej. Chyba nawet przyrzekłem, że jeżeli sama nic nie znajdzie, to zatrudnię ją u siebie do pozowania. Poza tym pożycyłem jej na dobry początek trochę grosza. Dla tych, którzy mnie dobrze znają, brzmi to na pewno niewiarygodnie, lecz tak właśnie zrobiłem. Nazbyt mam wrażliwe serce. Najbardziej mnie jednak cieszyła myśl, że pogrzebię egocentryczne machinacje tej starej despotki.

Kuurna wzdrygnął się i nieco zbladł. Mimowolnie pomyślał - tak jak my wszyscy zresztą - że w istocie w zastanawiająco krótkim czasie wszystkie plany pani Skrof zostały pogrzebane na zawsze.

- Ale jak pan się u niej znalazł? - zagadnął go Palmu.

- No, Skrofówna wpadła jak po ogień i w rzeczy samej, kiedy wyszła, cały mój twórczy zapał diabli wzięli - poskarżył się Kuurna, udając oburzenie. - Na dodatek stara Megajra działała mi już na nerwy, bo bez przerwy mnie, nie wiedzieć czemu, suszyła głowę, że Kalle nic jej nie powiedział, iż nie będzie go na obiedzie, i gdzieś przepadł jak kamień w wodę. Znosiłem to cierpliwie jakiś czas, lecz w końcu zarzuciłem płaszcz i powiedziałem jej, że idę szukać Kallego na chirurgii i w prosektorium. Ta promienna uwaga natychmiast skierowała moje myśli ku Skrofowej, więc postanowiłem pójść do starej i przemówić jej do rozsądku. Przecież to okrutne, anowoczesne i w ogóle, zmuszać dwoje młodych ludzi do małżeństwa, którego oni sami nie chcą. Pomyślałem zarazem, że mógłbym niejako upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i zapytać, czy nie zechciałyby wesprzeć wschodzącej sztuki fińskiej i zdyskontować owego małego weksła, do którego dyrektor banku, Kallberg, jak już wspomniałem, ustosunkował się z taką rezerwą. Przecież mógłbym mu dać w zastaw na przykład moje Kuszenie.

- Że jak? - zapytał Palmu podejrzliwie.

Kurt Kuurna z niewinną miną wskazał na oparty ścianę obraz, na którym naga kobieta leżała na patelni z fortepianem w ręku.

- Tak się nazywa ten obraz, Kuszenie - wyjaśnił, nie kryjąc twórczej dumy. - Moim zdaniem idealnie konweniuje Skrofowej. Ta bez mała religijna refleksja i w ogóle...

- Czy pan rzeczywiście sądził, że pani Skrof... - wyjąkał Palmu, lecz słów mu zbrakło i zamilkł.

- Ależ skąd, bynajmniej - przyznał Kuurna. - Nie miałem najmniejszych złudzeń co do rodzaju sztuki, w jakiej gustuje pani Skrof. Jakiś pretekst musiałem jednak mieć. Tak więc około siódmej zaszedłem do niej i trafiłem, jak na zamówienie, na śliczne małe tumultum.

- Czego multum? - zdziwił się Palmu.

- To z łaciny, oznacza kłótnię, zamieszanie, wrzawę i tak dalej - oświecił go skwapliwie Kuurna. - Przepraszam, komisarzu. To moje klasyczne wychowanie...

- Pańskie wychowanie, młody człowieku... - zaczął Palmu tonem wykładowcy, lecz dostrzegłszy kątem oka, że pilnie stenografuje, umilkł w pół słowa. Kuurna, już poważniejszy, szybko podjął przerwany wątek.

- Skrofowa sama otworzyła drzwi. Jedną ręką uspokajała, że tak się wyrażę, swojego Baroneta, dławiącego się niemal własnym szczekiem, drugą zaś dyrygowała żoną dozorczy, która podzwaniała w kuchni statkami. Mówiła na przemian to do mnie, to do swojej maskotki imieniem Mustapaa, która siedziała w pokoju, i choć raz z pokorą przyjmowała słowa nagany i Bożego napomnienia.

- Niechże pan chwilę zaczeka - przerwał mu Palmu. - To ważne. Po kolei: pies się wabił Baronet?

- Właściwie to Baron - poprawił z uśmiechem Kuurna. - Nazywałem go tym zdrobnieniem w ramach werbalnej pieszczoty. Nadzwyczaj czarujący i przyjazny jamnik. Toczył pianę z wściekłości, że nie może mnie ugryźć w łydkę.

Palmu wzruszył ramionami z rezygnacją. Nadludzkim wysiłkiem woli zdołał się opanować i z wymuszonym spokojem zapytał:

- A zatem żona dozorczy zmywała w kuchni naczynia. A pan i kaznodzieja Mustapaa siedzieliście w pokoju pani Skrof. Czy drzwi między pokojem a kuchnią były zamknięte?

- Czasem tak, a czasem nie - odparł na to Kuurna.

- Innymi słowy, za każdym razem, gdy pani starsza chciała zjechać żonę dozorczy za niezdarne obchodzenie się ze statkami, otwierała drzwi i przechodziła do kuchni. Wówczas, korzystając z okazji, starałem się podnieść na duchu pana Mustapaa, a mianowicie częstowałem go mądrymi sentencjami o marności i ulotności ziemskiej chwały oraz doczesnej sławy.

- A zatem kaznodzieja Mustapaa został jeszcze w mieszkaniu po pańskim wyjściu? - spytał poważnie zamyślony Palmu.

- Bynajmniej - odpowiedział Kuurna. - Wszystko wskazywało na to, że zdążyli już ze starą Skroflową wstępnie załatwić swoją sprawę, zanim się zjawiłem. „Niszczy pani dzieło mego życia”, rzekł Mustapaa, na co stara tylko zasyczała. „Bóg pokarze panią za harde serce i brak miłosierdzia, pani Skrof”, zapewnił ją jeszcze. To tylko przykłady, które z uwagi na jędrność wryły mi się niejako głęboko w pamięć. Nie dane mi było jednak nacieszyć się obecnością tego pana dłużej niż dwie minuty, pani starsza bowiem dosłownie wyrzuciła go za drzwi, przykazując na odchodnym, aby nie śmiał nigdy więcej przekroczyć progu jej domu.

Zdawało mi się, że Mustapaa zaklął przynajmniej dwa razy, ale głowy za to nie dam. - Kuurna zamilkł i zerknął na Palmu. - Moim zdaniem takie zachowanie nie przystoi osobie duchownej - dodał nabożnie.

- No, a jak przebiegła pańska rozmowa z panią Skrof? - ponaglił go komisarz, zerknąwszy na zegarek. Nie bez przyczyny, zbliżała się już bowiem dwunasta.

- Zacząłem od tego weksla. Musi pan wiedzieć, panie komisarzu, że wywodzę się z jyvaskylańskich Kurstrómów i dlatego pani starsza zawsze zachowywała się wobec mnie uprzejmie.

- To tłumaczy wszystko - skwitował Palmu, wodząc posepnym spojrzeniem po atelier.

- Tak, nasz ród nobilitowano w siedemnastym wieku. W czasie wojny trzydziestoletniej mój szalony praszczur pożyczył konia Gustawowi Adolfowi, w wyniku czego król drapnął w chrusty, praszczur zaś został w mig skrócony o głowę. Gdyby tego nie zrobił, wojna wreszcie by wygasła, co nie tylko naszemu krajowi, ale i całej Europie oszczędziłoby masy bezsensownych zniszczeń. Rozumie więc pan chyba doskonale, dlaczego uznałem, że ktoś w tej rodzinie powinien wreszcie zmienić nazwisko.

- Interesująca historia, ale... - przerwał mu komisarz ze zdumiewającą w tych okolicznościach wyrozumiałością.

Odniosłem wrażenie, że opowieść Kuurny istotnie go zainteresowała, choć na pewno nie przyznałby się do tego.

- Sam pan zatem rozumie, panie komisarzu - ciągnął Kuurna, ignorując zupełnie jego wtrącenie - że ród mający za sobą trzysta lat historii może wydać na świat nawet takiego zgniłka jak Kurt Kuurna. W następstwie naszych dwóch wcześniejszych spotkań stara Skrofowa nie mogła mnie ścierpieć, lecz płynąca w jej żyłach krew Langellów domagała się wielkim głosem należytych względów wobec barona Kurstróm-Kuurny. Tak się bowiem składa, że Langellowie dochrapali się herbu dopiero pod koniec ubiegłego stulecia, kiedy pradziadek naszego Kallego był gubernatorem na dalekiej prowincji i osuszał strumienie...

- Dostał pan te pieniądze od pani Skrof? - przerwał mu bezceremonialnie Palmu.

- Nie, i bynajmniej tego nie oczekiwałem - przyznał Kuurna. - Pani Skrof zaczęła narzekać, że przyszły ciężkie czasy i stara biedna kobieta nie może sobie pozwolić na lokowanie oszczędności w niepewne dzieła sztuki, choć bardzo by tego chciała. Z jej przemowy wywnioskowałem, że boi się na starość trafić do przytułku. W duchu bardzo jej współczułem, bo oczywista to rzecz, że podobna wizja przyszłości musi być przerażająca dla starej kobiety, która w ubiegłym roku miała milion dochodu i jeszcze zapłaciła od niego podatek. Jednakże z wrodzonej delikatności zachowałem to spostrzeżenie dla siebie i

zmieniłem temat na Kallego i Kirsti, to znaczy na pannę Skrof. Stara od razu zwąchała pismo nosem i nabrała rezerwy. Zdołałem z niej jednak wyciągnąć, że zmieniła już testament na ich korzyść i małżeństwo jest nieuniknione. A potem mnie zapytała, czy znam panią Iiri Salmię.

- Kurt! - krzyknął ostrzegawczo Lankella.

Żyły pulsowały mu na skroniach.

- Przecież to musi kiedyś wypłynąć - odrzekł obojętnie Kuurna. - Nie bądź śmieszny, Kalle. No więc stara Skrofowa zapytała mnie wprost, czy moim zdaniem Iiri Salmia zadowolili się dwustoma tysiącami. Podobno taką sumę przyobiecała Kallemu na zamknięcie tej sprawy i pieniądze czekały już na niego w szufladzie biurka. Nie wiem, skąd się wzięło u starego pokolenia tak złe mniemanie o nas, młodych, zupełnie jak gdyby można nas było kupić kilkoma szemranymi papierkami z czterocyfrowym nadrukiem. Niemniej tak się składa, że znam Iiri Salmię bardzo dobrze, więc z czystym sumieniem mogłem starą zapewnić, że rzeczona kwota zupełnie wystarczy, a przy odrobinie szczęścia Kallemu skapnie z tego jeszcze małe kieszonkowe, żeby miał na papierosy, nim stanie na ślubnym kobiercu.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytał ostro Palmu.

Kuurna nie odpowiedział. Lankella był pąsowy z wściekłości. Wzburzony, postąpił krok do przodu.

- Tyle tylko, że Iiri Salmii nie kupi się pieniędzmi! - wyrzucił z siebie gorzko.

- Dwieście tysięcy marek to dużo pieniędzy - zauważył Palmu półgłosem. - Choćby dla kiepsko opłacanych policjantów... ale mniejsza o to. A zatem pański szlachetny zamysł, panie Kuurna, spełzył na niczym.

- Panie konstablu - och, przepraszam, panie komisarzu - zdołał pan w jednym zdaniu zmieścić wszystko, o czym ja bezradnie paplam od dłuższego czasu - rzekł z zachwytem Kurt Kuurna. - Właśnie tak, mój szlachetny zamysł spełzył na niczym. Baronet warczał bez przerwy jak wściekły diabeł, a Skrofowa co rusz wychodziła podyrygować żonę dozorczy, więc w końcu poczułem, że jest mnie u niej zdecydowanie za dużo. Pożegnałem się jak dżentelmen i wróciłem tutaj. Wprawdzie przeszedłem po drodze przez bar w Kamppi, gdzie zassałem jednego głębszego. A że stamtąd mam dość daleko do domu, więc jako ten wielbłąd, co na pustyni już z daleka wyczuwa zapach oazy, na rogu Erottaji uniosłem nozdrza do wiatru i szepnąłem sobie...

- Sza! - ostrzegł go Lankella, który od pewnego czasu śledził z niepokojem mimikę komisarza.

Urażony Kuurna zamilkł.

- Kalle wrócił do domu około dziewiątej - podjął po chwili lodowatym tonem. - Podzieliwszy się wrażeniami ze swoich podróży, doszliśmy jednomyślnie do wniosku, że wejście na nową drogę życia jest nieuniknione i dlatego trzeba urządzić małą pożegnalną bibkę. W przytulnym klubiku w Helsinkach czas minął nam jak zwykle i pod koniec popijawy stwierdziliśmy zgodnie, że złote lata młodości przechlapaliśmy z nieudolnymi głupcami i moczomordami bez grama talentu. Kiedy więc na zegarze zbliżała się trzecia...

- A zatem przebywaliście ze swoim towarzystwem mniej więcej od godziny wpół do dziesiątej wieczorem do trzeciej nad ranem? - podsumował Palmu. - Możecie to panowie udowodnić?

- Mamy na to około, i mówię około tak na wszelki wypadek, dwudziestu świadków - odrzekł Kuurna z przekonaniem. - Zakładam, że nie o mnie tu chodzi, lecz biedaczek Kalle będzie ich na pewno potrzebować, skoro w nocy stara kopnęła w kalendarz w tak przykrych okolicznościach. Gdybym nie był pewien... - dopowiedział, obrzucając druha niby karcącym spojrzeniem.

- Panie Lankella, a zatem może mnie pan zapewnić, że między godziną dziewiątą trzydzieści a trzecią nie wychodził z hotelu Helsinki? - zapytał Palmu surowym głosem.

- Nie wychodziłem - zapewnił go Lankella, choć w jego słowach wyczułem jakby lekkie wahanie. Przyjaciele wymienili zagadkowe spojrzenia. - Słuszniej byłoby powiedzieć, że Kurt i ja wyszliśmy z hotelu mniej więcej za pięć trzecia nad ranem, nieco przed naszymi gośćmi.

- Jak to wytłumaczyć? - zapytał komisarz.

Kuurna spojrzał błagalnie na druha, który już otwierał usta, by odpowiedzieć, i wtrącił pośpiesznie:

- Bo widzi pan, panie komisarzu, znużyła nas śmiertelnie ta cała kompania. Uznaliśmy, że nie przedstawia dla nas żadnej już wartości. A gdybyśmy z hotelu wyszli razem z nimi, oczywiście wszyscy wprosiliby się tutaj na dalszy ciąg ochlejstwa. Megajra by się wściekła. Dlatego też wymknęliśmy się chyłkiem pierwsi i wsiedliśmy do auta. Kalle czuł się jednak trochę niepewnie za kołem sterowym, postanowiliśmy więc zajechać na Esplanadę i nieco odpocząć. Wspólnymi siłami zatrzymaliśmy wóz przy parku na rogu Kluuvi³ i usiedliśmy na ławce. Było już niemal widno, lecz nasze myśli wypełniała bez reszty wstrząsająca powaga życia...

- Bogiem a prawdą, byliśmy lekko wstawieni - zauważył Lankella ze skruszoną miną.

³ Ulica Kluuvikatu, niewielka przecznica Północnej Esplanady. Park z pomnikiem Runeberga znajduje się między Północną a Południową Esplanadą.

- Wstawieni? - zagrział niemal Kuurna i spojrzał na druha z wyrzutem. - Byliśmy urznięci jak cztery dziewczki. Ululani jak dwa pawiany. Nawet ja, choć mam słaby żołądek. Zaczęliśmy, oczywista, rozmawiać o kobietach. Zna pan te rozmowy, panie komisarzu, że kobieta to najbardziej podstępne ze wszystkich zwierząt na Ziemi i tak dalej. Wskutek tych przemyśleń Kalle postanowił, że jeszcze dziś pojedzie do Lankelli i zostanie porządnym właścicielem folwarku, spłaci długi na hipotecę produktami rolnymi, uszlachetni bydło i sprzeda trochę lasu, jak to się robi na wsi, i tak dalej, i tak dalej. Mnie najął na zarządcę...

Palmu się roześmiał. Kuurna spojrzał na niego głęboko urażony.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Może mi pan nie wierzyć, lecz po maturze wstąpiłem na wydział rolnictwa i leśnictwa. Wówczas wydało mi się to pierwszorzędnym żartem, a teraz w sam raz przypasowało, jak kantar do gęby. Postanowiliśmy wyjechać całkiem serio, i to od razu, dziś. Tymczasem jednak udaliśmy się na małą przechadzkę. Niestety, szczególnie daleko nie uszliśmy, gdyż musieliśmy się na sobie wspierać, a kierunki marszruty mieliśmy rozbieżne. W takich okolicznościach znaleźliśmy się nagle pod pomnikiem wieszczka Runeberga, który nasze szlachetne miasto postanowiło upiększyć i nasadziło wokół cokołu wiosenne kwiaty. Pięknie kwitły w świetle poranka. Na drzewie śpiewał ptak. W przypiływie tkliwości poczuliśmy wyraźnie, że jesteśmy złymi ludźmi.

- Wcale się nie dziwię - zauważył zgryźliwie Palmu.

- Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni, jak powiedział kaznodzieja Mustapaa - rzekł Kuurna z przyganą. - A kto jest bez grzechu... i tak dalej. Ktoś mógłby także panu zawiesić na szyi kamień młyński, panie komisarzu. No więc nagle poczuliśmy obaj, że powinniśmy wspomóc miasto w upiększaniu nobliwego pomnika wieszczka, podług naszych skromnych możliwości. I właśnie wtedy z hotelu Kamppi wyszedł jakiś spóźniony dżentelmen w galowym stroju, ja zaś, zupełnie bez namysłu, powiedziałem Kallemu: „Gdybyśmy tak mieli kapelusz, piękny kapelusz!”. A że Kalle myśli szybko, choć na pierwszy rzut oka trudno w to uwierzyć, żwawo podeszliśmy do porannego przechodnia. „Pan pozwoli?”, zapytałem, po czym ująłem jedwabny nocnik od tyłu, zdjąłem mu go z głowy i wręczyłem memu druhowi. „Dziękuję”, odpowiedział Kalle i począł się wdrapywać na cokół pomnika. Łatwiej to, prawda, powiedzieć, niż zrobić, ale nie takie rzeczy się w życiu robiło...

- Ale to nie ja podeptałem kwiaty! - wtrącił Lankella z nieco poczerwieniałą twarzą. Było widać, że męczą go wyrzuty sumienia.

- Nie, to nie Kalle podeptał kwiaty - poświadczył Kuurna poważnym tonem. - A po chwili Runeberg miał już na głowie śliczny jedwabny nocnik. Kalle zsunął się na ziemię, zadarł głowę i zaczął podziwiać dzieło rąk swoich. Odczuwaliśmy obaj głęboką, skromną

radość, że w tak zabawny sposób zdołaliśmy dopomóc miastu w dziele upiększenia pomnika wieszczą. Wówczas rzeczony dżentelmen chyba się zdenerwował. Uderzył Kallego laską, co już najlepiej świadczyło o tym, że wcale nie jest prawdziwym dżentelmenem. Ośmielił się nawet zażądać, by Kalle zwrócił mu cylinder. „To mój kapelusz”, wypowiedział przy tym głęboką myśl. Aby już nie przedłużać, powiem tylko, że ostatecznie przelazł przez ogrodzenie, bezwstydnie deptając po kwiatach, i podjął śmiałą próbę wdrapania się na cokół. Po chwili z niego spadł, miażdżąc co najmniej dziesięć pięknych tulipanów. Wtedy właśnie spostrzegliśmy policjanta, który zbliżał się do nas od strony Havis Amandy w wyraźnie przyspieszonym tempie. Kalle trochę się przestraszył, ja jednak, wspomniawszy na długi szereg mych szalonych praszczurów, zostałem na placu. Zamysł nasz był wszak szlachetny i sumienia mieliśmy czyste jak łąka. Dlatego też mogliśmy ze spokojem śledzić z boku rozwój wypadków.

Gdy Kuurna mówił, Palmu wpatrywał się badawczo w twarz młodego Lankelli. I ja spostrzegłem, że jest zdenerwowany. Co rusz gładził ręką włosy i przestępował z nogi na nogę. Był tak niespokojny, że nawet nie usiadł.

- „Czyj to kapelusz?!”, ryknął zeźlony konstabl, gdy tylko dotarł pod pomnik - podjął opowieść Kuurna. - „Mój!”, odkrzyknął z irytacją rzeczony dżentelmen, gramoląc się niezdarnie do pionu i tratując kolejne tulipany, jak jakiś wariat. Wtedy konstabl wciągnął go za kłapy na alejkę i chyba przy okazji trochę nim potrząsnął, wyrzekając na warcholenie w samym środku miasta. Rzeczony dżentelmen tak bardzo się zaperzył, że popełnił niewybaczalny błąd, a mianowicie usiłował przemodelować władzy facjatę. Policji nie należy nigdy stawiać oporu, nauczyły mnie tego gorzkie doświadczenia wczesnej młodości. Konstabl krzyknął na nas, że czas spać. Rzeczony dżentelmen zaczął ryczeć jak tur, my z Kallem zaś wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy. Rozumiem zatem, że konstabl nie do końca trafnie ocenił sytuację, gdyż uznał zapewne, że to ów dżentelmen osobiście przykrył cylindrem łysinę Runeberga, a kiedy schodził, spadł na cztery litery prosto w tulipany.

- A zatem po tym zdarzeniu wróciliście prosto do domu? - zapytał komisarz bez dodatkowych aforyzmów.

- Trafnie pan zgadł, komisarzu - zapewnił Kuurna.

- Godziny podać nie mogę, ale słońce grzało już wesoło, na drzewach w parkach zaś rozśpiewały się ptaszki. Odrobina ruchu na świeżym powietrzu dobrze nam zrobiła, mogliśmy więc pojechać prosto do domu. - Zamilkł na chwilę i z wahaniem spojrzał na druha, zaraz jednak podjął zdecydowanie: - To znaczy, na początku postanowiliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście jesteśmy na tyle trzeźwi, by wrócić do domu. Najpierw Kalle jechał chodnikiem,

ja zaś wszedłem na dach auta i złapałem cygaro, które wisiało w charakterze szyldu nad pewnym sklepem tytoniowym. Okazało się jednak, że to zwykła blacha, co mnie głęboko dotknęło, nie lubię bowiem szwindli. Potem ja z kolei usiadłem za sterem, a Kalle stanął na dachu i capnął miseczkę do golenia, taką mosiężną, co to wisi zawsze nad wejściem do goli-brody. Uznaliśmy wtedy, że skoro żaden z nas nie spadł z dachu samochodu, jesteśmy najzupełniej trzeźwi, i bardzo zadowoleni wróciliśmy do domu. Bo muszą panowie wiedzieć, że Megajra wpada w furję, kiedy wracamy nad ranem, że się tak wyrażę, nazbyt umeblowani.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Milczenie komisarza najwyraźniej działało na obu bohaterów bardzo deprymująco.

- No i to by było na tyle - zakończył Kuurna słabym głosem.

Palmu wstał, założył ręce w tył i kilka razy przeszedł po atelier w tę i z powrotem. Coś go nurtowało.

- To bodaj najgłupsza bajka, jaką w życiu słyszałem - orzekł w końcu smutnym głosem. - Może właśnie dlatego wydaje się prawdziwa. A zatem, panie Kuurna, może pan zaświadczyć, że przebywał w towarzystwie pana Lankelli cały wieczór, aż do momentu udania się na spoczynek?

- Pan komisarz najzupełniej słusznie pojął wymowę tej historii - zapewnił go z szacunkiem Kurt Kuurna.

- Czy pozwolicie mi panowie skorzystać z telefonu? - zapytał spokojnie Palmu.

Lankella zaprowadził go do aparatu i zostałem w atelier sam na sam z Kurtem Kuurną. Odniosłem wrażenie, że po wyjściu komisarza oklapł i nie miał już ochoty zabawiać mnie głupstwami.

- Kac stulecia - mruknął pod nosem i z wyraźnym niesmakiem popróbował grogu.

Postanowiłem wykorzystać tę chwilę przerwy na przejrzenie notatek z odbytej rozmowy. Do atelier wrócił Lankella i oparł się o ścianę. Próbował wypalić papierosa, lecz mu nie smakował, więc zdusił go w popielniczce nerwowym ruchem. Głos komisarza dobiegał zza ściany jako niewyraźny pomruk.

Palmu wrócił dopiero po kwadransie. Twarz miał bardzo poważną. Gdy tylko wszedł, instynktownie pojąłem, że czas niewinnych pogaduszek skończył się na dobre. Sądzę, że Lankella i Kuurna też to wyczuli, wymienili bowiem ponownie owe nie do końca dla mnie jasne, porozumiewawcze spojrzenia.

- Szanowni panowie, policja porządkowa potwierdza waszą bzdurną historyjkę - odezwał się Palmu.

- Przyjdzie wam w swoim czasie odpowiedzieć za te harce i mam wielką nadzieję, że sędzia nie poprzestanie na zwykłym ostrzeżeniu. A teraz do rzeczy: panie Lankella, pańska ciotka zmarła tej nocy w wyniku zatrucia gazem. Na początku wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek, teraz jednak niezaprzeczalne fakty dowodzą, że w grę wchodzi zaplanowane z zimną krwią morderstwo. Z szuflady biurka pańskiej ciotki zniknęło też owe dwieście tysięcy marek, o których pan wspomniał; właśnie przed momentem kazałem to sprawdzić. Czy gra pan w tenisa, panie Lankella?

Wypalił z tym pytaniem tak nagle, że serce mi zamarło. Lankella też się wzdrygnął.

- Chodzę do hali tenisowej trzy razy w tygodniu - odparł, nie mając najmniejszego pojęcia, do czego pije komisarz.

- A pan, panie Kuurna?

Kuurna pokręcił głową, nic nie mówiąc. Jego oczy zrobiły się czarne i nieszczęśliwe, nagle przestał się zgrywać.

- Muszę pana poprosić o wydanie mi swoich tenisówek, panie Lankella - rzekł Palmu z nutą współczucia w głosie.

Nikt już nie był skory do żartów i kpin. Lankella bez słowa wyszedł z atelier. Czekaliśmy na jego powrót w pełnej napięcia ciszy. Po dwóch minutach wrócił z pustymi rękoma.

- Musiałem je zostawić w szafce w hali - powiedział poważnym tonem. - Zazwyczaj tenisówki, koszulkę i spodenki noszę w małej torbie, którą najwyraźniej zostawiłem w szatni.

- W hali tenisowej, jak rozumiem? Jaki jest numer pańskiej szafki? - kolejne pytanie komisarza gruchnęło jak wystrzał.

- Numeru nie pamiętam. Lecz wystarczy w szatni wymienić moje nazwisko, na pewno panu wskażą.

Palmu ponownie wyszedł zadzwonić. Po chwili wrócił i stanąwszy tuż przed młodym Lankellą, spojrzał mu prosto w oczy.

-- Jeszcze jedno pytanie. Gdzie się pan zranił w rękę ubiegłej nocy?

Reakcja zadziwiła nawet mnie. Lankella cofnął się niepewnym krokiem, próbując wepchnąć zabandażowaną dłoń z powrotem do kieszeni szlafroka. Opadł na krzesło i uniósł do drżących ust szklaneczkę whisky. Wreszcie ześrodkował rozbiegany wzrok na twarzy komisarza.

- Tego pan się nigdy nie dowie -- odezwał się tonem gorzkiej przekory.

A zatem było to morderstwo. • Komisarz Palmu gani mnie za głupotę, rozrzutność i niestosowne zachowanie. • Zaspana pielęgniarka i wcielona furia. • „Dlaczego panowie tak na mnie patrzają?”

Po chwili milczenia komisarz Palmu wzruszył ramionami.

- W porządku - powiedział groźnie. - Pańskie zachowanie ułatwia nam tę przykrą misję. Nakazałem przeprowadzić u pana rewizję, technicy przybędą tu za dwie minuty. Do tego czasu nikomu nie wolno opuścić mieszkania. Tymczasem poproszę o podanie listy osób, które mogą potwierdzić, że wczoraj wieczorem i w nocy w wymienionych przez pana godzinach był pan w hotelu Helsinki.

Zamilkł na sekundę, pewnie przysłała mu do głowy jakaś nowa myśl. Bardzo wolno dopowiedział:

- Zapewne obu panów zainteresuje informacja, że wczoraj wieczorem panna Skrof wróciła do domu.

Kuurna skoczył na równe nogi, jego oczy ziały czarnym przerażeniem.

- Przecież w takim razie... - zaczął drżącym głosem; ale zaraz urwał, na próżno siląc się na poprzedni ton. - Panie komisarzu, z pana jest prawdziwy diabeł! Czy to znaczy, że Skrofówna również...?

Nie dokończył jednak. Komisarz pokiwał głową i się uśmiechnął. Nieco łagodniej powiedział:

- Nie, w nocy nie było jej w domu, łóżko było nietknięte. Obecnie nikt nie wie, gdzie przebywa panna Skrof, dlatego proszę pana, panie Kuurna, o podanie mi jej obecnego adresu.

Kuurna się zawahał.

- Rzeczywiście, zostawiła mi adres, gdy zaszła tu do nas wczoraj - przyznał z ociąganiem. - W końcu przyobiecałem, że znajdę jej jakąś odpowiednią pracę. Musiałem jednak przysiąc, że nie wyjawię go nikomu, a już na pewno nie macosze, gdyby ta zaczęła jej szukać. No, ale... - wzruszył ramionami. - Przecież to bez znaczenia. I tak byście ją szybko znaleźli, a i ja nawet przez chwilę nie wierzyłem, że wytrwa w postanowieniu i nie wróci już nigdy do starej Skrofowej. Powiedziała, że na początek zamieszka z jakąś dawną koleżanką z klasy. Pielęgniarka, panna Pihlaja, mieszka na ulicy Górskiej, jeśli mnie pamięć nie myli. -

Kuurna wyciągnął z kieszeni schludnie prowadzony notes, wydarł z niego kartkę i podał ją komisarzowi. - Tu ma pan adres - powiedział i zdobył się raz jeszcze na cienki żart: - Proszę zabrać kajdanki, kiedy pan do niej pojedzie, panie komisarzu. Skrofówna to wcielona furia i nienawidzi mężczyzn.

Słaby dźwięk dzwonka u drzwi obwieścił, że pod dom zajechała już limuzyna ekipy z komisji zabójstw. Sztywno jak automat Lankella wyszedł do przedpokoju i wcisnął przycisk przy kratce głośnika, otwierający drzwi windy.

- Panie komisarzu - odezwał się bezradnie. - Panie komisarzu... czy mógłby pan...

- Tak? - podchwycił szybko Palmu.

Nagle Lankella potrząsnął głową i wziął się w garść. W jego oczach znów błysnęła mroczna przekora; wyprostował gwałtownie szyję.

- Nic - odpowiedział niegrzecznie. - Nic zupełnie!

Gdy tak stał, przypominał trochę nadąsanego chłopca. Palmu położył mu na chwilę rękę na ramieniu.

- Po wyjściu techników może pan pojechać do mecenasa Lannego - powiedział nieomal przyjaźnie. - Na pewno chciałby się z panem naradzić w kilku bieżących sprawach.

- Czyli chodzi o pieniądze - skwitował zgryźliwie Lankella. - Przekłête pieniądze, jak ja nimi gardzę! Kurt już wczoraj wieczorem mówił mi o testamencie ciotki. Nie jestem zaskoczony.

Usłyszałem odgłos windy, hamującej piętro niżej, i zbliżające się szybko męskie kroki. Komisarz otworzył drzwi.

- Witajcie, chłopcy - zwrócił się do nich przyjaźnie. - Spróbujcie się uwinać, ale nie zróbcie tu strasznego bałaganu. Ja muszę już iść. - Co rzekłszy, włożył na głowę kapelusz i pociągnął mnie za sobą. Zeszliśmy szybko po schodach na ostatnie piętro i weszliśmy do windy.

Bez zbytnich negocjacji wsiedliśmy do pierwszej taksówki na rogu ulicy i pojechaliśmy na Górską, pod adres podany przez Kurta Kuurnę. Czułem w brzuchu napięcie - tak objawiał się u mnie ten sam łowiecki zapach, który rozdymał nozdrza komisarza.

- A zatem znalazły się ślady - rzekłem, gdy rozsiedliśmy się w aucie.

- Na balkonie próbowano je zetrzeć jakimś miękkim materiałem. Ale zarówno tam, jak i na dachu udało się zdjąć dwa doskonale odciski. Buty na gumowej podeszwie. Niemal na pewno tenisówki. A najlepsze jest to, że na okapie i żelaznej drabince chłopcy znaleźli kilka kropel krwi... To był stary pies, lecz zęby miał jeszcze ostre. Jego sprawa zresztą też się wyjaśniła. Złamane kręgi szyjne.

- A odciski palców? - zaciekałem się.

- Nie ma, bo nasz morderca działał z zimną krwią. Ani na chwilę nie zdjął rękawiczek, mimo że ugryzł go pies. Wygląda na to, że wytarł wszystkie ślady krwi. Poza tym rana mogła być niegroźna i zaczęła płamić dopiero na dachu, czego w mroku morderca nie dostrzegł. A pies wcale nie musiał ugryźć go w rękę...

To przypuszczenie wydało się nieco naciągane, gdyż obaj od razu pomyśleliśmy o obandażowanej dłoni młodego Lankelli. Komisarz podjął relację, jak gdyby chciał uporządkować myśli.

- Pies najwyraźniej zawczasu usłyszał mordercę i zaskoczył go przy drzwiach balkonowych. Wywiązała się krótka, bezpardonowa walka w całkowitych ciemnościach. Potem morderca spokojnie zapalił światło i złożył psa na legowisku w jak najbardziej naturalnej pozycji. Wyjął klucze spod poduszki pani Skrof, otworzył szufladę biurka, powpychał pliki banknotów do kieszeni i odłożył klucze z powrotem - znaleziono je pod poduszką właśnie - po czym przeszedł do kuchni, odkręcił gaz i zapalił ogień, wylał trochę owsianki z garnuszka na palnik, tak, że płomień zgasł, wreszcie wyłączył światło i zamknął ponownie drzwi balkonowe. Przedtem starannie wytarł kurz z progu między wewnętrznymi i zewnętrznymi drzwiami balkonu. Może były na nim jego ślady. No więc wyszedł na balkon, zamknął drzwi na klucz, zatkał dziurkę watą, przetarł kilka razy posadzkę balkonu, aby zatrzeć ślady, po czym wdrapał się na dach, a stamtąd zszedł po drabince na podwórze. Tak to chyba mniej więcej musiało wyglądać.

- Lecz przecież w mieszkaniu musiały zostać jakieś odciski palców? - indagowałem.

- Jak najbardziej - odparł Palmu z nutą goryczy w głosie. - Oczywiście, że w mieszkaniu zostały odciski palców. Prawdę mówiąc, jest ich tam cała masa. Są więc odciski twoje i moje, nie mówiąc o odciskach Ary, żony dozorca i pani Hallamaa, a także młodego Lankelli, panny Skrof, mecenasa Lannego, Kurta Kuurny i karnodziei Mustapaa, oraz w ogóle wszystkich osób, które mają choćby nikły związek z tą sprawą. Zapominasz, że każda z nich była wczoraj w mieszkaniu pani Skrof, aby niejako zawczasu zostawić ślady, gdzie tylko się da. Dlatego odciski palców nie powiedzą nam absolutnie nic.

Zadumałem się na chwilę, po czym rzekłem odważnie:

- W każdym razie pewne jest to, że pani Skrof zażyła wieczorem jakiś środek odurzający. W przeciwnym razie morderca nigdy nie odważyłby się poczynić sobie tak śmiało. Każdy, kto spotkał się wczoraj z panią Skrof, na własne oczy widział, że jest zdenerwowana, nietrudno się zatem było domyślić, że wieczorem zażyje lek nasenny. Wystarczyło pod byle pretekstem zejść do mieszkania i pod nieobecność gospodyni w pokoju

podmienić pierwszą tabletkę pantofonu z fiolki. Za jednym zamachem morderca mógł wyjąć klucz z drzwi balkonowych, o ile nie zrobił tego już wcześniej. Jego zniknięcia chyba nikt by nie spostrzegł, bo dziurkę od klucza zasłaniały wewnętrzne drzwi balkonowe.

Palmu prychnął.

- Aż tyle czasu zajęło ci dojście do tak prostego wniosku? - zapytał z ojcowską złośliwością.

- Porządkowałem tylko myśli - odrzekłem z godnością. - A zatem każdy, kto był wczoraj w mieszkaniu pani Skrof, staje się automatycznie podejrzanym. - Nagle aż podskoczyłem. - A ściślej mówiąc, każdy, kto wiedział, że panna Skrof nie spędzi tej nocy w domu. Chyba, że...

- Chyba, że nieobecność panny Skrof okazała się dla mordercy ciężkim ciosem - dokończył Palmu, a kąciaki jego oczu ułożyły się w psotny uśmiech.

- A kto skorzystałby na jej śmierci? - postawiłem pytanie. - Oczywiście młody Lankella. W testamencie zapisano, że w razie śmierci jednego z dwojga spadkobierców...

- Ech, nie bądź idiotą - zganił mnie niegrzecznie Palmu. - Sam widzisz, do czego dochodzi, gdy człowiek zaczyna zbaczać na myślowe manowce. Cały czas trzeba mieć w pamięci wszystkie fakty. Fakty i tylko fakty. To oczywisty warunek wstępny: morderca musiał wiedzieć, że panna Skrof nie będzie w domu. Inaczej obudziłby ją wtargnięciem do mieszkania. A nawet jeśli nie on, na pewno zrobiłby to ujadający pies. Tak przebiegły morderca w niczym nie mógł zdawać się na szczęśliwy traf.

Rozdziawiłem usta, po chwili jednak odzyskałem równowagę.

- Przerywasz mi ciągle w pół zdania - odezwałem się z udanym wyrzutem. - Chciałem powiedzieć: chyba, że mordercą jest... panna Skrof!

Jak tonący brzytwy postanowiłem chwycić się myśli, która właśnie strzeliła mi do głowy, aby jakoś wybrnąć z głupiego położenia. Ale Palmu się nie uśmiechnął. Bardzo poważnie spojrzał mi w oczy i rzekł:

- Na razie nie mamy prawa formułować oskarżeń pod adresem konkretnych osób. Najpierw fakty. Wszystkie fakty, jakie tylko zdołamy zebrać. Dopiero potem wnioski. Sądzę, że sposób działania mordercy udało nam się odtworzyć prawdziwie, pod warunkiem, że jutrzejsze otwarcie zwłok potwierdzi, iż wczorajszego wieczoru pani Skrof zażyła nieświadomie taką czy inną substancję odurzającą. Lecz stąd jeszcze daleka droga do ujęcia mordercy. Nawet pojęcia nie masz, jak daleka.

Westchnął cicho i wparł plecy głębiej w kanapę, by wysupłać portmonetkę z kieszeni spodni. Byliśmy na miejscu. Spokojnie zapłaciłem za kurs, zanim Palmu zdążył się dokopać

do swoich pieniędzy, co skwitował kilkoma pomrukami, które mogłem zrozumieć jako podziękowanie, ale i przyganę za rozrzutność. Być może chciał mi się jakoś zrewanżować, bo powiedział:

- Specjalista z gazowni ustala właśnie godzinę popełnienia morderstwa. Czy może raczej prawdopodobny czas otwarcia kurka z gazem. Ale gdy tylko złapiemy wreszcie pannę Skrof, powinniśmy być w stanie zawęzić te ramy czasowe z przyzwoitą dokładnością. Ostatecznie dziewczyna zajmowała się domem i wiedziała, ile mniej więcej gazu zużyły z ciotką od ostatniego odczytu. Rzecz jasna pod warunkiem, że nie było to zbyt dawno temu.

Jednak panny Skrof nie złapaliśmy. Po dwóch dzwonek w drzwiach kawalerki pielęgniarki Pihlaj stanęła rozespana i rozeźlona młoda kobieta. Dowiedzieliśmy się, że cały poprzedni tydzień pracowała w szpitalu na nocną zmianę i zaledwie wczoraj dostała dwa dni wolnego, by mogła wyspać się do woli. Po wysłuchaniu, co nas sprowadza, przyznała, że panna Skrof istotnie przyjechała do niej poprzedniego dnia wieczorem i oświadczyła, że wyprowadziła się z domu. Była wzburzona i niespokojna. Ponieważ panna Pihlaja z kolei była bardzo zmęczona, wręczyła jej swoje klucze i udała się na spoczynek. O godzinie mniej więcej pół do dziesiątej panna Skrof wyszła i wróciła dopiero o pierwszej w nocy. Wtedy zaparzyły sobie herbaty i dwie godziny rozmawiały o przyszłości. Jednak po dobrze przespanej nocy dziewczę przejrzało na oczy, jak nieco złośliwie zauważyła panna Pihlaja. I niemal wesołe przed mniej więcej kwadransem poszło z powrotem do mieszkania ciotki. A wtedy panna Pihlaja mogła ponownie nasunąć kołdrę na uszy i właśnie zapadała w sen, gdy przyszliśmy jej przeszkadzać.

Młoda pielęgniarka ziewała bezceremonialnie i patrzyła na nas z ciekawością. Była to dziewczyna bardzo żywa i konkretna, kształty też miała niczego sobie, a włosy... no, mniejsza z tym. Uśmiechnęła się do mnie nieznacznie, za co Palmu zganił mnie potem na ulicy.

- Detektyw myślący tylko o tym, jak wykorzystać sposobność do niestosownego flirtu z dziewczyną, z którą się spotyka w bardzo poważnej sprawie.... - zaczął tonem upomnienia, lecz tym razem to ja mu przerwałem.

- Czyż nie pierwszym obowiązkiem detektywa jest nawiązywać przyjacielskie stosunki z najróżniejszymi osobami? - zapytałem niewinnie, starając się patrzeć mu prosto w oczy. - Czyż nie powinien się starać budzić zaufanie i sympatię szoferów, boyów, gońców i myśliwych, bo może mu się to kiedyś przydać w śledztwie? - zacytowałem z pamięci instrukcje dla detektywów policyjnych. - Co prawda, o pielęgniarkach nie ma tam ani słowa - przyznałem nieśmiało - ale przyjacielskie stosunki z nimi też na pewno nie zaszkodzą.

- Kiedy ja byłem młody... - zaczął komisarz, lecz zaraz umilkł, bo otworzyłem mu uprzejmie drzwiczki kolejnej taksówki. - Chłopcze, chłopcze! - zadowolił się miałą przyganą i pokręcił głową.

Przed klatką 8A przy ulicy Nabrzeżnej stał na oko piętnastoletni chłopak o wyglądzie andrusa. Gapie już się rozeszli, choć ten i ów przechodzień lustrował kamienicę ciekawskim spojrzeniem. Chłopak przyskoczył do nas, zanim zdążyliśmy na dobre wysiąść z auta.

- Kirsti właśnie przyszła, jest u nas! - zameldował pospiesznie komisarzowi. Na widok jego zdziwionej miny dodał żywo: - Ja jestem Pentti Lanne. Widziałem pana komisarza rano, ale potem staruszek odwiózł mnie do szkoły. Teraz mam przerwę śniadaniową.

--A panna Skrof jest teraz u was? - Palmu przetrawił wreszcie słowa chłopca i uśmiechnął się do niego przyjaźnie. - Aha, to ty pożyczyłeś panu posterunkowemu maskę gazową. Zuch z ciebie!

- No! A ja wiem, którądy przyszedł morderca! - zabrzmiała zdumiewająca odpowiedź chłopaka.

- Kto ci powiedział o morderstwie? - w głosie komisarza zabrzmiała złość.

- No chyba by ci wszyscy detektywi nie włązili po drabinie na dach, nie czołgali się po okapie, nie wydzwaniali do gazowni i nie zdejmowali odcisków palców, gdyby to nie było morderstwo - odrzekł chłopak pogardliwie. - Taki głupi to ja jeszcze nie jestem!

- Niech ci będzie - zdecydował komisarz. - Panna Skrof wróciła chyba dopiero przed chwilą, więc damy jej jeszcze na uspokojenie. A ty chodź z nami, pokażesz nam to swoje odkrycie.

Wyszliśmy na podwórze. Pentti Lanne aż pałał z przejęcia.

- To proste jak drut - powiedział. - Bramę wjazdową i przejście na podwórze z klatki cieć zamyka o dziesiątej. Ale na podwórze można się dostać o każdej porze dnia i nocy inną drogą. Proszę za mną!

Obok podwórzowego ogródka stał pojemnik na śmieci. Pentti wszedł na pokrywę, skąd bez trudu wdrapał się na szczyt muru.

- Pan komisarz jest trochę przytęgi, ale to nic - rzucił przez ramię z nutą troski w głosie. - Proszę za mną, to bardzo proste.

Palmu bez słowa przełknął zniewagę. Wdrapaliśmy się za chłopakiem. Po drugiej stronie muru również stał pojemnik na śmieci. Zeszliśmy po nim na sąsiednie podwórko i po paru krokach znaleźliśmy się pod prostopadłą ścianą, przy porośniętej dziką winoroślą metalowej kracie. Po tej osobliwej drabinie można było łatwo wejść na mur, który nie miał w

tym miejscu więcej niż dwa metry. Pentti zaraz też znalazł się na górze i przerzuciwszy nogę przez szczyt, zniknął nam z oczu.

- Wchodźcie za mną! - ponaglił nas.

Komisarz mruknął coś o reumatyzmie, lecz wszedł po kracie i sapiąc, zeskoczył na drugą stronę. Z szacunku sforsowałem mur jako ostatni i stwierdziłem, że poziom gruntu po drugiej stronie jest zdecydowanie wyższy niż na środkowym podwórku - zejście po beczce przystawionej do ściany było proste jak zejście po schodach.

Znajdowaliśmy się na podwórzu przylegającym do terenów fabryki, a oddzielonym od niego przegniłym płotem. Pentti powiodł nas prosto do sklepionej bramy wjazdowej i zaczął majstrować przy zamku żelaznej kraty, która o tej porze była otwarta na ulicę.

- Ten zamek to kupa złomu - poinformował nas. - Jak się od zewnątrz wsunie rękę między prętami, można spokojnie wcisnąć zatrzask do środka, i krata otwarta. Wiedzą o tym wszystkie chłopaki z dzielnicy.

Spróbowaliśmy obaj, Palmu i ja. Pentti miał rację. Po chwili komisarz wyszedł z bramy na ulicę i się rozejrzył.

- To Marynarska. Czasem wracam tędy ze szkoły na skróty, bo przez nabrzeże nakładam drogi - wyjaśnił chłopak. - Ciecie się tylko plują i okropnie drą gęby, jak zobaczą. Ale to spokojne podwórza i rzadko się wpada.

- A jest jeszcze jakieś inne przejście przez podwórza? - zapytał go Palmu głosem pełnym szacunku.

- Od Narożnej też się przejdzie - odrzekł Pentti Lanne tonem autorytetu. - Drzwi do jednej klatki da się otworzyć zagiętym gwoździem. Ale trzeba przejść przez trzy inne podwórza, a jeden mur po drodze ma drut kolczasty. Po ciemku źle się tamtędy chodzi.

Weszliśmy w Narożną i doszliśmy do Nabrzeżnej, która biegła równolegle do Marynarskiej. Nie mieliśmy pojęcia, że z Nabrzeżnej można przejść na Marynarską tak szybko, jak nam to empirycznie wykazał Pentti Lanne. Wszystko to dało komisarzowi asumpt do głębokiego namysłu.

- A zatem morderca potrzebował tylko jednego klucza - mruknął do siebie. - Obyło się bez podróbek, włamania i tym podobnych ceregieli.

Odniosłem wrażenie, że Pentti chce powiedzieć coś jeszcze. Przez chwilę się wahał, lecz w końcu odważył się odezwać.

- Czy pan komisarz pomyślał o tym, że morderca mógł wejść także przez drzwi na strych? Przez klapę łatwo wyjść na dach. A od środka jest zamknięta tylko na zasuwę.

Palmu się uśmiechnął.

- Bystry z ciebie chłopak - pochwalił go. - Ale na strychu nie znaleźliśmy żadnych śladów. Tylko dozorca zaszedł tam rano, otworzył klapę i zrobił przeciąg, by szybciej usunąć gaz z klatki schodowej. Dostałem już raport przez telefon.

Pentti sposepniał nieco i przygryzł wargę. Najwyraźniej on również miał teorię, z którą niechętnie się rozstawał.

- A czego cieciowi tak bardzo się spieszyło na ten strych? - zapytał retorycznie. - Z samych okien cug był całkiem dobry. Równie dobrze mógł tam zaleźć, coby zatrzeć własne ślady. On nienawidził pani Skrof. Płaciła mu śmieszne grosze i jeszcze suszyła głowę o byle co.

Palmu spojrział na chłopaka, który pod jego badawczym wejrzeniem zaczął się powoli oblewać pąsem. Wreszcie komisarz się uśmiechnął, delikatnie ujął Penttiego za kark i potrząsnął nim dla żartu.

- Nasza pierwsza zasada brzmi następująco - powiedział. - Detektyw nie może pozwolić, by jego osobiste sympatie i antypatie miały jakikolwiek wpływ na wyciągane przezeń wnioski. Ta historia jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje, chłopcze. Powiedz no, czym ci się pan dozorca tak bardzo naraził?

- Bo on mi nie pozwala jeździć rowerem po podwórzu - poskarżył się zażenowany chłopak. - Mówi, że mu rozsypuję piasek z alejek. Zatrzuwa mi życie, odkąd pamiętam. Poza tym wrzeszczy i trzeszczy, jak urządzamy z chłopakami jakąś dobrą hecę. Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego!

Taktownie wykręciliśmy się od dalszej dyskusji. Zgnębiony Pentti musiał wrócić do szkoły, my z Palmu zaś udaliśmy się do gabinetu mecenasa Lannego, by przesłuchać pannę Skrof.

Trzeba przyznać, że oczekiwałem tego pierwszego spotkania z pewnym napięciem. Obraz panny Skrof, który zaczął mi się rysować pod wpływem kilku odmiennych relacji, miał zdumiewająco dużo wariantów, od nijakiej w swej przyzwoitości, anemicznej dziewczynki po wspomnianą przez Kurta Kuurnę wcieloną furie. Jak to jednak najczęściej w życiu bywa, rzeczywistość przerosła wszelkie wyobrażenie.

Przy biurku mecenasa Lannego stała wysoka, zgrabna blondynka. Twarz miała bladą z niewyspania, a oczy zapłakane. Jednak w dumnej linii jej szyi nie dostrzegłem najmniejszego śladu załamania czy wstrząsu. Miała na sobie coś szarego, co jeszcze podkreślało białosc cery. Gładko zaczesane włosy i trochę zaniedbane dłonie były bodaj jedynymi cechami jej powierzchowności, które przywodziły na myśl spartański klimat mieszkania pani Skrof. Mimo to policzki były zaróżowione, a ciemne oczy wpatrywały się w komisarza z dumną

śmiałością. Miała piękne usta i śliczne zęby. Jej pierwsze słowa zupełnie zbiły mnie z pantafelku.

- To moja wina - rzuciła szybko. - Wiem doskonale, że to moja wina. Nie powinnam była zostawiać jej samej. Ale nie tęsknię do niej, choć odeszła na zawsze!

Przeżony mecenas Lanne próbował ją uspokoić, lecz dziewczyna odepchnęła go niecierpliwie i podeszła do Palmu.

- Proszę mnie oskarżyć! - rzuciła mu w twarz. - To była moja wina. Ale nie żałuję. Nie, nie, po trzykroć nie! - Przy ostatnim słowie tupnęła nogą.

- Ależ kochana Kirsti... - odezwał się mecenas.

- Uspokój się!

Palmu nic nie powiedział. Spojrzał tylko spokojnie na dziewczynę, jak gdyby chciał na zimno ocenić, czy jej pasja jest udawana, czy jednak całkiem prawdziwa. Dolał tym tylko oliwy do ognia.

- A właśnie, że nie, nie uspokoję się! - prychnęła. - Byłam spokojna przez czternaście lat. Przez czternaście lat jej nienawidziłam. Bezduszością i skąpstwem przywiodła mego ojca do samobójczej śmierci. Wyssała z mego dzieciństwa wszelką radość. Truła mnie swą obłudą. Nigdy nie wolno mi było się bawić z innymi dziećmi. Nie dostawałam takich ubrań, jak inne dziewczęta. W szkole byłam wyszydzana. A mimo to biegałam na lekcje, bo wołałam być w szkole niż z nią pod jednym dachem. Przez czternaście lat musiałam udawać, przez nią. Teraz więc moje serce przepelnia radość, że wreszcie umarła. Cieszę się, cieszę, cieszę!

Palmu uniósł rękę, by powstrzymać mecenasa, który z oczami wybałuszonymi z przerażenia chciał podejść do rozwścieczonej dziewczyny. Jego spokój i opanowanie oszołomiły ją. Głos jej nieco zmiękł, a w oczach, obok przekory, błysnęło zaciekawienie.

- To przez nią zupełnie zbrzydłam - poskarżyła się. - To przez nią nikt nawet nie chce na mnie spojrzeć. A teraz na dokładkę umyśliła sobie, że odda mnie jak sukę do pokrycia temu swojemu obrzydliwemu bratankowi, którego nigdy nie mogłam ścierpieć.

- Cóż to za słowa, Kirsti! - mecenas nie mógł dłużej powstrzymać oburzenia.

Dziewczyna przygryzła wargę.

- Wszyscy mężczyźni to bestie - rzekła nieco niekonsekwentnie, po czym nagle odwróciła się do nas plecami i zaczęła płakać.

Z pełgającym na ustach uśmiechem rozbawienia Palmu wyjął ostrożnie z kieszeni dużą chustkę do nosa w czerwoną kratę, podszedł do dziewczyny i po ojcowsku położył dłoń na jej wątlwym barku.

- Już dobrze, dobrze - powiedział uspokajająco z serdeczną wylewnością w głosie. - Najgorsze już minęło. Ząb wyrwany z korzeniami, ojoj, ależ za chwilę będzie dobrze! No, panienko, proszę, oto właśnie bardzo zły policjant podaje panience chusteczkę do nosa, jest zupełnie czysta. Proszę zaraz obetrzeć swe fiołkowe oczy, a potem pani Lanne z pewnością użyczy panience trochę pudru.

Szczupłe, wąskie ramiona drgnęły, a pięta stuknęła w podłogę.

- Nie jestem już dzieckiem - odpowiedziały plecy dziewczyny.

Zaraz jednak panna Skrof ścisnęła chusteczkę, którą komisarz ostrożnie wsunął jej w dłoń. Palmu rzucił mi triumfalne spojrzenie.

- Poza tym panienka całkowicie się myli - podjął przymilnym tonem. - Żeby tylko panienka widziała teraz mojego towarzysza, tego młodego goliata. Chłopak wybałuszył oczy i nie może wzroku od panienki oderwać! Wcale nie jest panienka brzydka! Nawet moje stare serce topniało, kiedy patrzyłem, jak panienki fiołkowe oczy rzucają ogniste iskry, a policzki pałają jak dwie rozkwitłe róże. Poza tym panienka chyba zapomina, że została dziedziczką milionowej fortuny, a za to może panienka dziękować tylko tej swojej starej, głupiej macosze.

Szlochanie ustało. Dziewczyna powoli wytarła oczy, nadal jeszcze stojąc do nas plecami.

- Nie obchodzą mnie jej pieniądze - szepnęła. - Nie obchodzą!

Mimowolnie jednak zerknęła na mnie kątem oka, po czym znów odwróciła się gwałtownie plecami i rzekła z żalem:

- Na pewno wyglądam teraz jak jakieś straszidło.

Palmu rozłożył ramiona i uklonił się niczym sztukmistrz po popisowym numerze. Z jego miny można było wyczytać, że rozgrywka skończona. Mecenase Lanne zaprowadził dziewczynę do drugiego pokoju, by przemyła oczy, a Palmu odezwał się do mnie poufale:;

- Kiedy kobieta mówi, że wygląda jak straszidło, to znaczy, że wszystko jest już dobrze i niebezpieczeństwo zostało zażegnane. To dziewczę jest wprost czarujące.

- Byłoby jeszcze bardziej czarujące, gdyby je trochę lepiej wychować - zauważyłem. - Odpowiednia fryzura i piękna suknia, a nie pozna jej pan, komisarzu, kiedy zimą będzie pan trzymał pieczę nad szatnią na balu prezydenckim.

Palmu oblał się rumieńcem. Cała komenda miała w zwyczaju w stosownych momentach wbijać mu szpile z tego powodu, że kiedyś sam poprosił o przydział do nadzoru dorocznego balu w Pałacu Prezydenckim. Zazwyczaj wysyła się tam dwóch naszych, a niektórzy goście przez pomyłkę dają im czasem napiwki.

- Trzeba znać z wyglądu ludzi z towarzystwa - odparował słabo Palmu. - To okrutne drwić ze starego człowieka tylko dlatego, że raz w życiu i on chciał zobaczyć, jak się nosi na piersiach krzyże kawalerskie.

Do pokoju wróciła panna Skrof. Należy jej poczytać za wielką cnotę, że nie pożyczyła pudru od pani Lanne. Rzuciła mi spod ściany bojaźliwe spojrzenie i przysiadła nieśmiało na krześle, jak przystało na dobrze wychowaną dziewczynę z dobrego domu.

- Nie zamierzam męczyć pani niepotrzebnymi pytaniami - zapowiedział Palmu już zupełnie poważnym tonem. - Niemniej sprawa ma się tak, że przyczyna zgonu pani macochy nie jest dla nas do końca jasna. Znamy dość dokładnie wydarzenia dnia wczorajszego. Pani, zdaje się, wyszła wczoraj z domu około piątej po południu w trakcie posiłku?

- Miałam już tego wszystkiego powyżej dziurek od nosa - odpowiedziała dziewczyna, a w jej oczach błysnęła ponownie iskra przekory. Palmu miał całkowitą rację, nazywając jej oczy fiołkowymi. Blond włosy i oczy jak fiołki. Bez dwóch zdań, dziewczyna była całkiem do rzeczy.

- Udała się pani do mieszkania pana Kaarlego Lankelli i rozmawiała tam jakiś czas z panem Kurtem Kuurną - dopomógł jej komisarz. - Byłoby jednak najlepiej, gdyby pani własnymi słowami opowiedziała nam przebieg wczorajszego dnia.

- Poszłam tam, żeby powiedzieć Kaarlemu, że nigdy, za żadną cenę nie wyjdę za niego za mąż - zaczęła dziewczyna, nieco się rumieniąc. - Nie było go w domu, ale poprosiłam Kurta - tego artystę Kuurnę, znaczy się aby przekazał moje słowa swemu koleźce. Kurt jest, co prawda, nieco głupkowaty, ale miło się z nim gawędzi, no i obiecał mi pomóc. Byłam wciąż tak bardzo wzburzona, że chyba powiedziałam mu trochę za dużo o swoich sprawach. Ale on i tak wszystko wie. To najlepszy przyjaciel Kaarlego. Lankella uratował mu kiedyś życie podczas jakiegoś rejsu; od tamtej pory mieszkają razem i są praktycznie nierozłączni. Choć Kaarle robił oczywiście wszystko, żeby i jego zepsuć. On ma bardzo zły charakter. Pije, uprawia hazard i trwoni pieniądze z kobietami o najgorszej reputacji. Nawet mnie się co nieco obilo o uszy, choć wychowanie odebrałam iście klasztorne.

-- No, nie byłbym tego taki pewien - rzekł komisarz tonem przestrogi. - Pan Kuurna też bynajmniej nie wygląda na anioła.

- Kto z kim przestaje, takim się staje, wcześniej czy później - skwitowała dziewczyna.
- W każdym razie od nich poszłam do mieszkania panny Pihlai, która jest moją dawną koleżanką z klasy, ale była strasznie zmęczona i zaspana, więc... no tak... powoli zaczęłam dochodzić do siebie, a gdy minęła mi pierwsza złość, zrozumiałam, że ciotka - pani Skrof, znaczy się - nie może mnie w żaden sposób zmusić do małżeństwa z Kaarlem. Jestem

przecież pełnoletnia. Mogła mi, oczywiście, zupełnie obrzydzić życie, ale... Och, tak bardzo zdążyłam już do tego przywyknąć, że... No, więc około dziesiątej wieczorem zdecydowałam się wrócić do domu i odbyć z ciotką poważną rozmowę.

Dziewczyna umilkła i odsapnęła parę razy. Zaczęła błędzić oczami po pokoju. Najwyraźniej doszła w swej relacji do trudnego miejsca.

- Panna Pihlaja dała mi klucze, abym miała dokąd wrócić, gdyby ciotka okazała się całkiem nie do zniesienia. - Dziewczyna urwała na chwilę, po czym trochę ni z gruszki, ni z pietruszki dodała: - Nazywałam panią Skrof ciotką. Nigdy nie potrafiłam dostrzec w niej matki. A macocha to takie brzydkie słowo. Nigdy nie miałam matki. Umarła, kiedy byłam bardzo mała.

Panna Skrof pokręciła nieznacznie głową i zamrugła powiekami.

- Ech, straszna ze mnie płaksa - powiedziała ze złością. - Ale nie spałam dobrze i... i... No, w każdym razie wróciłam do domu i...

- Która była wtedy godzina? - zapytał szybko Palmu.

-- Nie mam zegarka, ciotka mówiła, że nie będzie mi potrzebny. Musiał mi wystarczyć budzik w kuchni. Ale była pewnie dziesiąta, bo stróż zamykał właśnie drzwi wejściowe. Wchodziłam po schodach bardzo powoli i... i buntowałam się w myślach przeciwko niej. Na górze bardzo cicho wsunęłam klucz do dziurki i postanowiłam wślizgnąć się niepostrzeżenie do swojego pokoju. To znaczy ciotka na pewno by mnie usłyszała, ale udawałaby, że nic nie spostrzegła. Robiliśmy tak czasem po kłótni, a następnego dnia rano zachowywałyśmy się, jak gdyby nic się nie stało. Okazało się jednak, że ciotka zamknęła się już od środka na nocny zamek, do którego nie miałam klucza. Serce stwardniało mi na kamień. A zatem nie czekała na mnie, nie obchodziłam jej, uznała, że mogę sobie biegać po ulicach miasta choćby całą noc! Przecież wiedziała dobrze, że wychodziłam z domu bez grosza przy duszy. Zagryzłam zęby i nie zadzwoniłam. To byłoby zbyt upokarzające.

- Twierdzi pani zatem, że wczoraj wieczorem nie widziała już więcej macochy? - podsumował komisarz Palmu, a głos miał zimny i surowy.

Ja również poczułam chłód w sercu, które jak ciężki głaz naciskało żołądek. Doskonale przecież pamiętałem, że po zamknięciu drzwi wejściowych dozorca jeszcze dość długo był na dworze i nie widział w tym czasie, żeby panna Skrof wychodziła z domu.

Dziewczyna obrzuciła nas badawczym spojrzeniem i nagle przerażenie rozwarło jej szeroko oczy. Podniosła dłoń do ust i zapytała:

- Dlaczego... dlaczego panowie tak na mnie patrzą?

8

Najbardziej samotna, najniezwyklejsza dziewczyna na świecie i jej alibi. • Wyjątek ze Słowa i życie wewnętrzne Zgromadzenia Betlejem. Komisarz Palmu nie pojmuje swawoli Barona i zaprzecza, jakoby był mizoginem. • Listonosz wraca na miejsce zbrodni.

Komisarz Palmu wytarł czoło dłonią. Był zbity z tropu.

- Niechże się pani nie przejmuj, wszystko w porządku - powiedział zgnębionym głosem. - Proszę mówić dalej.

Dziewczyna się zawahała. Spojrzeniem szukała śladów współczucia na naszych twarzach. Usztywniłem się i starałem przybrać możliwie najbardziej obojętną minę. Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- No więc dobrze - powiedziała, a głos jej stwardniał. - Stałam więc chwilę pod drzwiami, dopóki nie zgasło światło na klatce schodowej. Nie zapaliłam go ponownie. Czułam się taka samotna i... ale panowie i tak tego nie rozumieją. Potem weszłam cicho jeszcze wyżej i usiadłam pod drzwiami na strych. Czasem, jak byłam małą dziewczynką, chowałam się tam, gdy było mi bardzo źle, i wtedy właśnie sobie o tym przypominałam. Siedziałam tak długo i rozmyślałam o różnych sprawach. Możliwe, że trochę też płakałam. Wreszcie poszłam sobie i naprawdę nie potrafię powiedzieć, która była wtedy godzina, mimo że to takie ważne.

Popatrzyła na nas obu z przekorą. Wymieniliśmy z komisarzem nieco głupkowane spojrzenia, po czym Palmu skinął głową, aby mówiła dalej.

- Zeszłam powoli przez Kaivopuisto⁴ nad morze - podjęła dziewczyna lodowatym tonem. - Byłam zupełnie sama, lecz nie bałam się niczego. Spacerowałam długo nabrzeżem i myślałam sobie, że nie ma na świecie drugiego tak samotnego i nieszczęśliwego człowieka jak ja. Zabrzmiałoby to zapewne bardzo głupio i dziecinnie, ale ja naprawdę szukałam miejsca, gdzie... gdzie mogłabym się rzucić do morza.

- Biedne dziecko - powiedział cicho Palmu. - Proszę wybaczyć, że tak panią dręcę, ale to wszystko jest konieczne. Jeżeli nie jest pani w stanie dłużej mówić, możemy teraz skończyć i podjąć tę rozmowę później.

⁴ Park blisko centrum Helsinek.

Kirsti Skrof była jednak twarda. Uniosła niemal białą twarz i jej oczy, pełne nieprzelanych łez, wydawały się teraz jeszcze bardziej lśniące.

- Już mi przeszło - rzekła. - Obudziła się moja дума. To tchórzostwo rzucać się do morza, gdy przed człowiekiem jeszcze całe życie. Postanowiłam zostać bardzo złą dziewczyną, która na pewno trafi do piekła, i wróciłam do mieszkania panny Pihlai. Zdażyła się już wyspać, więc zaparzyłyśmy sobie herbaty i w końcu zrobiło się całkiem przyjemnie. Śmiałyśmy się głośno, przypominając sobie wszystkie szalone historie z czasów szkolnych. - Dziewczyna przerwała i znów uniosła mężnie wzrok na komisarza. - Panowie na pewno tego nie rozumiecie, ale... ale... kobiety takie są.

Musiałem się uśmiechnąć i ten mój uśmiech rozszedł się szybko z twarzy na twarz, tak, że nagle w pokoju zrobiło się jaśniej. Dziewczyna była diabelnie przystojna, gdy tak się uśmiechała przez łzy. Miało się ochotę porwać ją w ramiona i poczochnąć jej włosy. Zachciało mi się nagle zagwizdać albo zaśpiewać.

- Potem wszystko było już prawie dobrze - podjęła panna Skrof. - Co prawda, spałam źle i śniły mi się jakieś okropne koszmary, myślę jednak, że to głównie sprawka obcego posłania. Rano ugotowałam koleżance kawę i posprzątałam w pokoju, bo w dni wolne od pracy wyłazi z niej wielki leń. A potem wróciłam do domu... lecz... ciotka już nie żyła.

Pokój znów pogrążył się w cieniu. Palmu przygryzł wargę.

- W zasadzie to dlaczego wróciła pani do macochy? - zapytał po pewnej chwili.

Dziewczyna utkwiała w nim jasne i szczere spojrzenie.

- Ja... bo ja chyba jednak... ja ją lubiłam - powiedziała i to było bardzo piękne i pokorne wyznanie.

No tak, takie są kobiety. Próżno się po nich spodziewać logiki posunięć. Ale piękne to było. I moim zdaniem Palmu zachował się bardzo niedelikatnie, gdy po koniecznej po takich słowach chwili milczenia zapytał głosem już zupełnie oficjalnym:

- Zakładam, że wychodząc wczoraj wieczorem z... no... spod tego strychu, i później, gdy spacerowała pani po parku, nie spotkała pani nikogo?

-- Spotkała? - powtórzyła dziewczyna podejrzliwie i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie gniewem, gdy nagle zrozumiała. - Nie, oczywiście, że nie spotkałam nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że... W parku zobaczyłam z daleka policjanta, więc schowałam się za skałą, i chyba mnie nie zauważył. Pan rozumie, że... chciałam być sama. - Wbiła w komisarza nieruchome spojrzenie, a jej twarz powoli bladła. Przestała myśleć o sobie i wreszcie zrozumiała.

- Ale po co to wszystko? - krzyknęła niemal. - Przecież ciotka... ciotka zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku... przecież nikt nie mógł...

Słowa uwięzły jej w gardle. Sytuacja stała się bardzo przykra i aby na nikogo nie patrzeć, starałem się nie odrywać oczu od okna. Mecenas Lanne, do tej pory w milczeniu przysłuchujący się słowom Palmu, który pozwolił mu zostać w pokoju najwidoczniej dlatego, że ten był, jakkolwiek by patrzeć, adwokatem panny Skrof, wstał nagle z krzesła, odchrząknął i nieco zażenowany rzekł:

- Jestem zdania, panie komisarzu, że czas już skończyć z tą tajemniczością. Mówimy wszak o kobiecie, która cieszyła się za życia wielkim poważaniem i atencją. Z racji pewnych osobliwych, nieprawdaz, zbiegów okoliczności i ja miałem rano mieszane uczucia, zdażyłem jednak wszystko dokładnie przemyśleć. I uważam, że nie ma pan bynajmniej powodów, aby opierając się jedynie na paru, nieprawdaz, bezpodstawnych podejrzeniach, przeciągać tę i tak nader smutną sprawę. Przecież to był nieszczęśliwy wypadek!

Komisarz nie odwzajemnił błagalnego spojrzenia, tylko usiadł i utkwiał wzrok w podłodze, a kąćki jego ust zacięły się surowo. Kiedy uniósł głowę, oczy jego były jak stalowy pancerz. Teraz już nikt nie mógłby wątpić, że ma do czynienia ze starym policyjnym wygą.

- Pan mecenas Lanne ma słuszość o tyle - zwrócił się do dziewczyny, nie racząc nawet spojrzeć na adwokata - że moim obowiązkiem jest beznamiętnie obwieścić pani wstrząsającą prawdę. Pani ciotka nie zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku, choć wszystko miało na to wskazywać, lecz padła ofiarą przebiegłego, zimnokrwistego mordercy. Zebraliśmy już na to wystarczającą liczbę dowodów, nie mam jednak prawa przedwcześnie ich pani wyjawiać. Obowiązkiem pani - i nie tylko pani, lecz każdego, kto ma jakikolwiek związek z tym zdarzeniem - jest zrobić wszystko, co w pani mocy, by pomóc nam tę sprawę wyjaśnić i postawić mordercę przed obliczem sprawiedliwości. Wolałbym już więcej pani dziś nie dręczyć, muszę jednak poprosić, aby udała się pani jeszcze ze mną na miejsce zdarzenia. Jedynie pani może nam wyjaśnić pewne szczegóły.

Palmu rozmyślnie mówił długo i monotannie, aby dać dziewczynie czas oswoić się z tym, co właśnie usłyszała. Z początku Kirsti Skrof jęknęła i chciała mu nawet przerwać, ale zdołała nad sobą zapanować i gdy komisarz skończył mówić, patrząc na nią jeszcze przez chwilę z tym swoim niewzruszonym, pancernym spokojem, ona też była już zupełnie spokojna. Jak gdyby w tym krótkim czasie stała się nagle dojrzałą kobietą. Dziewczęca przekora i buntowniczość znikły bez śladu. Panna

Skrof utkwiała w Palmu ciemne, suche oczy i odezwała się głosem bardzo poważnym:

- Nie potrafię zupełnie uwierzyć w to, co mi pan właśnie powiedział. Kto by mógł...? - Widziałem, jak w myślach rozpaczliwie szuka możliwości, jakiegoś mrocznego śladu. Otworzyła usta i jakieś imię, myśl czy podejrzenie już się miało uzewnętrznić w słowie, lecz przycisnęła tylko mocno ręce do piersi i nie powiedziała nic więcej.

- Chodźmy - polecił zwięźle komisarz. - Jeżeli to nie będzie ponad pani siły... - Spojrzał na dziewczynę. Ta wyprostowała plecy, była naprawdę twarda. Mecenas Lanne potulnie wyszedł za nami do przedpokoju, zamierzając zapewne bezceremonialnie udać się z nami na górę, lecz Palmu zatarasował wyjście i zaczął powoli zamykać mu drzwi przed nosem.

- Mam prawo, jestem adwokatem dziewczyny! - pisnął oburzony mecenas przez malejącą szparę w drzwiach.

- Oczywiście, oczywiście - zapewnił go Palmu łagodnym głosem - lecz nazbyt już pana dziś fatygowaliśmy. Proszę się trochę położyć. Ma pan przecież słabe serce - dopowiedział i zamknął oniemiałego prawnika we własnym mieszkaniu.

Weszliśmy na górę. Po drodze Palmu zagadywał pannę Skrof o jakieś banały; przypominał w tym lekarza, który przed wykonaniem decydującego cięcia stara się odwrócić uwagę pacjentki. Dziewczyna nie mogła milczeć, zaczęła się nawet lekko uśmiechać.

Chłopcy z komisji w istocie zakrzętnęli się wzorowo. Drzwi na klatkę schodową naprawiono i ślady włamania nie rzucały się już tak bardzo w oczy. Nawet zamek za bardzo nie ucierpiał, bo drzwi sprawiały wrażenie dobrze zamkniętych. Komisarz przekreślił dzwonek i w tej samej chwili w progu ukazał się wierny posterunkowy Ara.

- Panie komisarzu - odezwał się błagalnym tonem - musiałbym już w zasadzie wracać na obchód, ale może pan komisarz mógłby zadzwonić do komendy, niechby wysłali w teren kogo innego? W końcu to ja znalazłem...

- Nie ma mowy - uciął bezlitośnie Palmu. - Jest już po wszystkim. Służba nie drużba... - Zgnębiona mina posterunkowego zmiękcyła mu jednak serce. - No, ale nikt wam nie zabroni pilnować porządku publicznego na dole, przed kamienicą - powiedział. - Nabrzeżna to przecież ciągle jest wasz rewir. A gdyby podczas obchodu przypomniało się wam jeszcze coś godnego uwagi...

Kiwnął mu przyjaźnie głową i rozpromieniony Ara zniknął na schodach. Weszliśmy do mieszkania. W środku panowała zastygła cisza, zupełnie jak gdyby nic się nie wydarzyło. Ciało zabrano, stolik nocny był pusty, łóżko zasłane. Zza stołu pośrodku pokoju podniósł się leniwie Kokki, zakładając palcem miejsce, do którego przewertował trzymaną w ręku książkę.

- Niech no pan posłucha tego, panie komisarzu - zaczął na powitanie, ale na widok dziewczyny przerwał i niezdarnie się skłonił.

- To detektyw Kokki - przedstawił go Palmu, a panna Skrof nieśmiało kiwnęła mu głową. - Jeden z najzdolniejszych ludzi naszej komisji za... tego... naszego wydziału. Patrząc na niego, aż trudno uwierzyć, prawda?

Kokki poczerwieniał, a uśmiech dziewczyny rozjaśnił posępny pokój.

- No więc tego, panie komisarzu, chciałem panu tylko przeczytać mały fragment tego fiksum-dyr dum - podjął Kokki, chcąc jakoś wybrnąć z niezręcznego milczenia. - Proszę posłuchać tego: „Nie dzięki zasłudze, lecz łasce, dzięki niepojętej miłości dostąpić może człowiek ponownych narodzin. Dobrymi uczynkami nie wykupi ich sobie, wiedz bowiem, że niechętnie zgromadzenie jest jak uschnięte drzewo figowe w winnicy u Pana. Zaprawdę powiadam ci, że człowiek, który narodził się ponownie, opływa miodem i mianą, a biedni błogosławią jego imię i zgromadzenie go wielbi, albowiem po owocach poznaje się drzewo. I dobre drzewo przynosi zgromadzeniu dobry owoc, a uschnięte drzewo wycina się i ciska w ogień piekielny. Dlatego powiadam ci, ponownie narodziwszy, porzuć pieniądze swoje, i porzuć bydło swoje, i porzuć majątek swój, który jest zwykły proch i pył, a kupisz za tę cenę jabłko życia w winnicy zgromadzenia, które upodobał sobie Pan. Prędzej bowiem przejdzie wielbłąd przez ucho igielne, niżli bogaty wejdzie do królestwa niebieskiego!”.

Kokki umilkł i powiódł dokoła spojrzeniem, jak gdyby czekał na oklaski. Staliśmy w osobiwej ciszy, wreszcie Palmu wyjął książkę z ręki detektywa i zerknął na kartę tytułową.

- Napisał Per Gamaliel Mustapaa, pasterz Zgromadzenia Betlejem, najmniejszy z maluczkich u Pana - odczytał zdumiewająco grubiańskim tonem. - A zatem, jeśli dobrze zrozumiałem, jak coś masz, człowieku, to czym prędzej oddaj to na tacę Zgromadzenia Betlejem, nad którą pieczę sprawuje pan kaznodzieja Per Gamaliel Mustapaa.

- To straszny człowiek - wyszeptała panna Skrof z obrzydzeniem. - Ciotka nigdy nie wierzyła, że... - urwała w pół zdania.

Na stole piętrzyła się cała sterta nabożnej lektury autorstwa P. G. Mustapaa.

- Czy pani wie, panno Skrof, z jakiego powodu pani ciotka zmieniła testament na niekorzyść Zgromadzenia Betlejem? - zagadnął od niechcienia Palmu.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

- Nie wiedziałam nawet, że ciotka postanowiła zmienić testament - zapewniła go. - Dopiero dziś pan mecenas Lanne wspomniął mi o tym. I nadal nie mogę pojąć... Ciotka nigdy mi nie mówiła o... Bardzo się za to martwiła o moją duszę. Musiałam chodzić do tego

zgromadzenia, ale potem już więcej nie mogłam... - Zaczęła powoli pąsowieć, więc odwróciła wzrok. - Wolałabym o tym nie mówić - wyszeptała. - To takie... takie wstrętne!

- Nooo... - powiedział przeciągle komisarz. - Jest pani wreszcie, jakkolwiek by na to patrzeć, dziewczyną nowoczesną, panno Skrof. Proszę zacisnąć zęby i śmiało mówić, a będziemy mieli z głowy i tę sprawę. Bo widzi pani, chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tym tajemniczym panu...

Dziewczynie nagle zaświtała chyba jakaś myśl, bo szybko uniosła wzrok.

- Pan myśli, że to on? - Przygryzła wargę i zamilkła, ale miałem wrażenie, że spadł jej z serca najcięższy z najcięższych kamieni.

- Pan kaznodzieja był tu wczoraj po południu i pani ciotka wyгнаła go za drzwi - powiedział Palmu zupełnie beznamiętnie. - Wczoraj pani Skrof odwołała również korzystny dla jego Zgromadzenia Betlejem testament.

- Więc dobrze, powiem panu! - wykrzyknęła niemal dziewczyna. - Powiem chętnie, jeżeli to tylko panu w czymś pomoże. Ciotka dowiedziała się o tym... o tym zgromadzeniu dopiero dwa lata temu. Zabierała mnie ze sobą na te ich spotkania. Było to oczywiście okropnie dla mnie nudne i wolałabym w tym czasie pójść do kinoteatru. Ale ciotka nie chciała o tym słyszeć. Na filmy chodziłam więc wyłącznie... wyłącznie potajemnie. I... i od samego początku czułam wstręt do tego kaznodziei. On był taki... tak się wdzięczył. Aż dosłownie... dosłownie kapąło z niego, kiedy... kiedy chodził między kobietami jak... jak jakiś kogut. Ale ciotka była ślepa i uwielbiała go wprost bezgranicznie. W końcu weszła w skład zarządu zgromadzenia. I wtedy... wtedy zaczęły się posty, ćwiczenia duchowe i objawienia we śnie. Niekiedy już myślałam, że ona zupełnie... zupełnie traci rozum. Ostatnio zaczęła zażywać środki nasenne...

- A skoro o tym mowa... Wie pani może, kto jej polecił pantofon? - zagadnął Palmu, jak gdyby pytał o rzecz najzwyczajszą na świecie.

Zdało mi się, że dziewczyna zadrżała. W każdym razie na moment się zawahała i Palmu na pewno to spostrzegł.

- Nie wiem - powiedziała w końcu ściszym głosem. - Przedwczoraj dała mi po prostu receptę i przyniosłam ten lek z apteki, kiedy wyszłam z Baronem na spacer. To była taka mała szklana fiolka.

- No, to tylko drobiazg - uspokoił ją Palmu. - Proszę mi wybaczyć, że przerwałem. Ale musi chyba być jakaś poważniejsza przyczyna pani obrzydzenia do pana kaznodziei?

- Tak. Bo ciotka chciała, żebym chodziła do niego na... na katechezę - odrzekła dziewczyna i znów splonęła na twarzy. - Oczywiście chodziłam już na religię w czasach

szkolnych, a i ciotka nie odeszła przecież z Kościoła, nie musiała. Ale ten Mustapaa urządził w swoim zgromadzeniu, jakby to powiedzieć... taką szkółkę, która miała pogłębiać życie duchowe. Fuj, fuj! To było takie obleśne! - Panna Skrof nagle zupełnie spaşowiała ze złości. - Były tam same młode dziewczęta, a on... on mówił z początku bardzo pięknie, a... a potem zaczął nam zadawać najróżniejsze pytania... najróżniejsze obleśne pytania. I... ja zupełnie nie miałam pojęcia, że życie jest takie ohydne.

Kokki stanął przy oknie z założonymi z tyłu rękami i przyglądał się ulicy. Uszy miał czerwone. Moja twarz też była jakby cieplejsza niż zwykle i czułem się zakłopotany. Nie mogłem jednak zapomnieć o notowaniu, więc trzymałem się mężnie pióra.

- Potem każda z nas musiała przejść z nim indywidualną konfirmację, sam na sam - podjęła dziewczyna jeszcze cichszym głosem, ze spojrzeniem wbitym w podłogę. - Ciotka mnie zmusiła. I... i... on powiedział, że teraz się razem pomodlimy. A gdy uklękliśmy na podłodze, położył mi ręce na ramionach i... i zaczął sobie pozwalać. Uderzyłam go w twarz i uciekłam z płaczem do domu. Nie potrafiłam nawet powiedzieć o tym ciotce, bo była wściekła. Powiedziała, że jestem głupia, niecierpliwa i że... że mam brzydką wyobraźnię. Ciotka... ona bała się tylko jednego - że obraziłam tego kaznodzieję, więc poszła go przeprosić w moim imieniu. Ale po tym nie zgodziłam się już więcej do niego pójść, za żadne skarby świata!

- Już dobrze, dobrze - powiedział komisarz uspokajającym głosem. - Dajmy już temu pokój. Jestem pani bardzo wdzięczny, że zechciała nam opowiedzieć o tym... hm... przykrym zdarzeniu.

Ale dziewczyna jeszcze nie skończyła. Jak gdyby coś ją nagle olśniło w trakcie opowiadania. Żywszym już głosem powiedziała:

- Ale zaraz, ten wielki gniew ciotki wczoraj mógł mieć jakiś związek z tą jego szkółką. Bo zachowywała się bardzo osobliwie już przedwczoraj wieczorem. Patrzyła na mnie dziwnie i... i w końcu raz jeszcze zapytała o tamto, chociaż myślałam, że już dawno zapomniała. Dopiero teraz sobie to przypomniałam, kiedy opowiadałam panu tę historię. Może któraś... któraś dziewczyna podniosła wrzask. Nie mogę pojąć, jak rodzice mogą posyłać swoje dzieci do... Do tego Zgromadzenia Betlejem należy wiele bardzo szanowanych rodzin.

- Niestety, właśnie z tego powodu podobne przypadki nigdy nie kończą się skandalem - powiedział rozgoryczony Palmu. - Sprawę się tuszuje, a po jakimś czasie wszystko zaczyna się od nowa. Ale powiedzieliśmy już sobie dosyć o panu Mustapaa jak na jeden raz. Kokki, co ci powiedzieli w gazowni?

Kokki się wzdrygnął i odwrócił nagle od okna, jak gdyby lustrując ulicę w głębokiej zadumie, zupełnie nie słyszał, co się mówi w pokoju. Nawet detektyw może być człowiekiem wielkiego taktu.

- A, w gazowni? - powtórzył inteligentnie. - Trafił pan w dziesiątkę, panie komisarzu. Tak się składa, że inkasent odczytywał wskazania zaledwie przed paroma dniami, więc gdy podałem im przez telefon położenie wskazówek i model kuchenki, w ciągu kilku minut wyliczyli, że kurek z gazem odkręcono między godziną jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy. Gość, który ze mną rozmawiał, tak się zapalił do całej sprawy, że bardzo chętnie przejrzał poprzednie rachunki, porównując średnie zużycie i tym podobne szczegóły. A że pobór gazu był bardzo regularny, nie mógł się grubo pomylić w wyliczeniach. Powiedział mi, że w przybliżeniu gaz otwarto między jedenastą a pierwszą, ale raczej chwilę po północy. A w zasadzie to był gotów się założyć o niewielką sumę, że zegar wskazywał wówczas godzinę dwunastą dziesięć.

- A zatem doktor Markkola się pomylił - mruknął Palmu półgłosem. - I on podał ten sam przedział czasowy, jednak na podstawie obliczeń gazowni można przyjąć, że pani Skrof udusiła się dopiero gdzieś nad ranem, gdy gaz zdążył już wypełnić całe mieszkanie. A w tym przypadku mam większe zaufanie do gazowni. Dobra robota, Kokki.

- Dałbyś lepiej spokój - powiedziałem mu i skinąłem nieznacznie głową na pannę Skrof. Była bardzo blada i oddychała z trudem. Myśl o gazie i duszącej się ciotce musiała ją okropnie przerazić i doskonale to rozumiałem.

- Och, proszę mi wybaczyć, panno Skrof - przeprosił ją Palmu. - Zupełnie zapomniałem, że jest tu pani z nami. Taki już ze mnie stary, głupi policjant. Proszę się nie przejmować. A teraz proszę się dobrze zastanowić. Kiedy pani ostatnio była na balkonie?

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Na balkonie? - powtórzyła. - Przecież zimą się z niego nie korzysta. Latem stały tam dwie doniczki, które na jesień wniosłam do środka. A potem, o ile wiem, nikt drzwi balkonowych nie otwierał.

- I klucz został w zamku?

- Chyba tak, gdzieżby indziej? - Kirsti Skrof nie za bardzo wiedziała, do czego zmierza komisarz. - Oczywiście, przekręciłam klucz w zamku. Drzwi wewnętrzne są bardzo szczelne, mają gumową uszczelkę, może panowie widzieli. Nie trzeba ich było zaklejać na zimę.

- Ale czy ciotce nie wiało od drzwi? - zapytał Palmu z udanym zdziwieniem. - Bo tak zrozumiałem wcześniej.

- Nie, wcale nie - zapewniła go panna Skrof. - o ile mi wiadomo, to nie.

- Klucza w zamku drzwi balkonowych nie było, a w dziurce była wata - powiedział surowo komisarz.

- Na pewno pani sobie nie przypomina?

Dziewczyna najwyraźniej zmagala się z myślami.

- Ja w każdym razie klucza nie wyjmowałam - odrzekła z przekonaniem. - Może ciotka sama go wyjęła i schowała w jakiejś szufladzie. To prawda, że bardzo nie lubiła przeciągów.

Palmu zerknął pytająco na Kokkiego. Detektyw pokręcił głową.

- Nie znaleźliśmy tutaj żadnego klucza, który by pasował do zamka w drzwiach balkonowych - powiedział pewnym głosem Palmu. - W żadnej szufladzie ani w żadnej innej kryjówce takiego klucza nie było. Poza tym wata została wepchnięta w dziurkę od zewnątrz, za pomocą jakiegoś patyka lub czegoś podobnego. Nie możemy tego oczywiście udowodnić ponad wszelką wątpliwość, lecz na to wygląda. I próg między drzwiami został starannie wytarty. Ktoś się nocą kręcił po balkonie.

- Po balkonie... - powtórzyła dziewczyna. Wtedy ją olśniło. - Chce pan powiedzieć... powiedzieć, że... że mor... że ktoś nocą wszedł przez balkon do środka?

Komisarz nie odpowiedział, a i panna Skrof nie powtórzyła pytania. Po chwili zapytał:

- Panno Skrof, czy ten pies, Baron... czy on był złośliwy?

- Nie, wcale nie był - zapewniła go dziewczyna. - Tylko ludzie nie poznawali się na jego naturze. W rzeczywistości to był strasznie miły piesek i tak mi zawsze dziękował, że go wyprowadzam na dwór. Nie lubił tylko gości i chętnie czekał, zażywał w ten sposób trochę ruchu. Oczywiście stróż nie mógł tego znieść. Ale który stróż lubi psy. To on na pewno panom wmówił, że Baron był złośliwy.

Przypomniałem sobie jednomyślne opinie o jamniku pani Skrof i uśmiechnąłem się pod nosem. Kirsti Skrof spojrzała na mnie z oburzeniem.

- To prawda, lubił łapać ludzi za nogawki. Nie lubił mężczyzn i w tym względzie też uważam, że postępował całkiem mądrze. - Spojrzała na mnie karcąco. - Mogło się zdarzyć, że kogoś ugryzł - przyznała. - Ale robił to dla zabawy.

- Osobliwa swawola - zauważył cierpko komisarz.

- Ale to prawda - upierała się panna Skrof. - Nawet ciotkę czasem capnął za nogę. A kiedy byłam mała, to ręce i łydki ciągle miałam poranione. Przedwczoraj, gdy szłam do łóżka, niechcący dziabnął mnie w nadgarstek, aż mi nawet krew pociekła.

I z zupełnie niewinną miną podwinęła rękaw, odsłaniając wąski nadgarstek, na którym między niebieskimi żyłami widniała brzydka, czerwona szrama. Powoli zsunęła rękaw z powrotem i dopiero wtedy podniosła oczy. Nasze miny wprawiły ją w zakłopotanie.

- Co znowu jest nie tak? - zapytała drżącym głosem.

Przez męczącą chwilę Palmu nic nie mówił.

- Mamy powody przypuszczać - odrzekł wreszcie - że pies ugryzł osobę, która ubiegłej nocy między godziną jedenastą a pierwszą weszła przez balkon do tego mieszkania.

- Ja... ja rozumiem - odrzekła panna Skrof i zaczęła powoli zamykać się w sobie. W rzeczy samej usztywniła się i zamknęła jak kwiat, a jej naturalna spontaniczność gdzieś się ulotniła. - Jeżeli pan komisarz nie ma już więcej pytań... - zaczęła. Palmu próbował się uśmiechnąć i machnął nonszalancko ręką.

- Ależ jak najbardziej, proszę iść odpocząć, panno Skrof. Najlepiej by było, gdyby pozostała pani pod opieką mecenasa Lannego. Zapewne z chęcią panią przenocuje, a poza tym będziemy wiedzieć, gdzie pani szukać, gdybyśmy musieli jeszcze o coś zapytać. Mieszkanie tymczasem jest pod naszą kuratelą. Postaramy się jednak zdążyć ze wszystkim i umówić przesłuchanie na jutro rano, a wtedy oczywiście będzie się pani mogła wprowadzić tu z powrotem.

- Panna Skrof raczej nie będzie chciała... - zacząłem, lecz dziewczyna przerwała mi ostro:

- Oczywiście, że wprowadzę się tu z powrotem, przynajmniej na razie - rzuciła. - Nie boję się ciemności. I zawsze przecież mogę zaprosić do siebie jakąś koleżankę.

- No, tym będzie się pani martwić jutro - przerwał Palmu ciekawie zapowiadającą się sprzeczkę. - Może chciałaby pani zabrać teraz ze sobą potrzebne rzeczy ze swojego pokoju, panno Skrof? Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani przy okazji rzucić okiem, czy nie stamtąd nie zginęło.

Dziewczyna uniosła dumnie podbródek i poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Przecież dziewczyna w żadnym wypadku nie może tu wrócić, póki morderca jest na wolności! - odezwałem się. - Zapominasz, że ten człowiek ciągle jest w posiadaniu klucza od balkonu.

- Idiota, młody głupek - mruknął z politowaniem Palmu i wzruszył ramionami.

Uraził mnie tym do żywego, tym razem bowiem mówiłem poważnie. Kokki i Palmu spojrzeli na mnie ostro. Jak w świetle błyskawicy objawiła mi się nagle przerażająca prawda.

- Jeżeli sądzisz, że ta dziewczyna kłamie... - zacząłem, czując, jak krew mnie zalewa ze złości. - Przecież nie ma nic bardziej absurdałnego, niż podejrzewać ją o morderstwo!

Ledwie wypowiedziałem te słowa, mój mózg połączył już ze sobą pewne fakty, a wtedy poczułem głębokie przygnębienie, nieledwie rozpacz. Jedynie zdrowy rozsądek się jeszcze buntował, bo przecież to delikatne stworzenie o fiołkowych oczach nie mogło być zimnokrwistym, przebiegłym mordercą. Palmu z rozbawieniem śledził grę uczuć na mojej twarzy.

- Jeszcze nie podejrzewamy nikogo, podejrzewając zarazem każdego - powiedział z naciskiem. - Sam jednak musisz przyznać, że to ma sens. Dziewczyna ma ikrę i nienawidziła ciotki, bo ta zmarnowała jej życie. Miała sposobność zdobycia klucza od balkonu. Sama poszła kupić pantofon. Niedawno dziabnął ją pies i z rany wyciekła krew. Znała dom i mieszkanie oraz zwyczaje ciotki lepiej niż ktokolwiek inny. Nade wszystko zaś pozostaje na razie jedyną osobą, która na czas między jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy nie ma alibi, które można by zweryfikować.

- Ale przecież sama powiedziała... - zacząłem i umilkłem.

- Kto by wierzył słowom kobiety? - zapytał drwiąco Palmu. - I jaśniejsze oczy potrafią zwieść i... i... hm. Ma się rozumieć, że nie jestem żadnym migo... mizy...

- Mizoginem - podpowiedziałem instynktownie.

- Właśnie. Ale wszystko ma swój czas i na razie naszym zadaniem jest wyłącznie...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Palmu podniósł słuchawkę. Jego jednosylabowe kwestie nie pozwalały się domyślić, o co chodzi, lecz gdy odłożył słuchawkę na widełki, twarz miał stężałą.

- Złe wieści dla młodego Lankelli - powiedział sztywno. - W szafce w hali tenisowej nie znaleziono tenisówek. W domu zresztą też nie. Ale odcisk buta z balkonu ma rozmiar jego stopy. Poza tym w niezamkniętej szufladzie biurka Kuurna trzymał fiolkę z pantofonem. Nie znaleziono natomiast klucza od drzwi balkonowych ani żadnych innych przedmiotów mogących budzić jakiegokolwiek podejrzenia. Czego się zresztą należało spodziewać. Lankella twierdzi teraz, że musiał gdzieś zostawić torbę, w której miał tenisówki, koszulkę i spodenki.

- Możesz więc, przynajmniej na jakiś czas, odrzucić tę dziewczynę - powiedziałem mściwie i wzdrygnąłem się, bo w tejże chwili panna Skrof wsunęła głowę do pokoju. - Nie trzeba mnie wyrzucać - powiedziała kwaśno. - Sama sobie pójdę. Z pokoju nic nie zginęło, panie komisarzu. Do widzenia!

- Jeszcze sekundka - Palmu uniósł rękę. - Orientuje się pani może, czy pani macocha miała wczoraj w domu większą sumę pieniędzy?

- Ciotka nigdy ze mną nie rozmawiała o pieniądzach - odrzekła. - Niekiedy rzeczywiście trzymała w domu całkiem spore sumy, ale nigdy mi pieniędzy nie pokazywała. O dniu wczorajszym nic mi nie wiadomo.

Już była w sieni, gdy komisarz krzyknął za nią:

- Wczoraj miała w szufladzie biurka dwieście tysięcy marek w gotówce. I te banknoty zginęły.

Dziewczyna szybko wróciła do pokoju. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Wobec tego wszystko jest jasne! - uradowała się. - A więc to był jakiś złodziej! Ktoś widział, jak szła do banku, i...

- Kogo podejrzewa pani w pierwszej kolejności? - przerwał jej Palmu w pół słowa, a w jego głosie zazgrzytał metal.

Uśmiech na twarzy dziewczyny zgasł. Panna Skrof zbladła. Odwróciła się nagle do nas plecami i wybiegła z mieszkania. Usłyszeliśmy tylko huk drzwi i głośny krzyk. Na klatce najwyraźniej się z kimś zderzyła, więc wyszliśmy, aby zobaczyć, co się stało. Za drzwiami stał młody listonosz, który zdumiony odprowadzał wzrokiem zbiegającą schodami dziewczynę.

- Przepraszam, panie komisarzu - odezwał się nieśmiało. - Jak wychodziłem na południowy obchód, to przyszła mi do głowy pewna rzecz i postanowiłem pana spytać. A mianowicie ten list...

- Jaki list? - warknął Palmu, przeczuwając coś złego.

- No, bo to było tak, że doręczyłem dziś rano list dla pani Skrof - odparł listonosz. - Pomyślałem sobie, że może pan go zauważył i zabrał ze sobą, panie komisarzu. To właśnie ten list wrzucałem do skrzynki w drzwiach, jak poczułem gaz.

Palmu ujął go za ramię, wciągnął do sieni i zamknął drzwi.

- Zacznijmy od samego początku - powiedział. - Ja nie widziałem tu żadnego listu. Kokki, gdzie jesteś, do cholery?!

Kokki już był obok niego.

- Skrzynka w drzwiach była pusta, panie komisarzu - odezwał się z szacunkiem. - To jasne, takie rzeczy się sprawdza.

Do drzwi na wysokości okienka na listy przymocowano staromodną blaszaną skrzynkę, aby poczta nie spadała na podłogę. Nic dziwnego zatem, że gdy wchodziliśmy rano do mieszkania, nie spostrzeżliśmy listu. Mój mózg zaczął gorączkowo odtwarzać poranne wydarzenia. Po chwili miałem odpowiedź.

- Kaznodzieja Mustapaa - rzekłem szybko.

- Nie inaczej - przyznał Palmu przygnębionym głosem. - Ten idiota Ara zostawił drzwi otwarte, kiedy przyszedł do pokoju zawiadomić nas o przybyciu tej glisty. Jedną nogą był już w środku, pamiętasz? Szczwany lis z pana kaznodziei!

Listonosz spoglądał na nas po kolei żywymi, przytomnymi oczami.

- Na kopercie był niebieski nadruk „Zgromadzenie Betlejem” - powiedział. - Pamiętam to bardzo dobrze. A adres napisano męskim charakterem pisma, był bardzo rozchwiany.

- A ja... a ja się głupi dziwiłem, dokąd mu się tak nagle zaczęło spieszyć - jęknął komisarz i uderzył się pięścią w czoło.

W tejże chwili usłyszeliśmy dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć. Na klatce schodowej stał bezradnie kaznodzieja Mustapaa. Miałem wrażenie, że nie za bardzo wie, co począć z trzymanym w ręku kapeluszem.

9

Kaznodzieja Mustapaa i jego wrażliwa natura. • Dwieście tysięcy marek to niemała suma. •
Człowiek, który strawił noc na modlitwach, by uzyskać jedynie bardzo cienkie alibi.

Dostrzegłszy listonosza, przeraził się nie na żarty, lecz w jednej chwili na jego grzybiczej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Pozwoli pan, że wejdę, panie komisarzu - odezwał się z szacunkiem.

To nie był wcale głupi człowiek.

- Popełniłem żalostną pomyłkę i sumienie mnie zmusiło, bym tu wrócił i ją naprawił.

Palmu zacisnął zęby i bez słowa wpuścił go do środka. Potem wrócił do sieni, podziękował listonoszowi i puścił go w dalszą drogę. Zduszonym głosem zaklął jeszcze kilka razy w pustym korytarzu, po czym z kamienną twarzą wrócił do pokoju pani Skrof.

- Przez tę pomyłkę, jak pan powiada, rozumie pan oczywiście to, że rano przyszedł wyjąć ze skrzynki pocztowej pani Skrof list, który do niej wysłał - Palmu od razu ruszył do szarży.

Lecz kaznodziei nie było łatwo zbić z pantałyku.

- Nie pojmuję pańskiego tonu, panie komisarzu - odparował z dobroduszną przyganą w głosie. - Wszakże sam przyszedłem, by wyznać swój błąd. Chodziło jednak o sprawę nader niewinną. Rano na widok policjanta stojącego w drzwiach mieszkania pani Skrof zupełnie straciłem głowę, bo przecież gdy rozstawałem się z nią wieczorem, była jeszcze wesoła oraz w pełni zdrowia i sił życiowych. Odór gazu, policja, cały ten chaos, przerażający wypadek - sam pan to doskonale rozumie, panie komisarzu. Zauważyłem swój list w skrzynce w drzwiach i całkowicie bezwiednie wsunąłem go do kieszeni. Był to gest zupełnie naturalny, chodziło wszakże o list, który sam napisałem. Próbowałem jeszcze podzielić się z panem kilkoma słowami pociechy, ale potem po schodach wbiegli tu ci ubrani na czarno mężczyźni i któryś z nich - zapewne przez pomyłkę - nadepnął mnie. Wtedy nerwy mi nagle puściły i po prostu uciekłem. Mam bardzo wrażliwą naturę, panie komisarzu. Łatwo mną wstrząsnąć, a wtedy przestaję nad sobą panować.

- Dobrze już, dobrze - przerwał mu komisarz. - Niechże pan już przestanie głądzić i odda ten list, pókim dobry!

Mustapaa nie poczuł się chyba dotknięty, bo jego oczy zalśniły perfidnie.

- List? - powtórzył z ogromnym zdziwieniem. - Ależ ja go już zniszczyłem, panie komisarzu. Choć oczywiście, jeżeli to się panu do czegoś przyda, chętnie wyjawię jego treść.

Komisarz zaklął głośno, a Kokki postąpił krok naprzód. Odniosłem wrażenie, że mocno świerzbi go ręka, by przyłożyć kaznodziei, który instynktownie się cofnął.

- Rozumiem, to był błąd - miauknął. - Zapewniam pana jednak, panie komisarzu, że treść tego listu miała charakter całkowicie prywatny i nie ma nic wspólnego z tym morderstwem. Poza tym nie powinien pan kłaść sobie ust przekleństwami, panie komisarzu.

Nagle uspokojony Palmu spojrzał na kaznodzieję ze złośliwą satysfakcją.

- A skąd pan wie, że to było morderstwo? - zapytał zdecydowanie zbyt łagodnym jak na siebie głosem.

Mustapaa po raz pierwszy wyraźnie się zmieszał.

- Ja... tego... to chyba jasne... - wyjąkał. - Przecież nie przysyłano by tutaj ludzi z komisji zabójstw, gdyby sprawa nie była poważna. I nie robiłby pan takiego hałasu o jeden niewinny list...

- Wydaje się pan aż zanadto dobrze rozeznany w zagadnieniach policyjnych - zauważył Palmu ze zdradliwą uprzejmością.

Kaznodzieja zamyślił się na chwilę.

- Czytam gazety - odpowiedział wreszcie z godnością. - Dobrze się orientuję, jak sprawna i nowoczesna mamy policję. Dlatego nie wątpię, że szybko rozwikła pan również tę smutną sprawę.

Komisarz mężnie zapanował nad przepełniającym go uczuciem.

- A zatem rano wyciągnął pan list ze skrzynki i z zimną krwią go zniszczył. Tak po prostu. Potem bezczelnie przyszedł pan tutaj, aby rzucić mi to prosto w oczy. Jeszcze pan za to odpowie.

- Odpowiem za swoje czyny nie tylko przed Bogiem, ale i przed swoimi bliźnimi - zapewnił go kaznodzieja, po czym, czyniąc nabożnie znak krzyża i błyskając białkami oczu, uniósł wzrok na sufit. - Jestem gotów z powodu tej błahej omyłki stanąć przed sądem ziemskim, obawiam się jednak, że pan komisarz raczy wyolbrzymiać znaczenie tego listu. Po prostu przepełniała mnie radość i chciałem raz jeszcze podziękować pani Skrof...

-- Podziękować?! - powtórzył Palmu, ledwie panując nad wściekłością. - Pan się posuwa zdecydowanie za daleko!

Udając bezgraniczne zdumienie, Mustapaa spojrzał na Kokkiego i na mnie, jak gdyby chciał nas wziąć na świadków jawnej niesprawiedliwości komisarza policji.

- Ależ tak, chciałem podziękować pani Skrof - przytaknął obłudnie. - Zasłużyła sobie na to swym szlachetnym postępkim. Oczywiście nie ma wiedzieć prawica, co czyni lewica, nie sądzę jednak, że umniejszę wagę jej pięknego gestu, jeżeli w tych okolicznościach przedstawię panu, w czym rzecz, ufając głęboko w pańską dyskrecję, panie komisarzu.

- Proszę mówić - ponaglił go Palmu, niczego nie obiecując.

Przyznaję, że wyciągałem już szyję i nadstawiałem uszy, taki byłem ciekawy, jaką historyjkę opowie nam kaznodzieja. Nietrudno zrozumieć moje oszołomienie, kiedy Mustapaa najspokojniejszym w świecie głosem rzekł tak:

- Otóż wczoraj wieczorem pani Skrof wręczyła mi osobiście dwieście tysięcy marek w gotówce z przeznaczeniem na zakup działki pod budowę naszego kościoła, o ile uznam, że transakcja jest korzystna. Pan mecenas Lanne może zaświadczyć, że była już o tym wcześniej mowa. Pozostawiła mi jednak pełną swobodę dysponowania tymi pieniędzmi dla dobra mojego zgromadzenia w każdy inny sposób. Bo przecież śmierć pani Skrof stawia nas na rozdrożu. Wiem, że jej szlachetna szczodroblliwość sięga również na tę drugą stronę ziemskiego życia. Jeszcze zza grobu wyciąga pani Skrof swą pomocną dłoń...

- Jeżeli ma pan na myśli testament - przerwał mu komisarz z wyrazem niebiańskiej rozkoszy na twarzy - to jest mi niezmiernie miło zakomunikować, że pani Skrof podpisała wczoraj nowy testament, który całkowicie wykluczył z grona spadkobierców ten cały pański szwindel-handel pod nazwą Zgromadzenie Betlejem. A ten fakt stoi w jawnej sprzeczności z tym, co pan przed chwilą powiedział.

Dłonie kaznodziei zacisnęły się w pięści, mężczyzna skoczył na równe nogi. Z jego twarzy spadła maska i ujrzałem padlinożercę, któremu zdobycz stanęła nagle kością w gardle.

- Pan nie mówi poważnie, panie komisarzu! - niemal wrzasnął. - Nie, to nie może być prawda! To tak bardzo się kłóci z ostatnią myślą nieboszczki! Nie, pan jedynie próbuje złapać mnie w jakieś sidła, lecz to się panu nigdy nie uda!

- Niechże pan zapyta mecenasa Lannego - zaproponował Palmu łagodnym tonem i wskazał na telefon.

- Dodam tylko, że na wszelki wypadek nowy testament już zdeponowano w banku, by nie przydarzyło mu się nic złego.

Mustapaa najwyraźniej uwierzył mu na słowo, bo nieco ochłonął i pięści mu się rozwarły. Dysząc jeszcze, zaczął zakładać z powrotem maskę nabożnej pokory.

- Tak bardzo mi przykro - rzekł wreszcie. - Nie ze względu na siebie, ani też nie ze względu na moje zgromadzenie, a jedynie dlatego, że droga nieboszczka w chwili zaślepienia

zbuntowała się przeciwko swej ostatniej woli. Chciałbym jednak wierzyć, że zostanie jej to wybaczone, nie wiedziała bowiem, co czyni.

- No, wszak dobra doczesne to tylko proch i pył - pocieszył go Palmu. - Mamy za to dwoje świadków, którzy mogą potwierdzić, że wczoraj wieczorem pani Skrof dosłownie wyrzuciła pana za drzwi, przykazując, aby nigdy więcej się pan do niej nie odzywał. Z radością wysłucham, w jakich to okolicznościach pani Skrof tak wspaniałomyślnie wręczyła panu owe dwieście tysięcy marek.

Kaznodziei nawet nie drgnęła powieka. Z pełgającym w kąciku ust uśmiechem politowania odpowiedział:

- Przyznam nader ochoczo, że fałszywe podejrzenie zaślepiło naszą drogą nieboszczkę. Tylko to może wyjaśnić nagłą zmianę testamentu i doskonale pojmuję, że w swym miłosierdziu nie chciała mnie urazić, dlatego mi o tym nie powiedziała. Oczywiście dziś rano chciała omyłkę sprostować, lecz przebiegły morderca wykorzystał sposobność...

Nagle umilkł, a twarz mu się rozpromieniła.

- Proszę to zapamiętać, panie komisarzu! - powiedział z naciskiem. - Kto skorzystał na zmianie testamentu? Miniona noc była jego jedyną szansą, zapewniam pana bowiem, że pani Skrof do tej pory już naprawiłaby swój błąd. Ta przykra sprzeczka, o której najwyraźniej zdążył się pan już dowiedzieć, zdarzyła się około pół do siódmej. O godzinie dziewiątej wieczorem wróciłem tutaj i wszystkie nieporozumienia między nami zostały wyjaśnione. Rozmawialiśmy pół godziny i mogę pana zapewnić, panie komisarzu, że pani Skrof okazała skruchę. Na kolanach mnie błagała, bym jej wybaczył podejrzenia i kryzys wiary.

- No i na zgodę wcisnęła panu w progu gruby plik tysiączków, co? - głos Palmu był zgryźliwy, wyczułem w nim jednak nutkę wahania. Mimo wszystko bowiem słowa kaznodziei brzmiały dość przekonująco. Pomijając fakt, że był wybornym aktorem.

- Niechże pan sobie mówi, co chce, panie komisarzu! - Mustapaa poczuł pod stopami pewniejszy grunt.

- Biedaczka była skrajnie wyczerpana tymi wstrząsami, które ostatnio przeżywała. Około pół do dziesiątej życzyłem jej dobrej nocy i wyszedłem, niczego nie przeczuwając.

- Czy może pan to udowodnić? - Coraz bardziej skomplikowana układanka zaczynała się już odbijać komisarzowi czkawką.

- W mieszkaniu byliśmy tylko we dwoje, niemniej, kiedy wychodziłem, w drzwiach wejściowych na parterze natknąłem się na tę panią, która mieszka pod panią Skrof. Zamieniłem z nią kilka słów i przyznała mi się wtedy, że wraca z kina. Zganiłem ją za to żartobliwie, mówiąc, że mogłaby kierować myśli ku wznioślejszym celom. A potem z

radością w sercu wróciłem do domu i z głębokiej wdzięczności napisałem ów mały list dziękczynny, którego pan komisarz tak bardzo się uczeplił. Nadałem go jeszcze tego samego wieczoru.

- Lecz przecież musiał pan spotkać pannę Skrof! - rzucił nagle Palmu. - Wróciła już wtedy do domu!

Mustapaa nie odpowiedział od razu. Spojrzał badawczo najpierw na komisarza, a potem na mnie. Przecztał jednak pułapkę:

- Jeżeli panna Skrof była w domu, to z pewnością nie wychodziła ze swojego pokoju. Nie widziałem jej. Poza tym już podczas mojej poprzedniej bytności w mieszkaniu odniosłem wrażenie, że doszło między nimi do kłótni, lecz przez wzgląd na delikatność nie chciałem o nią pytać.

Zaległa cisza. Po chwili Palmu zaczął z innej beczki, czym także mnie wprawił w zupełne osłupienie:

- Pan gra w tenisa, nieprawdaż, panie Mustapaa?

Spostrzegłem, że kaznodzieja się zmieszał i usiłuje dociec, co też może oznaczać ta nagła zmiana tematu.

- Nie za bardzo pojmuję, jaki związek z tą sprawą ma moje życie prywatne - odparł z godnością. - Niemniej chętnie przyznam, że gram w tenisa. Dbalność o zdrowie ciała nie jest niczym nieprzystojnym nawet dla człowieka duchownego, wszak ciało jest świątynią duszy.

Zamyślony komisarz potarł brodę.

- Niby tak, niby tak... - powiedział na poły tylko do siebie. - Dowiedziałem się niedawno przez telefon, że widywano pana w tej samej hali tenisowej, w której grywa także pan Lankella.

Detektyw, którego Palmu wysłał po tenisówki Lankelli, miał dość oleju w głowie, by przejrzeć listę rezerwacji, i zwrócił uwagę na nazwisko Mustapaa. Kaznodzieja trochę się zmieszał.

- Istotnie, kilkakrotnie widziałem tam mimochodem tego syna Beliala - przyznał. - Żalony przypadek, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę nabożność i szlachetność jego rodzonej ciotki. Lecz miara lekkomyślności naszych czasów nie zna granic. Ale dlaczego pan o to pyta, panie komisarzu?

- Tak tylko - odparł z wahaniem Palmu. - Wobec tego może byłby pan teraz łaskaw wyjaśnić nam mimochodem powód, dla którego pani Skrof wyrzuciła pana wieczorem z domu. Wtedy zostaną wyjaśnione już wszystkie nieporozumienia między nami.

Kaznodzieja zeszywniał.

- Niestety, muszę odmówić odpowiedzi na to pytanie, panie komisarzu, choć może się to panu wydać przykre. Sprawa ta bowiem nie dotyczy mnie wyłącznie, zależą od niej także honor i szczęście innej osoby. Tyle jedynie mogę powiedzieć, że pewna nieszczęśliwa owieczka z mojej szkółki...

- Mężczyzna czy kobieta? - przerwał mu obcesowo Palmu.

- Płeć nie ma przed Bogiem żadnego znaczenia - zauważył nabożnie Mustapaa. - Dlaczegoż jednak nie miałbym przyznać, że chodzi o córkę dobrej, nadzwyczaj wręcz dobrej rodziny? To nieszczęsne dziecko miało jakieś przywidzenia. Czas dojrzewania, zgubny wpływ złego towarzystwa, obsesje - reszty być może sam pan się domyśli, panie komisarzu. W tej chwili biedactwo przebywa w szpitalu dla nerwowo chorych pod troskliwą i wyrozumiałą opieką, lecz, jak sam pan doskonale rozumie, jej imienia i nazwiska nie mogę panu wyjawiać.

- Paskudna historia - orzekł Palmu. - I to nie pierwsza na pańskim koncie, panie Brummer!

Na dźwięk swojego prawdziwego nazwiska Mustapaa się wzdrygnął, lecz niemal natychmiast odzyskał równowagę.

- Bynajmniej nie próbowałem tacić przed moimi wiernymi swojej pożałowania godnej przeszłości - odezwał się z wyrzutem. - Duch Święty, jeśli zechce, wyciągnie z samego piekła nietkniętą gałązkę. Jest pan dzieckiem tego świata, panie komisarzu, i nic pan nie wie o niepojętych ścieżkach, którymi Bóg prowadzi człowieka. Ale i na pana przyjdzie jeszcze czas.

- Mam nadzieję, że przedtem dostąpię przyziemnej radości nałożenia panu kajdanek - wyznał szczerze Palmu. - Zgaduję jednak, że może mi pan powiedzieć, co robił dzisiejszej nocy między godziną jedenastą wieczorem a pierwszą?

Mustapaa nie myślał dłużej niż sekundę.

- Strawiłem noc na modlitwach - odparł z godnością.

- Nie doprowadzaj mnie pan do gehenny! - zdenerwował się mocno Palmu, ale zerknął na mój notes i dodał już spokojniej: - Innymi słowy, mam nadzieję, że ktoś widział te pana zbożne praktyki?

- Mieszkam samotnie i skromnie - odrzekł kaznodzieja bez mrugnięcia powieką. - Pasterz musi dawać przykład swoim owieczkom. Cieszę się jednak niezmiernie, mogąc pana zapewnić, że w wymienionym przez pana przedziale czasowym przebywałem poza domem, panie komisarzu. Nie cieszę się bynajmniej ze względu na siebie - dodał pospiesznie, widząc błysk w oku Palmu - ale ze względu na pana, panie komisarzu. Uniknie pan poważnego błędu. Mogę bowiem z czystym sumieniem powiedzieć, że po wysłaniu wspomnianego listu

zaszedłem do mieszkającej w mojej kamienicy samotnej, chorej osoby i modliłem się przy jej łóżku niemal do godziny drugiej.

- Czyli to była kobieta? - Spojrzenie komisarza było nieprzeniknione.

- Siostra w wierze - sprostował Mustapaa. - Chora, nieszczęśliwa kobieta. Dla czystego wszystko jest czyste, panie komisarzu.

- Zamknij pan gębę! - ryknął Palmu, straciwszy nareszcie cierpliwość. - Zaraz tam pojedziemy sprawdzić to pańskie alibi i dla pańskiego dobra mam wielką nadzieję, że nie będzie mieć najmniejszej luki!

- Wypowiada się pan niestosownie w obecności podwładnych - stwierdził kaznodzieja, wstając potulnie z krzesła. Wtem syknął z bólu i pochylił się, by rozmasować kostkę, ale zaraz rzucił przez zaciśnięte zęby: - Może pan mieć nieprzyjemności. Mam dwóch świadków!

- Ja też! - sapnął Palmu. - Ja mam również dwóch nader wiarygodnych świadków, którzy chętnie zeznają pod przysięgą, że rzucił się pan na mnie z rękami, więc wymalowałem panu pięścią w pysk w obronie własnej. A ręka mnie świerzbi!

Kaznodzieja trochę się przestraszył i zbladł. Po chwili jednak odezwał się bezczelnie:

- Słyszałem o niegodnych metodach postępowania policji. Uczciwy obywatel nie może być pewny dnia ani godziny...

- Uczciwy obywatel może spać spokojnie - uciął Palmu. - Ale na takich pasożytów jak pan mamy w policji swoje sposoby. A wy, chłopaki, słyszeliście coś?

Kokki i ja pokręciliśmy przecząco głowami. Bo i rzeczywiście niczego nie słyszeliśmy. Kokki wyglądał przez okno, ja zaś redagowałem notatki.

Palmu wyszedł z Kokkim do sieni i udzielił mu półgłosem jakichś instrukcji. Mustapaa stał pośrodku pokoju jak pomnik męczeństwa. Wreszcie komisarz wziął kapelusz i skinął na nas. Wyszliśmy.

Sala i kancelaria Zgromadzenia Betlejem mieściły się w nowej, dużej kamienicy czynszowej niedaleko Czerwonej Góry. Okolica miała dość kiepską sławę. Tam też właśnie, tuż przy kancelarii, zgromadzenie wynajmowało dla swego kaznodziei i duszpasterza niewielkie, dwupokojowe mieszkanie. Mustapaa jednak postanowił zawieźć nas windą dwa piętra wyżej.

- Chciałbym wpierw, aby pan sprawdził moje alibi - powiedział, gdy komisarz zauważył, że wcisnął zły guzik. - Do tej pory nie ma pan żadnego prawa węszyć w moich pokojach.

Niemniej bez większego oporu zwiózł nas z powrotem na parter i otworzył drzwi mieszkania. Palmu rozejrzał się pobieżnie.

- Nie ma co tu węszyć - rzucił złośliwie. - Nie mam pana bynajmniej za kompletnego idiotę. Proszę tylko czym prędzej przynieść nam swoje tenisówki i pójdziemy dalej.

- Moje tenisówki? - Mustapaa wybornie udał bezgraniczne zdumienie.

Po chwili jednak podszedł do szafy i wyjął z niej zupełnie nowe, nieskazitelnie białe buty.

- Doczesna próżność - skwitował komisarz i pochylił się, by podnieść z podłogi tekturowe pudełko, którego etykieta wskazywała, że właśnie w nim tenisówki zostały przyniesione ze sklepu. - Prawdopodobnie może mi pan jeszcze podać papier, w który były zawinięte, i do tego paragon?

- Istotnie, nabyłem te buty stosunkowo niedawno - przyznał kaznodzieja, wcale niezmiyszany. - Poprzednie oddałem pewnemu żebrakowi, który zaszedł tutaj i prosił mnie o jakieś rzeczy. - Widząc, że Palmu wyjmuje plombę, powiedział: - Proszę chwilę poczekać, pójdę po świadka, który potwierdzi, że zabiera pan bez pozwolenia moje rzeczy.

Ta mała złośliwość nie obesła wcale komisarza, który chwycił go za ramię.

- Nigdzie pan nie pójdzie, póki pan nie przedstawi pewnego alibi. Sam niech pan patrzy! - Oplombował starannie pudełko z tenisówkami, wypisał długopisem na tekturze niezbędne informacje, po czym podsunął mi ją do potwierdzenia. Mustapaa kategorycznie odmówił złożenia podpisu.

- Plomby można łatwo podrobić - powiedział z uśmiechem męczennika.

- To teraz pańskie alibi - odparł spokojnie Palmu, wsuwając sobie pudełko ostrożnie pod pachę.

Wróciliśmy do windy i wjechaliśmy na trzecie piętro. Kaznodzieja z miną niewiniątka zadzwonił do jednego z mieszkań i po chwili w drzwiach ukazała się kobieta w szlafroku. Twarz miała wymizerowaną i skacowaną, choć próbowała nieco poprawić wrażenie kosmetyką.

- Droga siostró Anno - zaszczębiotał Mustapaa. - Ci panowie chcieliby ci zadać kilka pytań. Nie lękaj się, oni nie mogą ci zrobić nic złego. Wszystko jest w ręku Pana.

Palmu zatrzasnął mu drzwi przed nosem, zostawiając go na klatce schodowej. Przestraszona kobieta zaprowadziła nas do nie posprzątanego pokoju. Najwyraźniej przed chwilą była jeszcze w łóżku.

Od razu zwróciłem uwagę na jej dziwnie zwężone źrenice i zapadłą, żółtawą twarz, która kiedyś musiała być piękna. Kobieta usiadła ostrożnie i z podejrzliwą, ale też przestraszoną miną czekała na pytania.

- Słyszałem, że pani choruje - zagadnął ją Palmu uspokajającym tonem.

- Przeziębienie, gorączka, w piersiach mi świszczy - odrzekła i rozkaszła się tak mocno, że omal mi serce nie pękło. Od razu było widać, że udaje.

- Komisarz Palmu z wydziału kryminalnego - przedstawił się Palmu. - Muszę panią prosić, aby mi pani opowiedziała, co robiła dziś w nocy między godziną jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa!

Kobieta zbladła, ręce zaczęły jej drżeć. Nie zdołała uspokoić rozbieganych oczu, więc zaczęła opowiadać monotonnym głosem:

- Byłam w łóżku przez cały dzień. Kaznodzieja Mustapaa przyniósł mi jedzenie. Spieszył się, ale obiecał, że wieczorem przyjdzie jeszcze raz. Mieszka w tej samej klatce i zawsze był dla mnie uprzejmy. I o wpół do jedenastej rzeczywiście przyszedł. Pocieszał mnie w bóleści i modlił się za mnie. Miałam wysoką gorączkę i nie mogłam być sama. Bałam się. Dlatego został u mnie do godziny drugiej. Wtedy byłam już spokojniejsza i pomyślałam, że może wreszcie uda mi się zasnąć. Powiedział, że zapowiada mu się jutro męczący dzień, i nie może zostać dłużej.

Palmu wodził badawczym spojrzeniem po pokoju, aż jego wzrok zatrzymał się na szyjce butelki, która wystawała zza wezglowia łóżka.

- Trochę whisky i odrobina rozrywki dla chorej. Pięknie pomyślane. - Jego spojrzenie stwardniało. - Notowana? - rzucił.

Kobieta z oburzeniem odrzuciła podobne podejrzenie, lecz ręce zaczęły jej drżeć i wyraźnie się przestraszyła.

- I wcześniej niekarana? Wzór cnót obywatelskich. Szkoda - mruczał pod nosem Palmu. - No, nic nie poradzimy. Tylko coś dziwnie pani jest pewna tych godzin. Byłaby pani gotowa potwierdzić je pod przysięgą?

Żywo pokiwała głową. Trudno jej było mówić.

- Niechże mi pani pokaże swój zegarek! - rzucił nagle Palmu.

Kobieta się zmieszała. Powiodła wkoło bezradnym, błagalnym spojrzeniem.

- Mój zegarek? - powtórzyła pytająco. - Jest w naprawie, sprężyna poszła.

Każdy morderca popełnia błąd, jak wcześniej tego dnia powiedział Palmu. Kaznodzieja przeoczył ów mały szczegół i teraz nie mógł już tego naprawić.

- A zatem jak się pani tak dokładnie orientowała w godzinach? - zapytał złośliwie Palmu.

- Bo kiedy przyszedł, zaczął mnie przeproszać, że nie mógł przyjść wcześniej - wyjaśniła prosto kobieta. - A jak wychodził, to pokazał mi swój zegarek. Dziwił się, że jest już tak późno.

Palmu raczył się roześmiać, a w jego śmiechu brzęknęła nieprzyjemna nuta.

- Może pani dziękować szczęściu - zwrócił się do kobiety z zadowoloną miną. - Gdyby pani zegarek był sprawny, ze złości napuściłbym na panią tajną policję, ale chyba dam sobie z tym spokój. Pokazał pani swój zegarek, słyszana rzecz!

- Ma piękny, elegancki zegarek - oświadczyła kobieta urażonym tonem.

- W to nie wątpię - zapewnił ją komisarz, nie przestając się uśmiechać. - Dziękuję pani za tę relację. Oczywiście nikt inny nie wiedział, że Mustapaa spędził u pani tyle czasu na tych rzekomych modlitwach?

Kobieta pokręciła przecząco głową. Wydawała się bardzo zaniepokojona i jakby niepewna, czy czasem nie powiedziała czegoś nie tak. Odprowadziła nas do drzwi zgnębnym wzrokiem. W zniszczonym, krzykliwym szlafroku wyglądała doprawdy żałośnie.

Mustapaa czekał na nas na schodach z napiętą twarzą.

- Mam nadzieję, że jest pan teraz zadowolony, panie komisarzu - odezwał się ze sztuczną pewnością w głosie.

- Zadowolony to zbyt łagodne słowo - zapewnił go komisarz. - Jestem radosny, bardzo radosny. Możemy jechać.

Mustapaa zwiózł nas windą na parter. Widoczne rozbawienie komisarza kazało mu przypuszczać, że coś jest nie tak, i oblicze jeszcze bardziej mu sposepniało.

- Świetnie się pan zabawia, panie Brummer - zakpił niewinnie Palmu, gdy rozstawaliśmy się z kaznodzieją. - Wstydziliby się pan! Myślałby kto, że owieczki ze szkółki niedzielnej powinny panu wystarczyć, ale pan, jak się zdaje, nie zna umiaru. I do tego jeszcze whisky. A ja myślałem, że pan nie pije.

- Wiem, że moja nieszczęsna siostra w wierze jest alkoholiką - przyznał skwapliwie Mustapaa. - Ileż to razy modliłem się za nią i zaklinałem, by wyrzekła się szatana. Wciąż jednak nie tracę nadziei. Do widzenia, panie komisarzu!

Odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi swojego mieszkania. Ale Palmu rzucił za nim od niechcienia:

- Jeszcze tylko jedno małe pytanko, zanim się rozejdziemy. Co się panu stało w nogę?

I ja spostrzegłem, że kaznodzieja lekko kuleje. Zauważyłem to już w mieszkaniu pani Skrof. Z nienawiścią na twarzy Mustapaa pochylił się, by pomacać kostkę, i powiedział:

- To ten cholerny wyskrobek, ten kundel pani Skrof ugryzł mnie wczoraj w sieni!

Wyciągnął z kieszeni klucz i chciał już wejść do siebie.

- Ostrzegam pana przed opuszczaniem miasta bez zezwolenia policji - rzekł dobitnie Palmu i na jego twarzy nie było nawet śladu uśmiechu.

10

Detektyw Kokki jest przejęty, a pani Hallamaa chce powiedzieć coś potwornego. • Z zapalki robi się sprawa i dwa nowe testamenty zostają opatrzone podpisami. • Troski finansowe barona Kurstróma i klubowe wieczory mecenasa Lannego.

- Sprawa jest jasna - zagadnąłem wesoło komisarza, gdy jechaliśmy z powrotem na Nabrzeżną w kolejnej taksówce, za którą obiecałem zapłacić. - Jego alibi nie wytrzymuje głębszej analizy. Może rzeczywiście był u tej kobiety, ale najpierw cofnął zegarek o dwie godziny. I zauważ, że ta kobieta...

- Używa środków odurzających - dokończył Palmu. - Zaprawdę dobrane z nich towarzystwo. To oczywiście jeszcze jedna dobra poszlaka, ale wszystko zależy od tego, co się okaże po jutrzejszym otwarciu zwłok. W każdym razie wiemy już, że Mustapaa miałby skąd wziąć morfinę. Położył też łapę na tych pieniądzech, to ważna kwestia, no i nie ulega wątpliwości, że jest kapitalnym aktorem. Trzeba mieć czelność, żeby tak przyjść do mnie i prosto w oczy powiedzieć o tych dwustu tysiącach. Mustapaa nie wiedział też o odwołaniu testamentu. I ugryzł go pies. Ale...

- Jakie znowu ale? - przerwałem mu niecierpliwie.

- Nie róbże już z siebie takiego starego muła, nie trzeba cię chyba popędzać? Aresztowałbym tego faceta już tylko na tej podstawie.

- Tylko, że ta jego historyjka diabelnie dobrze trzyma się kupy - odrzekł zafrasowany Palmu. - Żebyśmy tak chociaż wiedzieli, co napisał w tym liście do pani Skrof. Na mój nos to właśnie on był jego zbawieniem. Oczywiście pod warunkiem, że w porę go odzyska. A czy w takiej sprawie mógł się zdać na ślepy traf? Nigdy. Poza tym mogę się założyć, że odcisk jego buta nie będzie pasował do śladu z balkonu. Oto przekleństwo tej pracy - musisz się upewnić co do każdego, najmniejszego nawet szczegółu.

- Że też ja go rano wypuściłem z rąk - jęknąłem zgnębiony. - Idiota ze mnie!

- Błąd był po mojej stronie - oznajmił łaskawie Palmu. - Przecież sam powinienem był w pierwszej kolejności pomyśleć o tej skrzynce na listy, widocznie jednak i ja nie jestem nadczołwiekiem. Będzie miał znowu Hagert aż nadto wody na swój młyn. Ten łajdak miał przez to wystarczająco dużo czasu na dopracowanie swej bajki. Mówię oczywiście o kaznodziei, nie o Hagercie!

Nie jechaliśmy długo. W drzwiach klatki 8A zobaczyliśmy Kokkiego. Był czymś bardzo przejęty i już z daleka krzyczał:

- A, tu jesteś! Diabeł tkwi w szczegółach, czyli mamy go! Znaki rozpoznawcze i tak dalej, wszystko się zgadza.

- Przestań się awanturować! - fuknął na niego Palmu. - Wszystko zaczyna mi się już mieszać w tej mojej starej głowie. Mamy w tej sprawie coś za dużo winnych.

- Przeczesalem całą Marynarską - ciągnął przejęty Kokki, a łągał jak z nut, bo w żadnym razie nie zdążyłby tego zrobić. - I od razu strzał w dziesiątkę! Jest tam taka kamienica, w której mieszkają studenci, niemal w każdym mieszkaniu mają kogoś na stacji. No i taka jedna z politechniki dziś w nocy wróciła do domu około wpół do pierwszej i zobaczyła przed wejściem niebieski sportowy wóz. Numery helsińskie, pierwsze cyfry 66...

- To wóz Lankelli - skwitowałem. I mnie zaczynało się już wszystko mieszać, ale wyjątkowo wysoki numer rejestracji jego auta utkwiał mi w pamięci.

- Dziewczyna była z absztyfikantem, z którym obcałowywała się pod drzwiami wejściowymi. Tego mi już oczywiście nie powiedziała - dodał Kokki. - Ale mniejsza z tym. Z bramy wyszedł dość wysoki mężczyzna w płaszczu z postawionym kołnierzem i w nasuniętym na oczy kapeluszu, po czym wsiadł do tego sportowego auta i odjechał. Godziny dziewczyna jest całkowicie pewna, bo absztyfikant okazał się kadetem i spieszył się na tramwaj, by w porę wrócić do szkoły.

- I to była ta brama? - zapytał zdumiony Palmu.

- Zgadza się. Sam sprawdziłem ten zamek, tak jak pan komisarz powiedział, i rzeczywiście, każdy może się tam dostać - potwierdził Kokki. - Poza tym widziany mężczyzna był w ciemnych okularach, a płaszcz miał skórzane guziki. Więcej dziewczyna nie dostrzegła, ale i tyle chyba wystarczy! Bo ten płaszcz i ciemne okulary to na pewno maskarada!

- A już prawie polubiłem tego Lankellę - jęknął Palmu, bo on też pamiętał ulster ze skórzanymi guzikami, który widzieliśmy w przedpokoju mieszkania Lankelli.

Weszliśmy powoli na schody i na pierwszym piętrze zaskoczyliśmy niemłodą już, kościstą kobietę o dość wydatnym nosie, która wychylała się przez poręcz i z napiętą twarzą patrzyła w górę. Zobaczyliśmy otwarte drzwi z tabliczką, na której widniało nazwisko Hallamaa, nie musieliśmy więc zgadywać, z kim mamy przyjemność.

- Panie komisarzu, panie komisarzu! - szepnęła podniecona kobieta. - Mam do pana sprawę, muszę panu wyznać coś bardzo ważnego.

- Wiemy już, że była pani wczoraj w kinie - odpowiedział Palmu z ciepłym uśmiechem.

Starsza pani wyglądała na wstrząśniętą. Spojrzała na niego wybałuszonymi oczami.

- Ja tyle czytałam... - zaczęła drżącym głosem - tyle czytałam o tajnych detektywach, ale jak pan się o tym dowiedział? Czy ja mogłabym... mogłabym wejść na górę? Bo ja mam panu do powiedzenia coś potwornie ważnego.

Palmu pokręcił trochę głową, zlitował się jednak nad starą sroką. Ta, po drodze załamawszy kilkakrotnie ręce, wepchnęła się z nami do pokoju pani Skrof.

- Proszę sobie wyobrazić, że ja to musiałam przeczuc - wyszeptała, wlepiwszy wzrok w łóżko, w którym pani Skrof dokonała żywota. - Dozorca i jego żona na pewno to pamiętają... Bo ja dziś rano powiedziałam, że to ją może drogo kosztować!

- Co? - zapytał cierpko komisarz.

- Tego to już nie pamiętam - przyznała pani Hallamaa i na sekundę straciła wątek. - W każdym razie coś mi kazało wypowiedzieć właśnie te, a nie inne słowa. Dozorca i jego żona mogą to potwierdzić...

- Dobrze już, dobrze - przerwał jej komisarz. - To miało być to wstrząsające wyznanie?

- Nie, nie - zapewniła go pospiesznie kobieta. - Ja chciałam panu powiedzieć, że ja się tej nocy zbudziłam.

Zawiesiła głos dla lepszego efektu, ale Palmu nie wyraził większego zainteresowania. Było widać, że słucha jej jednym uchem, bo myśli o czymś zupełnie innym.

- Obudziło mnie szczekanie psa - podjęła obruszona pani Hallamaa. - Godzina była dwunasta siedemnaście, wiem to na pewno, bo spojrzałam na zegar, a on chodzi zawsze dokładnie pięć minut do przodu, żeby się nie spóźniła do pracy, no i ten pies zaszczekał dwa razy, i ja się obudziłam, i mój zegar pokazywał wtedy dwunastą dwadzieścia dwie. Potem pies drapał w podłogę, a chwilę później zapaliło się światło na górze, co dobrze ode mnie widać, bo odbija się tam, na ścianie fabryki. Ale ja nieszczęsna nic nie zrobiłam, chociaż na pewno właśnie wtedy mordo...

- Kto pani powiedział, że to morderstwo? - przerwał jej, porządnie już rozeźlony, Palmu.

- Pe-Pentti La-Lanne po...wiedział - wyjąkała biedaczka. - A to nie-nie można o tym mó-mówić?

Palmu bezradnie rozłożył ręce.

- No dobrze, już dobrze - powiedział. - Proszę opowiadać dalej.

- Dalej to już nie ma o czym - przyznała trochę skruszona pani Hallamaa. - Przekręciłam się po prostu na drugi bok i nawet się trochę ucieszyłam, że pani Skrof musiała wstać w środku nocy, aby uciszyć psa, któremu się nagle zachciało szczekać na podwórzowe koty. Ten mały paskudnik zawsze na mnie czekał, choć mieszkam tu od dwudziestu lat. Oj, prze-przepraszam! - zasłoniła usta dłonią. - Za-zapomniałam, że jego też już nie ma.

- Jestem pani wdzięczny za tę informację, pani Hallamaa - podziękował jej uprzejmie komisarz. - Pani spostrzeżenia całkowicie się zgadzają z naszymi wyliczeniami i potwierdzają... hm... godzinę popełnienia morderstwa.

- A więc to naprawdę było morderstwo? - Kobieta rozwarła szeroko oczy i instynktownie nabrała powietrza w płuca.

- Tak, to było morderstwo - przyznał spokojnie Palmu. - I chyba nie muszę dodawać, że nie wolno tego pani wyjawiać absolutnie nikomu. Z pewnych względów musimy tymczasem zachowywać bezwarunkowe milczenie. I jeżeli nie ma pani do mnie już nic więcej... - To mówiąc, wstał, by dać jej do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Jednak pani Hallamaa jeszcze nie skończyła.

- Mam dla pana coś jeszcze - wyszeptala głosem zachrypłym z przejęcia. - Bo skoro to morderstwo, to nawet najdrobniejszy szczegół ma znaczenie, tak czytałam. I dlatego przyniosłam panu to.

Z podniszczonej torebki wyjęła mały kartonik i otwarła go tak ostrożnie, jak gdyby trzymała w środku kostkę dynamitu.

- Znalazłam to przed kwadransiem na swoim balkonie - oświadczyła z nabożnym niemal szacunkiem i odsunęła kartonik daleko od siebie na wyciągniętej do komisarza dłoni.

Pochyliliśmy się z Palmu i spojrzeliśmy.

W kartoniku, starannie złożona na wyściółce z waty, leżała zapalka - zwyczajna, niewypalona zapalka.

No, może niezupełnie zwyczajna, gdyż była to zapalka reklamowa. Nieco mniejsza i cieńsza od normalnej, z jaskrawo żółtą główką osadzoną na czerwonym patyczku. O takich zapalkach mówiło się potocznie „wykałaczkki”, bo na etykietach ich wąskich pudełek ogłaszały się chętnie restauracje, choć niekiedy reklamowano też na nich filmy. Oczywiście zapalka mogła co najwyżej stanowić poszlakę, przypadkowo jednak wiedziałem, że identyczne kolorowe zapalki znajdowały się w pudełkach reklamujących restaurację w hotelu Helsinki, gdyż rano w mieszkaniu Lankelli widziałem, jak Kuurna zapalił papierosa taką właśnie czerwono-żółtą zapalką.

- Leżała na samiuśkiej krawędzi balkonu, ledwie się trzymała - wyjaśniła pani Hallamaa. - Więc musiał a spaść z balkonu nade mną, to jest z balkonu pani Skrof. A wieczorem jej tam nie było, bo ja codziennie wietrzę mieszkanie. Otwieram drzwi balkonowe najmniej na godzinę - podkreśliła rześko.

- Hm - mruknął głęboko zamyślony Palmu i ujął ostrożnie kartonik. - Jakkolwiek by patrzeć, to nasz pierwszy namacalny dowód...

- Nie dotykałam jej - wychrypiła szeptem kobieta. - Podniosłam ją z posadzki szczypczykami do cukru i od razu wsadziłam do tego kartonika. Na pewno znajdzie pan na niej odciski palców mordercy!

To była ta bomba, z którą do nas przysłała. Z przekrzywioną głową wpatrywała się w nas niczym mewa, która czeka, aż opiekun rzuci jej śledzia. Odwróciłem szybko głowę, a Palmu chrząknął surowo. Ponieważ jednak w głębi duszy był człowiekiem serdecznym i nie chciał niszczyć wyobrażeń kobiety o wszechmocy policji, odezwał się uroczyście:

- Dziękuję pani z całego serca, pani Hallamaa. Rzuciła pani światło, jakże nam potrzebne, na tę mroczną sprawę. A zatem teraz, przy pani, zaplombuję to pudełko, o, tak! Dobrze pani chyba rozumie, że musimy natychmiast przystąpić do zbadania tego śladu, więc...

Pani Hallamaa drżącą ręką podpisała się na swoim kartoniku i wyszła, wyraźnie wstrząśnięta.

- No to za pół godziny całe Helsinki będą wiedzieć, że to morderstwo - stwierdził pośpiesznie Palmu. - I do tego jeszcze pracownica poczty! Gorzej nie mogliśmy trafić. A teraz musimy już wracać, trzeba spisać raport dla Hagerta i przygotować się do jutrzejszego przesłuchania, aby wszystko poszło szybko i sprawnie. No i na pewno filiżanka kawy i dwie kanapki...

Dopiero teraz poczułem czczość w żołądku. Istotnie, pora śniadaniowa dawno już minęła. Zapomniałem spoglądać na zegarek tak często, jak powinien to robić sumienny detektyw, lecz Palmu nie zdążył mnie za to obsztorcować, bo przesywający dzwonek telefonu przerwał mu w pół zdania.

Taki nagle dzwoniący telefon w surowo urządzonym pokoju, w którym kilka godzin wcześniej z zimną krwią zamordowano człowieka, nie należy do przeżyć najprzyjemniejszych. Okazało się, że telefonuje mecenas Lanne, który poprosił komisarza „na minutkę” do swojego gabinetu. Kokki musiał zostać na dyżurze w mieszkaniu. Zrezygnowany, wziął ze stołu kolejną nabożną książkę autorstwa Pera Gamaliela Mustapaa.

- Ja też bym się napił kawy i zjadł dwie kanapki - powiedział gorzko. - No, ale do tego trzeba być komisarzem!

- Aha, jeszcze coś - dodał po chwili. - Zapomniałem powiedzieć przez telefon. To oczywiście całkiem banalna rzecz, ale... no, mniejsza z tym. Obejrzałem w lustrze bibułę ze stołu, taki automatyczny odruch, i jeśli się nie mylę, to ostatnią rzeczą, jaką stara w życiu napisała, był list do tego cwaniaka Mustapaa. W każdym razie na bibule odcisnął się jakby ślad zapisanego na kopercie adresu. Bibuła jest już w laboratorium i chłopaki...

- Co oni sobie, u diabła, kółko korespondencyjne urządzili czy co? - zdumiał się Palmu. - List oczywiście się nie znalazł, to jasne. Mógł być napisany kiedykolwiek. I nadany dużo wcześniej albo znów dopiero wczoraj wieczorem, a to oznacza, że Mustapaa łże, bo to nie miałoby najmniejszego sensu, aby stara wstawała z łóżka i jeszcze coś do niego pisała. Chyba, że...

- Chyba, że morderca zabrał napisany już list, który pani Skrof zamierzała nadać dzisiaj rano - uzupełniłem.

Palmu rzucił mi smutne spojrzenie.

- Tego by nam jeszcze brakowało... - mruknął z nutą bezradności w głosie.

Wyszliśmy na schody.

W gabinecie mecenasa Lannego w dość napiętej i chłodnej atmosferze zgromadziło się już niewielkie towarzystwo. Kaarle Lankella stał oparty o piec z rękoma w kieszeniach płaszcza i silił się na beztroskę. Kirsti Skrof ze skrzyżowanymi ramionami i dłońmi na kolanach siedziała na brzegu krzesła i nieruchomym wzrokiem patrzyła przed siebie w pustkę. Z jej pleców, prostych jak pogrzebacz, bił na młodego Lankellę lodowaty ziąb. Po pokoju przechadzał się nerwowo Kurt Kuurna, dotykając każdego przedmiotu w zasięgu rąk i usiłując rozładować napięcie żartobliwymi uwagami, na które nikt jednak nie reagował.

Po wejściu komisarza mecenas Lanne odetchnął z wyraźną ulgą i zaczął pracowicie wycierać okulary. Było widać, że ta nieznośna sytuacja zaczyna mu już mocno działać na nerwy. Na jego biurku stała odkryta maszyna do pisania, najwyraźniej używana jeszcze niedawno. Mecenas wręczył komisarzowi sporządzone przez siebie oficjalne dokumenty.

- Zechciałby pan komisarz łaskawie to przeczytać. To oczywiście jedynie formalność, uznałem jednak, że moim pierwszym obowiązkiem jest, nieprawdaż... Wszak widział pan dziś rano testament pani Skrof.

Przeczytałem i ja, co nie było trudne, gdyż jestem od Palmu wyższy o głowę. Był to testament sporządzony w dwóch egzemplarzach: w pierwszej wersji Kirsti Skrof zapisywała

bezw warunkowo cały swój majątek ruchomy i nieruchomy na rzecz Kaarlego Lankelli, w drugiej zaś ten czynił to samo na rzecz Kirsti Skrof. Palmu zmarszczył brwi.

- Jest pan nadzwyczaj sumienny w wypełnianiu swoich obowiązków, panie mecenasie - powiedział najzupełniej bezosobowym tonem.

Mecenas zrobił bardzo nieszczęśliwą minę i znów jął pracowicie wycierać okulary. Ja także pamiętałem testament pani Skrof, który rano jej prawnik zdeponował w bankowym sejfie. W ostatnim zdaniu spadkodawczyni wyraziła życzenie, aby - w razie gdyby w chwili jej śmierci rzeczeni spadkobiercy nie byli jeszcze małżeństwem - zapisali sobie nawzajem swoją część majątku dla zachowania jego nierozdzielności.

- To było oczywiście jedynie życzenie denatki - podkreślił żałośnie mecenas. - Pojawiło się ono w testamencie w zasadzie niemal automatycznie i równie dobrze mogłoby go w nim nie być, ponieważ pani Skrof wierzyła niezłomie, że pożyje jeszcze długo i zobaczy was, młodych, szczęśliwie pożenionych, nieprawdaż, ze sobą, choć akurat o tym nie wspomina się tu, nieprawdaż, ani słowem.

Kaarle Lankella niechcący stracił z brzegu pieca ozdobne puzderko i spłonął rumieńcem. Dłonie Kirsti Skrof nie spoczywały już na kolanach, lecz były zaciśnięte w pięści.

- Czyżbyś znów był pijany, Kaarle? - odezwała się ostro.

Lankella bez słowa podniósł puzderko z podłogi i ustawił je z powrotem na miejscu z przesadną pieczołowitością.

- To jedynie życzenie, które nie zobowiązuje was do niczego - zauważył raz jeszcze mecenas. - Skoro jednak oboje nie macie, nieprawdaż, dzieci ani żadnych innych szczególnie bliskich krewnych, to moim zdaniem równie dobrze możecie, nieprawdaż...

- Piękna myśl! - wtrącił niewinnie Kurt Kuurna.

- Podziwu godna troska! - Nikt jednak nie miał najmniejszej ochoty przyłączyć się do żartów.

- Gdybym miała choćby cień wątpliwości, że przeżyję Kaarlego, nigdy bym się pod czymś takim nie podpisała - rzekła panna Skrof. Jej twarz spąsowiała, ale siedziała z wysoko uniesionym czołem. To była naprawdę urzekająca dziewczyna. - Ponieważ jednak jestem najzupełniej pewna, że pan Lankella wcześniej czy później... że jego tryb życia... że... że... dlatego uważam, że nie ma sensu odrzucać tych ośmiu milionów...

- Najzupełniej słusznie - pochwalił ją przymilnie Kuurna. - Bardzo wielu lotników przedwcześnie wywija orła. Masz dużo większe szanse na wygraną niż w loterii pieniężnej!

- Które on zapisałby jeszcze potem w testamencie jakiejś... jakiejś tancerzce! - dopowiedziała z godnością Kirsti Skrof, jak gdyby w ogóle nie słyszała nieprzystojnego komentarza Kuurny. Lankella się wzdrygnął i postąpił krok w przód.

- Kirsti! - rzucił ostrzegawczym tonem, a podbródek zatrzęsł mu się ze złości. - Gdybyś była dwa lata młodsza...!

- To uderzyłbyś mnie w twarz, tak jak kiedyś w Lankelli! - dokończyła panna Skrof z goryczą w głosie. - Proszę cię bardzo, wał śmiało! Tym razem jednak potrafię się już obronić!

Co mówiąc, pochwyciła z biurka ciężki brązowy przycisk i przez chwilę wyglądało na to, że dojdzie do rękoczynów i w powietrzu wisi kolejne morderstwo.

- Jak dwa rozbrykane bachory! - krzyknął z radością Kuurna. - Brawo, Kirsti, dawaj, dawaj! Mówię jednak uczciwie, że mimo wszystko obstawiam w tej walce Kallego.

Mecenas Lanne cofnął się o krok. Zdecydowanie nie należał do najodważniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkałem.

- To nieodpowiednie, nadzwyczaj nieodpowiednie zachowanie w tej sytuacji... - wyjąkał, zapominając na chwilę o swoich okularach.

- Och, idźcie wy wszyscy do diabła! - wyrzucił z siebie Lankella, po czym usiadł za biurkiem i podpisał się pod testamentem tak zamasyżycie, że aż prysnął atrament. Kirsti Skrof zacisnęła zęby i poszła w jego ślady. Kałamarz ocalał tylko dzięki Kuurnie.

- A teraz poproszę, aby pan, panie komisarzy, i pański, nieprawdaż, towarzyszy podpisał się jako świadkowie - odezwał się mecenas z wyraźną ulgą w głosie. - Że oboje zupełnie świadomie i z własnej, nieprzymuszonej woli... I będziemy mieli za sobą tę przykrą formalność.

Podpisaliśmy oba testamenty. Kirsti Skrof wyszła z gabinetu z pałającymi policzkami, nie racząc nawet spojrzeć na komisarza ani na mnie. Lankella także zaczął się zbierać, ale Palmu go zatrzymał.

- Jeszcze dwa małe pytania, panie Lankella - odezwał się przyjaźnie. - Pewnie nie znalazł pan jeszcze swoich tenisówek?

- Nie, do diabła, nie znalazłem! - wypalił Lankella, który najwyraźniej stracił już resztki cierpliwości. - Nie mogę pojąć, gdzie posiałem torbę z rzeczami do tenisa. A jeszcze mniej pojmuję, po jaką cholereę ona panu potrzebna?

- A pańska ręka? Czy już się zagoiła?

Twarz Lankelli jeszcze bardziej pociemniała, lecz zdołał się opanować. Demonstracyjnie wsunął zabandażowaną dłoń do kieszeni. Palmu się zadumał.

- Tak mi przyszło do głowy - rzekł z namysłem. - Czy to nie pan przypadkiem polecił ciotce pantofon?

Lankella wyglądał na niemile zaskoczonego.

- A kto to panu powiedział? - zapytał zaczepnie.

- Aaa, pan doktor Markkola, ma się rozumieć. Zgadza się, to ja jej poleciłem pantofon. Kurt go czasem używał, a że ciotka bezustannie narzekała, że się denerwuje i nie może spać, więc w końcu znudziło mi się już tego słuchać i powiedziałem jej, że po tabletkach pantofonu będzie spała jak kamień!

- A zatem wiedział pan o tym, że w szufladzie biurka pańskiego współlokatora znajduje się fiołka z pantofonem? - zdziwił się taktownie Palmu.

- Czyż w takiej chwili adwokat nie ostrzega swego klienta, aby nie odpowiadał na pytania? - zapytał niewinnie Kuurna. - W każdej powieści detektywistycznej...?

Najwyraźniej ta sama myśl zmaćla spokojny umysł mecenasa Lannego, gdyż wzdrygnął się i uśmiechnął z miną winowajcy, jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku.

- Otóż to, właśnie, nie wiem, czy to konieczne, aby właśnie teraz... - zaczął niepewnie. - Jeśli... jeśli chcesz, możemy najpierw rozmówić się na osobności.

- Esz, do diabła, a jaki to ma sens?! - wybuchnął Kaarle Lankella. - Co poradzę, że ktoś ma tak nierówno pod sufitem, żeby podejrzewać mnie o zamordowanie ciotki dla głupich kilku milionów... Och, na Boga, oczywiście, że o tym wiedziałem. Poza tym to stara fiołka i w środku nie ma już pantofonu, tylko tabletki z czystą morfiną! Wyjście awaryjne Kurta!

Kuurna bynajmniej się nie zmieszał.

- Chyba muszę się teraz przyznać do małej słabostki - powiedział bezwstydnie. - Otóż bardzo lubię mieć tę świadomość, że mam pod ręką środek, po którym zapadnę w słodki sen i już nigdy się nie obudzę. Dużo to lepsze od broni palnej, człowiek nie przysparza roboty sprzątaczkom, nie robi niepotrzebnie hałasu ani zamieszania. To oczywiście ta młodość, ale prawdę powiedziawszy, życie to czasem taka ohyda i gówno, że...

- Skąd pan wziął te tabletki? - zapytał Palmu surowo.

- Tego pan się nigdy nie dowie - Kurt Kuurna powtórzył uroczyście słowa wypowiedziane rano przez Kaarlego Lankellę. W oczach zalśniły mu jednak figlarne iskierki. - Mogę panu jedynie wyznać, że mam pewne znajomości w branży aptekarskiej... Poza tym jak się człowiek nabawi naprawdę paskudnego kaca i zaczyna widzieć białe myszki, to jedna taka tabletką pograża go na dwanaście godzin w sen, z którego nic go nie wybudzi, nawet huk działa przy samym uchu. Wypróbowany sposób... Raz Kalle musiał mną potrząsać przez pół godziny, zanim...

- To przykre - przerwał mu spokojnie Palmu. - Bardzo przykre!

- Jakże to? - zdziwił się niewinnie Kuurna. - Nie jestem jednak morfinistą, jeśli to panu chodzi po głowie.

- Nie wzruszają mnie w najmniejszym stopniu pańskie duchowe ani cielesne słabostki - odrzekł rozdrażniony Palmu, bo Kuurna wytrącił go z głębokiego namysłu. - Jest pan...

- Produktem trzech stuleci szlacheckich tradycji i tak dalej, i tak dalej - dokończył za niego Kurt Kuurna.

- Szlachectwo zobowiązuje. Na ścianie helsińskiej Izby Rycerskiej wisi mój herb, który pewnego dnia zostanie uroczyście rozbity w drobny mak na moim grobie. Jestem bowiem - na szczęście - ostatnim Kurstrómem, głową rodu, że się tak wyrażę.

- Ciekawe... - mruknął Palmu, bynajmniej nie słuchając jego paplaniny. - Ciekawe...

- Ja też tak myślę - zgodził się grzecznie Kuurna.

- Ciekawe mianowicie, czy potrafiłby pan czasem wykorzystać tę swoją jadaczkę z najmniejszym choćby pożytkiem - dokończył komisarz przerwaną myśl nieco obraźliwym tonem. - Co chcę powiedzieć: gdyby pan tak zwołał całe to wasze wczorajsze towarzystwo na godzinę szóstą do hotelu Helsinki, w to samo miejsce, w którym się bawiliście w ubiegły wieczór, oszczędziłoby mi to wielu kłopotów. Tak się bowiem składa, że nie mam czasu biegać po całym mieście w poszukiwaniu skacowanych nicponi...

- Wszyscy pochodzą z bardzo dobrych rodzin - zapewnił go Kuurna. - Niemal wszyscy... - dodał krytycznie po chwili namysłu. - Po sprawdzeniu i zweryfikowaniu alibi Kallego zostanie udowodnione ponad wszelką wątpliwość, że wcale go z nami nie było. To wynajęty przezeń aktor zataczał się na stole i śpiewał Cyganek Wierę, podczas gdy prawdziwy Kalle pod osłoną nocy wykradł się z klubu, aby udusić rodzoną ciotkę. Rozumiem, sprawa załatwiona!

- Ech, niechże pan już przestanie robić z siebie błazna! - Palmu był wyraźnie zdenerwowany. - To sprawa poważniejsza, niż się panu zdaje. I po kiego diabła ciągle pan bredzi o tym uduszeniu. Przecież już mówiłem, że pani Skrof zmarła wskutek zatrucia gazem. - Co powiedziawszy, Palmu nieco się wzdrygnął.

- Moim zdaniem uduszenie pod pewnymi względami byłoby bardziej w jej stylu - rzekł po chwili niepoprawny Kuurna. - Ale sprawa jasna, o godzinie szóstej stół biesiadny w sali klubowej Helsinek ma się uginać od...

- Nie będę płacić za żadną biesiadę! - wtrącił przestraszony Palmu. - Nasz budżet nie przewiduje podobnych ekstragawa... ekstra... wydatków. Obowiązkiem głównego kelnera...

- Ja zapłacę - rzucił lekko Kuurna.

- A właśnie, że ja - równie ochoczo zaproponował Lankella, lecz zaraz się zmieszał i z pewnym wahaniem spojrzął na mecenasa. - To znaczy... tak po prawdzie, w tej chwili w ogóle nie dysponuję gotówką. Ciotka miała mi dzisiaj wręczyć... większą sumę pieniędzy, a nie uregulowałem jeszcze rachunku za wczorajszy wieczór. Przypuszczam jednak, że pan mecenas może mi wypisać czek.

- Prawdę mówiąc, to nieszczególnie chętnie... jeszcze nie - akurat teraz - odrzekł wymijająco mecenas, oczami szukając pomocy u komisarza. - Kiedy ta cała sprawa jest jeszcze niewyjaśniona i... i...

Umilkł zmieszany. Trzeba przyznać, że Lanne znalazł się w nader niezręcznej sytuacji, jeżeli rzeczywiście skrycie podejrzewał Kaarlego Lankellę o zamordowanie pani Skrof. Kuurna obrzucił mecenasa pogardliwym spojrzeniem.

- Głowa do góry, Kalle - powiedział, klepiąc druha przyjacielsko po plecach. - Odpalę ci na dobry początek nawet sto tysięcy, powiedz tylko słowo. Ale dziś moja kolej płacić.

Palmu się wzdrygnął i łypnął na Kuurnę podejrzliwie.

- Pan i te pańskie weksle - warknął. - A pan skąd nagle wziął takie pieniądze?

- Tajemnica rodzinna - odciął się wyniośle Kuurna.

- Chodź, Kalle, ogary poszły w las! Zbiorę całą ekipę na szóstą do klubu, choćbym miał zwłoki nosić na plecach. A zatem do zobaczenia, panie komisarzy! Głównego kelnera proszę pytać raczej o barona Kurstróma niż o malarza Kuurnę. Kamerdyneria to jedna wielka konserwa. No i proszę przed przyjściem nie jeść obiadu. Ja stawiam!

Jego wspaniałomyślne zaproszenie nie wywarło widocznego wpływu na postawę komisarza. Po wyjściu przyjaciół Palmu jeszcze długo wpatrywał się w drzwi.

- Taki smarkacz jest baronem! Z trzystuletniego rodu szlacheckiego, niech mnie kule biją! - mrucał pod nosem. - Co prawda, jestem zdeklarowanym demokratą, ale... hm... coś w tym jednak jest. Tylko skąd on, u diabła, wziął te pieniądze?

Mecenas Lanne uśmiechnął się pod nosem i włożył okulary do etui, które wsunął ostrożnie do kieszeni.

- Panu też opowiadał o wekslach i sprzedaży swoich obrazów? - zagadnął z ubawioną miną. - To tylko takie gadanie! To jego największe marzenie: sprzedać kiedyś choćby jeden obraz! Dlatego zgrywa się na bohema i biadoli na weksle. I nie ma się co dziwić, że wywalają go z banku na zbity pysk, kiedy przedstawia się jako artysta malarz Kurt Kuurna i bredzi o wspieraniu rodzimej sztuki. Prawda jest jednak taka, że Kuurna to człowiek bardzo zamożny. Weksle barona Kurstróma przyjmowane są bez szemrania w każdym banku i sądzę, że gdyby ten człowiek wpadł w tarapaty i potrzebował kredytu, daliby mu pewnie i dwa miliony marek.

Wbrew temu, co rozpowiada, doskonale dba o swoje interesy, choć usiłuje sprawiać wrażenie, jak gdyby nie martwił się tym, co będzie jutro.

Byłem zdumiony. Najwyraźniej Kuurna umiał się doskonale maskować.

- Rozumiem - rzekł Palmu, machając ręką, jakby chciał strzepnąć muchę z płaszcza. - Kolejny dobry pomysł diabli wzięli. Szkoda!

Mecenas zatarł dłonie jak człowiek zadowolony ze spełnienia obywatelskiego obowiązku. Jednak już po chwili uśmiech zamarł mu na twarzy, bo Palmu zapytał go od niechcienia:

- Jak się nazywa ten klub, do którego pan należy?

- Ja-jaki klub? - zmieszał się mecenas.

- Wspominał pan przecież, że był wczoraj na wieczorze klubowym. Wrócił pan z niego dopiero po pierwszej w nocy. Moim obowiązkiem jest sprawdzić alibi każdej osoby, która w taki czy inny sposób jest zamieszana w tę sprawę.

- A-ale pan nie może przecież podejrzewać mnie?

Głos mecenasa wyrażał bezgraniczne zdumienie. Nie było w nim nawet śladu złości.

- Dlaczego panu tak się spieszyło z tymi dwoma nowymi testamentami, panie mecenasie? Zwłoki pana poprzedniej klientki jeszcze nie zdążyły ostygnąć, a pan już gorączkowo zabiega o ciągłość i niepodzielność majątku. Pańskie konwencjonalne zasady nie za bardzo pasują do takiego pośpiechu. I bardzo byłbym rad usłyszeć, panie mecenasie, czy rzeczywiście podejrzewa pan młodego Lankellę o morderstwo ciotki, skoro odmówił mu pan wypłacenia części jego spadku, czy też może...

Palmu na chwilę zawiesił teatralnie głos.

- Czy-czy też może... co? - wyjąkał załamany prawnik, zwilżając językiem suche wargi.

- Czy też chciał pan dać mi zdecydowanie do zrozumienia, że ja również powinienem zacząć go podejrzewać? Jeżeli tak, to obszedł się pan ze swoim przyszłym klientem trochę nieładnie.

- Niechże pan posłucha, panie komisarzu! - zaczął z emfazą mecenas Lanne.

Zdażył już odzyskać równowagę, a nawet porządnie się zezłościć, ale Palmu przerwał mu bezceremonialnie:

- Nazwa pańskiego klubu?

- Pod Cichym Tyczkarem - odrzekł nieco speszony mecenas. - To taki mały prywatny klub, do którego należą podobni do mnie, nieprawdaż, seniorzy o ustabilizowanej pozycji.

Oczywiście żaden z nas nie jest tyczkarzem - pospiesznie dodał mecenas, widząc minę komisarza. - Nazwa miała być taka... żartobliwa.

- I jeszcze adres? - indagował urzędowo Palmu. - A jeśli o mnie chodzi, to jestem daleki od żartów!

Wyszliśmy, zostawiając w pokoju nadzwyczaj zdenerwowanego, niespokojnego mecenasa, który niestrudzenie wycierał okulary w róg chusteczki do nosa.

11

Komisarz Palmu boi się zwłok, a portier Pod Cichym Tyczkarzem lubi gadać. • Piszę, jak mi dyktują, Palmu zaś udaje świętoszka w kwestii alkoholu. • Podążam śladem mordercy i tracę dobre spodenki do tenisa. • Alibi Lankelli się kruszy, lecz Kuurna wyprzedza nas o krok.

- Dlaczego mecenas tak popędzał Kirsti Skrof i młodego Lankellę z tymi testamentami? - mruczał pod nosem Palmu w ciemnej klatce schodowej komendy, gdy po półkolistych wytartych schodach wspinaliśmy się do wydziału. - To brzydka historia, bardzo brzydka historia, i boję się... - urwał nagle i klepnął się w czoło, jak gdyby coś mu się przypomniało. Ton jego głosu odebrał mi resztki spokoju, bo wiedziałem, że komisarz mówi najzupełniej poważnie.

- W tej sprawie mamy zbyt wielu podejrzanych - wtrąciłem swoje trzy grosze. - I zbyt wiele niewiadomych. Nurtuje mnie nieodparte przecucie, że wszystko się ze sobą łączy, i to w sposób bardzo oczywisty. Gdybyśmy tylko zdołali odkryć to powiązanie, sprawa wyjaśniłaby się od razu. Teraz na przykład w ogóle nie pojmuję...

Zawahałem się, trochę mi było głupio mówić dalej. Najwyraźniej jednak sam Palmu musiał być niezłe zdezorientowany, bo nawet mi nie przerwał.

- Na przykład ten adres kaznodziei na bibule, którą Kokki znalazł na biurku pani Skrof - podjąłem po chwili. - I... i... to oczywiście Mustapaa jest... ale mimo wszystko...

- Czy morderca osiągnął już swój cel? - zapytał cicho Palmu, wpatrując się w brudną ścianę klatki schodowej. - Te dwa nowe testamenty. W pewnym sensie wydają się niepotrzebne. I dlaczego akurat Lanne tak nalegał na ich podpisanie? Mogę przysiąc na Boga, że w tej chwili nawet nie myślę o aresztowaniu mordercy. Mam tylko nadzieję, że zanim zamkniemy tę sprawę... nie przybędzie nam zwłok.

Przyszłość miała pokazać, że przecucie komisarza nie myliło, choć jego obawy zmaterializowały się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał. Korzenie tej historii sięgały bowiem głębiej, niż mogliśmy przypuszczać na tym etapie śledztwa. Mimo że dzierżyliśmy już w ręku wszystkie wątki sprawy i powinniśmy byli... Ale nie ma sensu uprzedzać biegu wydarzeń.

Zasiadłem za biurkiem w pokoju Palmu i zacząłem przepisywać na maszynie swoje beznadziejnie chaotyczne notatki, których zebrał się już beznadziejnie gruby plik. Palmu

poszedł na rozmowę z Hagertem, który miał mu wydać dodatkowe polecenia. Wrócił dopiero po godzinie.

- Oczywiście Hagert jest zły - powiedział zgnębiony. - Jest zły, że to było morderstwo. Jest zły, że Mustapaa zdołał sprzątnąć nam sprzed nosa ten swój list. Jest zły, że tenisówka kaznodziei nie pasuje do znalezionej śladu, czego zresztą należało się spodziewać. Jest zły, że pozwoliłem Lankelli i Kuurnie razem zwołać swoich wczorajszych kompanów. Głupie gadanie! Gdyby Lankella chciał wzmocnić alibi, przekupując koleżków, zdążyłby to przecież zrobić dużo wcześniej. Hagert jest zły tak ogólnie - i zdenerwowany. Zgodziliśmy się jednak co do tego, że na razie do gazet da się krótką wzmiankę o zatruciu gazem. A jutrzejsze przesłuchanie uznajemy za wstępne, byle tylko uzyskać zgodę gubernatora na otwarcie zwłok.

Obrzucił pogardliwym spojrzeniem leżące obok mnie kartki czystopisu.

- I dlatego żadnych powieści, chłopcze, aby jutro gubernator nie stracił na ich czytanie całego dopołudnia. Tylko najważniejsze fakty, które go przekonają, że to było morderstwo. I na razie - żadnych podejrzanych. Oczywiście i tak będziesz musiał to wszystko przepisać na czysto, dla m n i e, bo w tej sprawie każda odpowiedź może się później okazać bardzo ważna. Z tym aż tak się nie spieszy, ale chyba najlepiej będzie, jak podyktuję ci teraz gotowe zeznania świadków, tak, że jutro wystarczy tylko dać im je do podpisania. Nie zamierzam rano wstawać wcześniej niż zwykle, więc przesłuchanie wyznaczono na godzinę dziesiątą.

Z posępną miną zasiadł za biurkiem i dla zebrania myśli wsparł czoło na czubkach palców. Po chwili jednak trochę się ożywił.

- Tak, te ancete...andece... - zaczął.

- Antecedencje - uzupełniłem szybko, aby niczego nie uronić.

- Przeszłość, tak jest... dane personalne automatycznie poszły do ośrodka badań, ale nie znajdą w nich niczego podejrzanego, z wyjątkiem oczywiście pana Brum-mera vel Mustapaa. Mają jego kartotekę, choć nigdy nie był karany. Jeśli zaś chodzi o Lannego, zatelefonowałem do znajomego z sądu apelacyjnego i okazało się, że dwanaście lat temu pan mecenas był zamieszany w jakąś niejasną historię i stracił przez to niemal całą klientelę. Zdaje się, że szedł już na dno, kiedy go znalazła stara Skrofowa. Oczywiście skwapliwie wykorzystała sposobność najęcia taniego prawnika. No i...

Umilkł w pół zdania, aby nasycić się widokiem mojej napiętej twarzy.

- No i to jego alibi niewarte funta kłaków. Wysłałem chłopaka do tego Cichego Tyczkarza i tak jak się spodziewałem, zaraz po naszym wyjściu Lanne zadzwonił tam i powiedział portierowi, że z różnych powodów chciałby go prosić o potwierdzenie, iż wyszedł z klubu dopiero o pierwszej w nocy. No, ale się naciął, bo portierzy podobnych przybytków

wolą z nami nie zadzierać. Wiadomo, koncesja na wyszynk wisi na włosku i tak dalej. No więc nasz portier gotów jest zeznać pod przysięgą, że mecenas Lanne opuścił klub wczoraj wieczorem już kilka minut przed północą. Zresztą z reguły wychodzi wcześniej niż inni.

- No tak - odrzekłem, mimowolnie naśladowując ton komisarza, - A zatem jeszcze jedno alibi mniej. Doprawdy zagmatwana historia.

- Przede wszystkim widać, że morderca pani Skrof to człowiek przebiegły, który wszystko dokładnie kalkuluje i w niczym nie zdaje się na ślepy traf - dodał Palmu, jak gdyby mówił do siebie. - Jedna jedyna zapalka, odcisk tenisówki, dwie krople krwi, samochód, który się zatrzymał akurat przed tą, a nie inną bramą. Do tej pory to jedyne niezbite fakty. To auto... Jeżeli rzeczywiście przyjechał nim morderca, to musi dziwić, że zostawił je akurat przed tą bramą, gdzie wprost kłuło w oczy. Sądziłbym raczej, że powinien był zaparkować przynajmniej za rogiem.

- Czepiasz się - odparłem. - Choć z drugiej strony... Mimo że Lankella to choleryk, a jego sprawy są zupełnie w proszku, nadal nie mieści mi się w głowie, że mógłby być mordercą.

- Mustapaa jest pod ścisłą obserwacją i mają dać mi znać, jeśli tylko postąpi fałszywy krok - dodał Palmu.

- Na tym etapie nic więcej nie możemy mu zrobić. Lankella za to... - zawiesił na chwilę głos i przeniósł spojrzenie na wznoszącą się po drugiej stronie Rynku masywną kopułę katedry, nad którą wysoko na wiosennym niebie zakręcał właśnie samolot. Z tej odległości nie był większy od zwykłego motyla. - Powiedz mi, jaka profesja... - zagadnął nagle, z pozoru bez żadnego związku z naszą rozmową - jaka profesja we współczesnym świecie wymaga od człowieka najmocniejszych nerwów, najszybszego refleksu, najzimniejszej krwi i najbardziej szalonej odwagi?

Pobiegłem wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem.

- Lankella to amator - przyznałem niechętnie.

- Który bierze się nawet za akrobatykę lotniczą - dokończył Palmu. - Uch, do diabła, aż mnie zimny pot oblewa, kiedy widzę jednego z tych asów przelatujących do góry nogami zaledwie dwa metry nad pasem startowym. Stawiać tak wszystko na jedną kartę, nie zastanawiając się nawet przez ułamek sekundy... Gdyby ten człowiek miał wystarczająco mocny motyw...

- Lankella to jednak mężczyzna - odparłem jego zarzut. - Możliwe, że żył jak syn marnotrawny, możliwe, że jego finanse legły ostatecznie w gruzach, lecz nigdy nie uwierzę, by mężczyzna jego pokroju mógł dla pieniędzy... - Zamilkłem i z nieco tępą miną utkwilem

spojrzenie w dali. - To już pewnie wolałby raczej ożenić się z tą dziewczyną - dokończyłem cicho i z pewnym ociąganiem.

- Co ludzi najmocniej popycha do morderstwa? - spytał retorycznie Palmu. - Pieniądze, nienawiść, namiętność... I ja nie wierzę, aby Lankella dla samych tylko pieniędzy mógł zamordować własną ciotkę, lecz dla mężczyzny jego pokroju tysiąc razy ważniejsza od pieniędzy jest namiętność. Jeżeli morderstwo było dla niego jedynym wyjściem, na pewno nie wahał się ani sekundy.

- Iiri Salmia - rzekłem ze smutkiem. - To bardzo piękna kobieta. Wielu mężczyzn szaleje na jej punkcie. A taka na pewno byle czym się nie zadowoli...

Sposepniałem, bo prawdę mówiąc, poczułem do młodego Lankelli instynktowną sympatię. Ten beztroski, lekkomyślny narwaniec zasługiwał jednak na lepszy los niż... no tak.

- A Mustapaa? - podjął Palmu, by uporządkować myśli. - Niewykluczone, że pozwoliliśmy naszej niechęci do podobnych typów zwieść się na manowce. Na pewno przebiegłe skrytobójstwo najbardziej do niego pasuje, ale to tchórz. I nie jest aż tak opanowany. Wyłudzać pieniądze, bałamucić niewinne dziewczęta... w tym jest doskonały, ale...

- Ale szczer w sytuacji bez wyjścia też potrafi rzucić się na człowieka - przypomniałem.

- Tak, jeśli to naprawdę dla niego sytuacja bez wyjścia - przyznał Palmu. - A trochę w to powątpiewam. Mustapaa na pewno nie opowiedziałby nam z takimi szczegółami tej brzydkiej historii, która tak rozwścieczyła panią Skrof, gdyby w taki czy inny sposób jakoś się z niej już nie wyplątał. Ryzykował co najwyżej utratę pozycji i zgromadzenia, ale już wcześniej zdarzało mu się zaczynać wszystko od początku. A wyrok dożywotniej twierdzy... Nie, to tchórz, i coraz bardziej skłaniam się ku temu, że przynajmniej po części powiedział prawdę. Jeżeli stara Skrofova rzeczywiście zmieniła zdanie, jak zeznał, to perspektywy Lankelli rysują się dwakroć gorzej. Bo wtedy minioną noc była faktycznie jego ostatnią szansą.

- W zasadzie to powinniśmy trzymać się mocno faktów, a nie zgadywać - palnąłem bezczelnie, bo czas podejrzenie szybko przeciekał nam przez palce, a czystopisy raportów, jakkolwiek by patrzeć, pozostawały na mojej głowie.

- Ja nie zgaduję, tylko planuję, gdzie ich szukać w następnej kolejności - odrzekł Palmu z godnością.

- A ty co się tak guzdrzesz? Do szóstej musimy mieć już wszystko na papierze, a ty mi ciągle przerywasz jakimiś bzdurami!

I zaczął mi dyktować zeznania świadków, a była to okropnie żmudna robota.

Za kwadrans szósta główny kelner restauracji w hotelu Helsinki powiódł nas do pomieszczeń klubowych. Palmu chciał się zapoznać z terenem przed przybyciem zaproszonych gości. I warto było, gdyż do klubu prowadziły aż trzy różne drogi⁵. Z restauracji na parterze można było wejść po schodach do kantorka głównego kelnera, który mieścił się na piętrze obok dużej sali restauracyjnej, a stamtąd wyjść prosto na korytarz pomieszczeń klubowych z drzwiami do dwóch niewielkich pokoików i ubikacji oraz do większej i mniejszej salki konferencyjnej. Można się tam było dostać także od strony głównego wejścia do hotelu schodami na piętro i przez dużą salę restauracyjną. Z korytarza pomieszczeń klubowych można było z kolei wyjść na klatkę schodową z drzwiami prowadzącymi do biur i kancelarii, a stamtąd niepostrzeżenie wydostać się na ulicę Kluuvi. Główny kelner powiedział nam też, że poprzedniego wieczoru w dużej sali restauracyjnej zajętych było tylko kilka stolików, a stali bywalcy siedzieli - jak zawsze - w restauracji na parterze.

Ogarnawszy to wszystko myślą, komisarz Palmu aż gwizdnął pod nosem, a i ja trochę spuściłem nos na kwintę. Stało się bowiem jasne, że z klubu hotelu Helsinki praktycznie bez świadków można się było ulotnić niemal w każdym kierunku. Co prawda zarówno portier przy głównym wejściu hotelu, jak i wykidajło przy drzwiach restauracji na parterze zapewnili, że nie widzieli, aby pan Lankella wychodził z hotelu w trakcie przyjęcia, lecz po to właśnie pomieszczenia klubowe miały osobne wejście, by umożliwić gościom pełną dyskrecję - korytarza klubu z reguły nikt nie dozorował.

W małej salce konferencyjnej nakryto stół dla dziesięciu osób i Palmu rzucił właśnie tęskne spojrzenie na bufet kanapkowy, gdy do środka wkroczył promieniejący gospodarską radością Kurt Kuurna, ciągnąc za sobą młodego Lankellę i dwóch innych, rozbrykanych młodzieńców. Była punkt szósta. Palmu dał mi znak. Zdjąłem płaszcz z drewnianego wieszaka i zacząłem się ubierać. Za chwilę miałem zejść klatką schodową na Kluuvi, zabezpieczywszy przedtem rygiel zamka, aby drzwi prowadzące ze schodów do klubu nie zatrzasnęły się automatycznie. To była część naszego planu.

- A pan dokąd się wybiera, do diaska? - zapytał zdumiony Kuurna. - Za moment siadamy do kolacji.

Odpowiedział za mnie Palmu:

⁵ Latem znacznie poszerzono sale bankietowe rzezonego hotelu, tak że poniższy opis należy już do historii (przyp. autora).

- Za chwilę wróci. My w tym czasie wychylimy dopuszczone przez prawo trzy kieliszki. Niechętnie bowiem pozwalam podwładnym na picie alkoholu w mojej obecności, a poza tym, jakkolwiek by patrzeć, w pewnym sensie jesteśmy na służbie.

- Oby wam ta służba nie wyszła za bardzo bokiem - rzucił Kuurna. - Mały koktajl, zanim wszyscy się zejda, panie komisarzu?

Odpowiedź Palmu nie była przecząca. Upiwszy nieco zimnego trunku, wyznał szczerze:

- Prawdę mówiąc, nie lubię... hm... gdy moi podwładni widzą, jak spożywam alkohol. Nie chcę dawać złego przykładu młodym, więc... kazałem mu w tym czasie załatwić pewną sprawę.

Kuurna spojrział na niego przenikliwie.

- Nie jest pan wcale taki głupi, jakiego udaje - rzekł półgłosem. - Tak czy owak, pan mi się podoba, panie komisarzu. Zdrowie!

Wychylili do dna, po czym Kuurna zapytał z nieodgadzionym uśmiechem:

- Ile pan waży, panie komisarzu?

Palmu nieco się zaczerwienił, bo był czuły na tym punkcie.

- Przyznam, że ważę... hm... prawie sto kilo - odparł z rozdrażnieniem. - Ale masa rozłożyła się dość harmonijnie po całym ciele. W zasadzie to nie powiedziałbym, abym był gruby. Mój brzuch na przykład... Ale dlaczego pan o to pyta? - Palmu nabrał nagle podejrzeń. Uśmiezek rozmówcy go irytował.

- Och, tak tylko... przyszło mi do głowy - odrzekł Kuurna, udając zamyślenie. - Może wspomnę o panu w testamencie. Dziś u Lannego odniosłem wrażenie, że spisywanie testamentów to diabelnie przyjemna zabawa i aż mnie świerzbi, aby samemu chwycić za pióro.

- Moim zdaniem nie było w tym nic zabawnego - oznajmił Palmu surowo i spojrział mu prosto w oczy.

- Do czego pan pije, panie Kuurna?

- A więc pan również to spostrzegł - odrzekł półgłosem zagadnięty, by po chwili wrócić do beztroskiego tonu: - Do niczego, absolutnie do niczego, tak tylko gadam sobie dla rozgrzewki, dotrzymuję panu towarzystwa. Boże uchowaj, abym zanudzał pana oficjalnymi pytaniami, dajmy na to, o najbardziej emocjonujący przypadek kryminalny w pana długiej policyjnej karierze.

Przybyła kolejna część zaproszonych gości i Kuurna pospieszył im naprzeciw. (Poprzednią rozmowę zrelacjonowałem, opierając się na niezawodnej pamięci Palmu. Nie jest

zatem wytworem mojej wyobraźni, tak jak pierwszy rozdział tej książki, który włączyłem do niej dla artystycznego efektu. Rozmowa ta jest od początku do końca autentyczna i uznałem za konieczne przytoczyć ją właśnie w tym miejscu, wynika z niej bowiem niezbiecie, że Kuurna już wówczas wiedział... Lecz nie będę uprzedzał biegu wydarzeń).

Ja zaś w tym czasie wymknąłem się już tylnym wyjściem na Kluuvi. Niemal pod drzwiami czekał wypożyczony przeze mnie sportowy wóz, którym przyjechaliśmy do hotelu. Z kufra wyjąłem niewielką torbę i usiadłem za kierownicą. Otworzyłem torbę, w której miałem tenisówki i koszulę, i zmieniłem obuwie. Zapuściłem motor. Najkrótszą drogą, przez Górkę i Kapitańską, pojechałem na Marynarską i zatrzymałem się przy znanej nam już bramie, przodem do kierunku odjazdu. Zanim wysiadłem, włożyłem ciemne okulary, postawiłem kołnierz płaszcza i nasunąłem kapelusz głęboko na oczy. Żelazna krata w bramie była zamknięta (Kokki się o to postarał). Wsunąłem dłoń między pręty, bez trudu namacałem zatrzask zamka i popchnąłem kratę. Zamknąłem ją i szybko przeszedłem przez podwórze. Krok na beczkę, noga przez mur, zejście po metalowej pergoli, drugie podwórze, kłapa śmietnika, noga przez mur - gdy zeskoczyłem z kłapy drugiego pojemnika na śmieci, byłem już na podwórzu kamienicy pani Skrof. Szybko dotarłem do zatopionej w fasadzie żelaznej drabinki, zdjąłem płaszcz, rzuciłem go pod ścianę i zacząłem się wspinać. Wołałem bez potrzeby nie patrzeć w dół, bo trochę się bałem. Nie śmiałem wspomnieć komisarzowi, kiedy proponował mi tę misję, że na wysokości lubi mi się czasem zakręcić w głowie.

Bez trudu minąłem trzy kondygnacje i po chwili byłem już na okapie. Rynna tworzyła solidną, chociaż wąską ścieżkę, po której dość pewnie przeszedłem te cztery metry dzielące mnie od krawędzi balkonu pani Skrof, bo trzymałem się linii załamania dachu niczym poręcz. Miałem oczywiście cienkie rękawiczki i ostrożnie ominąłem dwa punkty, które do południa zabezpieczyli specjaliści z komisji zabójstw, aby nie zetrzeć odcisku podeszwy ani plam krwi.

Najgorsze miałem dopiero przed sobą. Przykucnąłem na rynnie i spuściłem nogę za okap. Następnie zsunąłem się na łokcie i tak wisząc, starałem się trafić czubkiem buta na poręcz. Przyznaję, że to był najmniej przyjemny moment całej operacji. Ale gdy już stanąłem pewnie na poręcz, zeskoczyłem na balkon jak ze stopnia, który był co prawda, paskudnie wąski, wysoki i śliski, jednak wszystko odbyło się nadspodziewanie łatwo.

Wyłuskałem watek z dziurki od klucza i otworzyłem drzwi balkonu wyjętym z kieszeni wytrychem. Oczywiście pasował idealnie, bo właśnie nim chłopcy je rano otworzyli. Czulem przykry ucisk w dołku, bo mam niestety trochę wybujałą wyobraźnię, co Palmu często wykorzystuje, aby mi nawymyślać. Przyznam więc, że wstąpiwszy w nieprzenikniony mrok

mieszkania, omal nie dostałem zawału serca, kiedy przykucnięty Kokki zaszczał gniewnie i capnął mnie kościstą grabą w kostkę. Tej sceny komisarz na pewno nie zaordynował, więc pewnie Kokki też chciał mieć z tego coś dla siebie. Jego poczucie humoru nie należy do szczególnie wyszukanych.

Zamarkowałem duszenie psa może nieco zbyt brutalnie, bo Kokki zaczął jęczeć i błagać o litość. Po chwili przeniosłem wyobrażonego jamnika przez pokój i złożyłem na poduszce w możliwie najbardziej naturalnej pozycji.

- Źle, siadaj! - fuknął na mnie Kokki. - Najpierw światło!

Nie chciało mi się wdawać z nim w dyskusję, więc tylko przekręciłem kontakt. Kokki rzucił się wtedy na łóżko i udatnie wcielił w rolę głośno chrapiącej starej kobiety. Moim zdaniem nie było to wcale zabawne, wręcz odwrotnie. Poszedłem do kuchni. Zapaliłem gaz na kuchence. Przechyliłem garnuszek i wylałem na palnik trochę owsianki. Gdy płomień zgasł z nieprzyjemnym trzaskiem, zamknąłem drzwi na korytarz i uchylilem te między pokojem pani Skrof a kuchnią. Rozejrzałem się i wróciłem na balkon. Wytarłem próg. Przekręciłem wytrych w zamku. Wsunąłem watę z powrotem do dziurki od klucza za pomocą czerwonej zapałki, którą upuściłem za balustradą. Lekki podmuch wiatru uniósł ją na krawędź balkonu pani Hallamaa. Przez szklane drzwi dostrzegłem jeszcze, jak Kokki zrywa się z łóżka i biegnie do kuchni, aby zakręcić kurek kuchenki. To była moja mała zemsta i trochę się ubawiłem. Starłem posadzkę balkonu wyjętą z kieszeni szmatką, którą w tym celu zabrałem ze sobą. Potem, oparłszy dłonie o ścianę, wspiąłem się na śliską balustradę i sięgnąłem okapu. Wzięłem głęboki wdech, wsparłem się łokciami na rynnie i wywindowałem do góry. Na balkonie pozostał po mnie jedynie ostatni odcisk buta.

Zacząłem schodzić po drabince i zimny pot znów zrosił mi czoło. Ale najgorsze miałem już za sobą. Szybko wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, i wsiadłem do samochodu. Na rogu skręciłem w Narożną, a z niej w Parkową i skierowałem się ku centrum. W ustronnym miejscu zatrzymałem się na chwilę i zmieniłem buty. Przed placem Targowym wpadłem w poślizg i mój samochód zatrzymał się niebezpiecznie blisko kamiennej kei. Zakląłem cicho i wyszedłem z wozu, aby obejrzeć koło. Przechodniów w pobliżu było nawet całkiem sporo, ale raczej nikt nie zauważył, że przy okazji zsunąłem dyskretnie po kamiennym nabrzeżu niewielką torbę, w której znajdowały się tenisówki, czarne okulary, szmatka, rękawiczki i niestety także spodenki oraz koszulka do tenisa. Obciążona przygotowanym zawczasu żelastwem torba opadła łagodnie na samo dno basenu między dwoma motorówkami. Było to kolejne moje poświęcenie, budżet policji bowiem nie przewiduje środków na podobne inscenizacje. To wyłącznie jakaś pozostałość chłopiństwa

kazała mi odtworzyć wszystko możliwie najdokładniej - ostatecznie stać mnie na wyrzucenie do morza pary tenisówek, jeśli przyjdzie mi na to ochota.

Przez Rynek i Rządową dotarłem do Kluuvi i zaparkowałem w tym samym miejscu, z którego wyruszyłem.

Godne odnotowania jest to, że ani razu nie musiałem zawracać ani wykonywać żadnych innych manewrów, którymi mógłbym zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę, jeżeli nie liczyć owego małego poślizgu przy basenie portowym. Poza tym morderca działał w nocy i równie dobrze mógł jechać brzegiem morza wzdłuż Kaivopuisto. Jednak ubzdurałem sobie, że już w drodze powrotnej wyrzucił do morza wszystkie obciążające go dowody. Niepostrzeżenie wślizgnąłem się tylnym wejściem do hotelu, wszedłem schodami na piętro i znalazłem się z powrotem w korytarzu pomieszczeń klubowych. Zwolniłem rygiel zamka w drzwiach i jak gdyby nigdy nic odwiesiłem płaszcz na wieszak. Dość hałaśliwe już towarzystwo spostrzegło moją obecność dopiero po pewnej chwili.

Zdażyłem dokonać tak wiele, że miałem wrażenie, iż wszystko to musiało mi zająć co najmniej godzinę. Mój zegarek wskazywał jednak dopiero osiemnastą dwadzieścia dwie. Szeptem przekazałem wynik komisarzowi, który z poczerwieniałą twarzą siedział na honorowym miejscu pomiędzy Kuurną i Lankellą, po czym oddaliłem się potulnie na wyznaczone mi miejsce na samym końcu stołu. Usiadłem między bardzo piękną dziewczyną i bardzo grubym młodzianem, którym się przedstawiłem zgodnie z wymogami etykiety. Jak się okazało, niepotrzebnie się fatygowałem, gdyż żadne nie zwróciło na mnie najmniejszej uwagi.

Bufet mnie ominął, lecz z tym większą przyjemnością skonsumowałem zupę i kotlet schabowy, bo mój organizm łaknie wprost pożywienia, choć nie jestem już w wieku dojrzewania, o co ciągle mnie podejrzewają nadopiekuńcze ciotki. Bardzo chętnie zamówiłbym coś jeszcze, ale że nikt nie miał ochoty na deser, musiałem się zadowolić kawą i kieliszkiem ponczu. Palmu wybrał koniak, lecz nie omieszkał obłudnie obrzucić mojego niewinnego napoju ojcowskim spojrzeniem dezaprobaty. Odniosłem wrażenie, że dobrze się czuje w towarzystwie, rozprawiał rozwlekle o wszystkim i o niczym tym swoim szczególnym usypiającym tonem, który umacniał w słuchaczach fałszywe przekonanie, że mają do czynienia z dobroduszny i zupełnie nieszkodliwym starym pierdołą. Rozbawiony Kuurna przyglądał mu się z boku.

O gościach nie warto nawet mówić. Każdy może ich obejrzeć, jeśli tylko zechce: wystarczy około północy pofatygować się na przykład do baru hotelu Kamppi albo spędzić

wieczór w Helsinkach czy w Grandzie i poobserwować trochę roztańczone pary. Wreszcie komisarz zastukał w kieliszek.

- Drodzy państwo! - rozpoczął przemowę. - Chciałbym podziękować za to przyjemne spotkanie naszemu szanownemu gospodarzowi, artyście malarzowi Kuurnie i baronowi Kurstróm w jednej osobie. Niestety, obowiązki wzywają i niezadługo będę musiał państwa opuścić. Dlatego też chciałbym, abyśmy wyjaśnili sobie pewien banalny drobiazg, dla którego zgromadziliśmy się tutaj dzisiejszego wieczoru. Wiedzą już państwo zapewne, kim jestem, i z grubsza - o co chodzi. Teraz więc miałbym prośbę do każdego z obecnych, aby spróbował sobie przypomnieć, co dokładnie robił wczorajszej nocy, powiedzmy, między godziną dwunastą a wpół do pierwszej. Zdaje się, że wszyscy państwo byli wtedy tutaj?

Rozentuzjasmowany i wesoły rozgwar potwierdził, że tak właśnie było. Kiedy jednak Palmu zaczął drażnić sprawę, okazało się, że wcale nie tak łatwo ustalić dokładnie, co kto wówczas robił. Niemal pół godziny zabrało mu zgromadzenie poniższych - nieszczególnie pięknych - faktów.

Do godziny dwunastej ubiegłej nocy towarzystwo zdążyło się już rozproszyć po wszystkich pomieszczeniach. Jakaś para starała się za wszelką cenę potaćzyć w większej salce, Kuurna zaś koniecznie chciał zagrać coś na fortepianie. Ale palce mu się zupełnie pomieszały i w końcu zemdlilo go tak bardzo, że trzeba było zaprowadzić go pod rękę do toalety. Inna z kolei para w wymienionym przedziale czasowym przebywała głównie na osobności w bocznym pokoiku na roztrząsaniu - jak się wyrazili zainteresowani - poważnych kwestii życiowych. Kuurna zdołał jakoś sam wyjść z toalety, lecz znów ktoś musiał mu pomóc dowiec się do przegrodzonej kotarą alkowy obok małej salki, gdzie zległ. Jedna z dziewcząt przykładła mu do czoła kawałki lodu, aż w końcu artysta malarz Kuurna wyznał, że jest bardzo złym człowiekiem, i zapadł w sen. Potem pito we wszelkich konfiguracjach osobowych i w różnych pomieszczeniach, a ktoś chciał koniecznie opowiedzieć wszystkim uczestnikom przyjęcia jakiś stary kawał. Rzeczony osobnik nie był gotów przysiąc, że opowiedział go także Lankelli, stwierdził jednak, że na pewno szukał go wszędzie. Działo się to dokładnie kwadrans po północy, co mężczyzna ów mógł bez trudu stwierdzić, gdyż chodził po całym klubie z zegarkiem w ręku. Czasomierz bowiem stanowił konieczny rekwizyt kawału, który zamierzał opowiedzieć, a była to historyjka o Szkocie i Żydzie, którzy zamienili się zegarkami.

Nikt z obecnych nie mógł przysiąc, że Lankella w tym czasie przebywał w pomieszczeniach klubowych. Snuto jedynie domysły, że na pewno był wtedy w większej salce albo w mniejszej salce, w toalecie lub w jednym z pokoików.

Siłą rzeczy nastrój spotkania zaczął powoli gasnąć, aż w końcu przy stole zapadła lodowata cisza. Lankella był bardzo blady, siedział z zaciśniętymi zębami, a zabandażowaną rękę schował do kieszeni marynarki. Kuurna powiódł po zebranych pogardliwym spojrzeniem.

- Wspaniałych mamy towarzyszy - odezwał się ironicznie. - Żałośni jesteście, każdy po kolei i wszyscy razem wzięci. I ja takim ludziom postawiłem obiad. Dałbym wam lepiej po kieliszku rycyny. Szkoda, że o tym nie wiedziałem, kiedy serwowali koktajle.

- Tu chodzi o morderstwo - powiedział sucho Palmu.

- Niechaj zatem będzie, panie komisarzu! - odrzekł Kuurna z przekorą w głosie. - Jestem pod wieloma względami złym człowiekiem i niejedną nazwie mnie idiotą. Jest jednak rzecz, na którą będę mógł wspomnieć bez wstydu, kiedy mnie złożą w grobowcu przodków i zacznę się z nimi mierzyć na występki doczesnego żywota. Otóż nigdy nie zawiodłem zaufania przyjaciela i nigdy nie zostawiłem przyjaciela w biedzie. Nieważne, czy było dobrze, czy było źle. Trzysta lat temu mój ród nobilitowano, bo mój praszczur oddał swego konia samemu królowi. Był to zwyczajny, głupi parobek z królewskiej podwoły w fińskiej Kuurnali, który bez konia rychło postradał głowę, ale coś w tej historii jednak jest na rzeczy!

- Mówimy teraz o dzisiaj - zauważył spokojnie Palmu. Komisarz jakby postarzał się na twarzy i sprawiał wrażenie bardzo smutnego. Prawdę mówiąc, sam mi się kiedyś przyznał, że nieodmiennie zaczyna go boleć brzuch, gdy z ciemności wyłania się powoli postać sprawcy i zeznania świadków coraz mocniej zaciskają pętlę na jego szyi. Praca policyjnego detektywa wcale nie jest tak niesamowita i przyjemna, jak to sobie człowiek za młodu wyobraża.

Kuurna już nie dowcipkował. Spojrzał przelotnie na Palmu spod zmarszczonych, ciemnych brwi i uroczyście oświadczył:

- Jestem gotów przysiąc tu i teraz, że wczorajszej nocy, dokładnie o godzinie dwunastej, Kalle Lankella przyszedł do mnie do alkowy i wyznał, że jest na glanc zhuśtany. Tak był zaprawiony, że wrzucił mi niechcący kawałek lodu za kołnierzyk i padł w moje ramiona, leżeliśmy tak objęci i łkaliśmy rzewnie nad żalonym życiem, wspominając na przemian niewinne lata naszego dzieciństwa. Dokładnie o godzinie pół do pierwszej - proszę nie przerywać, panie komisarzu, spojrzałem na zegarek - Kalle usiadł nagle i powiedział mi tak: „Należałoby pod to konto łykantego palnąć!”. Wstaliśmy więc i palnęliśmy, o czym każdy z tutaj zgromadzonych może panu zaświadczyć. W istocie na jednym łykancie sprawa się nie skończyła, choć mam słaby żołądek, tak, że później w nocy o mały włos nie wplątaliśmy się w bardzo przykry konflikt z powodu naszego wieszca Johana Ludviga.

Komisarz nic nie powiedział. Nikt z obecnych nie otworzył ust. Goście zaczęli się nerwowo wiercić i nagle sobie przypominać, że mają jeszcze wieczorem jakieś późne wyjścia. Pojedynczo i parami ciurkiem zaczęli się ulatniać na korytarz.

Palmu przesłuchał jeszcze kelnera i wyjaśnił, ile towarzystwo wypilo alkoholu. Podpisany osobiście przez Lankellę i niezapłacony jeszcze rachunek szybko się znalazł w biurze hotelu.

- W sumie osiem osób - zaczął liczyć kelner. - Szesnaście koktajli, dwadzieścia cztery kieliszki wódki, dziesięć piw, trzy połówki koniaku, połówka benedyktyнки, połówka ponczu, połówka likieru malinowego, osiem butelek szampana...

- Chcieliśmy na koniec przyrządzić trochę własnego ponczu - wtrącił Kuurna z godnością.

- Sodoma i Gomora - podsumował zgorzony Palmu. - I pan ma niby słaby żołądek, panie Kuurna... Nie, nie, nici z tego. Pańskie wstawiennictwo za panem Lankellą waży dla mnie tyle co nic, więc ostrzegam pana przed kontynuowaniem tego wątku.

- Jeżeli kiedykolwiek ta sprawa oprze się o sąd - odpowiedział Kuurna z pociemniałą twarzą - jestem gotów zeznać pod przysięgą, że tak właśnie było. I zrobię to nieco bardziej przekonująco niż przed chwilą. Wówczas to pan, panie komisarzu, będzie musiał udowodnić, że nie mówię prawdy, a to może się okazać trudniejsze, niż się panu zdaje.

- Wszyscy mogą zaświadczyć, że był pan wtedy tak pijany, iż nie był w stanie nawet grać na pianinie - zauważył Palmu.

- Na fortepianie - poprawił Kuurna z godnością.

- Idę o zakład, panie komisarzu, że pan nie potrafiłby na nim zagrać nawet teraz!

Komisarz zrobił w tył zwrot i z nabrzmiałymi żyłami na skroniach bez słowa wymaszerował z pomieszczeń klubowych przez kuchnię do dużej sali restauracyjnej. Nie podziękował nawet Kuurnie za obiad - i doskonale go rozumiem.

Zeznania głównego kelnera, kelnera obsługującego towarzystwo i wykidajły nie wniosły do sprawy nic nowego. Cała trójka uznała za możliwe, choć bardzo mało prawdopodobne, że pan Lankella wychodził na zewnątrz lub skądś wracał pomiędzy godziną dwunastą a dwunastą trzydzieści, lecz nikt niczego takiego nie zauważył. Kelner w ogóle nie pamiętał, aby widział w tym czasie młodego Lankellę, choć jego nieobecność nie rzuciła mu się jakoś szczególnie w oczy. Nie wykluczył, że Lankella mógł faktycznie leżeć w alkwie. Kotary oddzielały ją od reszty pomieszczenia. Kelner dobrze pamiętał, że tuż przed godziną dwunastą zanosił tam wodę z lodem dla barona Kurstróma, który niedomagał. Pan baron odwdzieczył mu się, nazywając go kochanym, starym oPOSEM...

Staliśmy w holu hotelowym, gdzie Palmu raz jeszcze przesłuchiwał portiera. Wtem moje spojrzenie spoczęło na spisie gości, wiszącym na ścianie. Niemal podskoczyłem ze zdumienia, a w moim sercu zatliła się nikła iskierka nadziei. Gdy pogodzony ostatecznie z porażką Palmu gniewnym gestem popędził mnie do wyjścia, zagadnąłem go niewinnie:

- Na pewno spostrzegłeś, że w Helsinkach zatrzymała się pani Iiri Salmia?

Cóż to była za radość widzieć, jak Palmu dosłownie staje dęba, a nozdrza mu się rozszerzają jak u hipopotama czującego zdobycz... No, chyba się trochę zagalopowałem z tym porównaniem, poetyckie metafory to nie moja specjalność... W każdym razie Palmu dostał nagle takiego przyspieszenia, że nie czekając na windę, niemal wbiegliśmy na schody. Z jednej strony stało się bardzo dobrze, z drugiej jednak - wręcz odwrotnie, gdyż na drugim piętrze wpadliśmy na Kurta Kuurnę, który z niewinnym uśmiechem schodził właśnie na parter. Był najwyraźniej w doskonałym humorze.

- Trzecie drzwi na prawo - podpowiedział usłużnie. - A ja wracam od swego starego, chorego stryja, mieszka piętro wyżej.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął Palmu, gdy Kuurna, bezczelnie pogwizdując, poszedł swoją drogą.

- Czemuś ty wcześniej nie spojrział na ten spis, bałwanie jeden? - Nagana była oczywiście niezasłużona, lecz przełknąłem ją bez słowa, więc po chwili Palmu odezwał się już spokojniej: - Ten Kuurna łże jak pies, we wszystkim. Nie wierzę już w żadne jego słowo. Tylko dlaczego ta cholera kłamie tak bezczelnie w żywe oczy? Bardzo chciałbym to wiedzieć.

- Taki ma styl - skwitowałem z lekkim uśmiechem.

- Zgrywa za wszelką cenę, choćby i na progu śmierci. Taki swoisty wisielczy humor.

No tak. Psychologia ma swoje plusy. Dzięki niej kolejną uwagę Palmu puściłem mimo uszu:

- Płytki pacykarz pozbawiony moralnego kręgosłupa, który popisuje się przodkami i zadziera nosa! - sapnął ze złością.

No, ale mniejsza z tym. Iiri Salmia była w swoim pokoju i pospiesznie upychała ubrania w walizce, gdy Palmu wparował do środka, ledwie zapukawszy do drzwi.

- Co to ma znaczyć?... - zająknęła się tancerka, lecz nagle umilkła i uśmiechnęła się do mnie. Była naprawdę czarująca. Szczupły, jędrny tułów, mocne, piękne łydki, chłopięca głowa.

- Tylko proszę nie udawać! - warknął na dzień dobry Palmu, którego uśmiech pięknej kobiety zawsze zbija z pantaląku, choć w życiu się do tego nie przyzna.

- Dobrze wiemy, że pan Kuurna był tu przed chwilą, aby panią ostrzec. Dokąd się pani wybiera?

- Jeszcze dziś wieczornym pociągiem do Turku, a stamtąd jutro do Sztokholmu - odpowiedziała grzecznie tancerka. Oczy miała jasne i odważne. Pod cienkim kostiumem rysowały się zgrabnie drobne, krągłe piersi. Sądzę, że wolno mi mimochodem o nich wspomnieć, gdyż Iiri Salmia podczas występów i tak odsłaniała je niemal całkowicie. Jest to przecież książka absolutnie niewinna.

- To się jeszcze zobaczy - rzucił grubiańsko Palmu.

- Jaką historyjkę pan artysta malarz Kuurna kazał pani nam wcisnąć?

Tancerka chwilę milczała. Zapaliła papierosa i usiadła, zachęciwszy nas gestem do zajęcia miejsc. Wreszcie obrzuciła komisarza przeciągłym spojrzeniem spod rzęs i wolno powiedziała:

- Może mi pan nie wierzyć, ale prosił mnie o to tylko, abym powiedziała panom prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, jak to się mówi, panie komisarzu.

Palmu starł pot z czoła. Po tym biegu po schodach był mocno zgrzany.

- Nie jestem błaznem i nie dam się wodzić za nos - zapowiedział solennie i po tym wstępie zamierzał mówić dalej, lecz Iiri Salmia zdążyła go ubiec.

- Właśnie tak mi powiedział Kurt Kuurna. Jakże pan to odgadł? - zapytała niewinnie, rzucając mu figlarne spojrzenie spomiędzy długich rzęs. - Uprzedził mnie, że jest pan przenikliwy i inteligentny, chociaż... hm... bynajmniej nie sprawia pan takiego wrażenia. - Tu taktownie odwróciła spojrzenie. - I dlatego najlepiej powiedzieć panu po prostu prawdę. On sam nie może tego zrobić, gdyż obiecał Kaarlemu Lankelli, że nie puści pary z ust. Jest bowiem tak, że biedny Kaarle z jakiegoś niepojętego powodu nie chce mnie mieszać w tę sprawę. Tak czy owak, prawda jest taka, że wczoraj w nocy mniej więcej od północy do wpół do pierwszej pan Lankella był tutaj, u mnie.

- No, niech mnie kule biją - sapnął słabo Palmu.

- Ten szatan Kuurna zdążył już nawet podać pani dokładną godzinę?

12

Poczucie humoru Kuurny staje się już nazbyt wstrząsające i tancerka Iiri Salmia wyjawia poruszającą prawdę. • Komisarz Palmu mówi po niemiecku, a mecenas Lanne boi się małżonki. • Lankella ściąga bandaż z dłoni. • Ta sprawa mogłaby już zostać zamknięta, ale...

- Doskonale rozumiem, że pan powątpiewa w prawdziwość moich słów - odezwała się tancerka po chwili głosem już mniej grzecznym. - Pan sobie oczywiście ubzdurał, że Kaarle Lankella jest wszystkiemu winien, i chce pan za wszelką cenę zebrać zeznania przeciwko niemu. Nie pojmuję tylko, dlaczego policja robi takie halo z powodu takiego drobiazgu. Oczywiście, ja doskonale rozumiem, że to musiało być przykre dla pani Skrof, ale...

- Na Boga, kobieto, o czym pani mówi, co pani mi znów za grę tu prowadzi? - przeraził się Palmu nie na żarty, chwytając się za głowę.

Iiri Salmia nieco się zaniepokoiła i zaczęła spoglądać to na mnie, to na komisarza.

- Co się stało? Co się właściwie z panami dzieje? - zapytała i głos jej zadrżał. - Tyle hałasu o małego psa!

- Czy pani naprawdę nie pojmuje, że tu chodzi o wyrachowane morderstwo, popełnione z zimną krwią? jęknął Palmu. - Niechże się pani uspokoi, panno Salmia!

W tym momencie muszę nadmienić, że z nas trojga tancerka zachowywała największy spokój. Ale Palmu ma tę ludzką słabość - tak jak my wszyscy zresztą, - że własne wahania nastroju bardzo lubi przypisywać innym.

- Kurt Kuurna powiedział mi, że Kaarlego Lankellę podejrzewa się o zabicie psa swojej ciotki i że panowie prowadzą śledztwo w tej właśnie sprawie - oświadczyła lodowato tancerka Salmia ze spojrzeniem twardym jak diament. - Cała sprawa jest, moim zdaniem, zupełnie absurdałna, ale to jednak głupio ze strony Kaarlego, że nie chce przyznać, iż akurat w tym czasie przebywał u mnie. Ja rozumiem, że pani Skrof była bardzo przywiązana do swojego psa i że tym bardziej się zezłości, jak się dowie, że Kaarle był u mnie, ale jako mężczyzna powinien się przynajmniej zdobyć...

- Proszę mnie posłuchać, panno Salmia - przerwał jej Palmu, nadludzkim wysiłkiem woli starając się opanować drżący z przejęcia głos. - Tego już za wiele! To jest żart w bardzo złym guście! To po prostu szyderstwo! Czy pani naprawdę próbuje mi wmówić, że pan Kuurna zapomniał pani wspomnieć, iż Kaarlego Lankellę podejrzewa się nie tylko o zabicie

psa, lecz także o to, że w sposób nadzwyczaj wymyślny i z zimną krwią zamordował jego właścicielkę, czyli własną ciotkę, panią Almę Skrof?

Dopiero wtedy pojąłem nader osobliwe poczucie humoru Kurta Kuurny w całej jego potworności. Teraz mógłbym go już kopnąć, bo tancerka pobladła i wsparła się ręką o ścianę.

- Czy... czy to prawda? - wyszeptała zmęczonym głosem. - Przepraszam, to spadło na mnie zbyt nagle. Czy mógłby mi pan nalać szklanek wody, panie komisarzu?

Jak dziecko wsparła głowę na jego mocnym barku i wypila wodę, podzwaniając zębami o szklanek.

- Kurt jest wredny - powiedziała. - Ten żart był zbyt okrutny. Nigdy mu tego nie wybaczę!

- Ten człowiek to wariat - skwitował bezlitośnie Palmu. - To osoba chora psychicznie. Powinni go umieścić na oddziale zamkniętym. Widziałem obrazy, które namalował! - Dreszcz przebiegł mu po plecach. - Proszę mi wybaczyć, panno Salmia, że panią nastraszyłem. Teraz jednak sama pani rozumie, że to sprawa nadzwyczaj poważna i że musi mi pani powiedzieć prawdę.

- Ale Lankella naprawdę był w tym czasie u mnie. Spojrzałam na zegarek, bo się niecierpliwiłam i chciałam go jak najszybciej wyprawić za drzwi - zapewniła tancerka.

- Czy ktoś może to potwierdzić? - zapytał szybko Palmu.

- Wcześniej pokojówka przyniosła mi zamówioną herbatę, bo właśnie wróciłam z prywatnego przyjęcia, na którym miałam występ - odpowiedziała Iiri Salmia. Nagle się wzdrygnęła i wyciągnęła ręce, jak gdyby chciała powstrzymać komisarza, lecz jego gruby palec już spoczął na przycisku dzwonka.

Oczekaliśmy chwilę w kompletnej, niczym niezmaconej ciszy. Iiri Salmia dwukrotnie zwilżyła wargi czubkiem języka, jakby chciała coś powiedzieć, jednak milczała. Rozbiegane ciemne oczy starała się zogniskować na drzwiach. Rozległo się pukanie.

Pokojówka z drugiego piętra hotelu Helsinki była uprzejmą kobietą o budzącej zaufanie twarzy i siwiejących włosach. Upewniwszy się, że ubiegłej nocy faktycznie przyniosła herbatę do pokoju tancerki, Palmu zapytał:

- Z kim panna Salmia tu przebywała, gdy o godzinie dwunastej piętnaście w nocy przyniosła jej pani tę herbatę? Proszę się dobrze zastanowić, bo to poważna sprawa. Jestem komisarzem policji i prowadzę dochodzenie.

Pokojówka rzuciła tancerce nieco zdumione spojrzenie, lecz odparła prawie od razu i szczerze:

- Z nikim. Panna Salmia była tu sama. Jestem tego najzupełniej pewna.

No tak.

Palmu pozwolił jej odejść i odwrócił się groźnie do tancerki. W oczach kobiety odbitym światłem lampy zalśniły czyste łyzy i Iiri Salmia gwałtownie zamrugła powiekami.

- Pan mi nie uwierzy, panie komisarzu, ale zamierzałam właśnie powiedzieć, że gdy usłyszałam pukanie pokojówki, poprosiłam pana Lankellę, aby schował się w łazience. Nie chciałam, aby ktoś widział go u mnie w środku nocy.

- Akurat! Już pani wierzę! - skwitował Palmu ironicznie, mierząc bezwzględny spojrzeniem umalowane usta i piękne ciało. Wtem panna Salmia odrzuciła głowę w tył i roześmiała się gorzko.

- Wobec tego dobrze, panie komisarzu! - wyrzuciła ze zgrzytem noża na szkło. - W końcu jestem dla pana zwykłą tancerką, więc tylko roześmieje mi się pan w oczy, jeśli powiem, że do ubiegłej nocy po dwunastej nie gościł tu u mnie żaden mężczyzna... Niechże mi pan powie, panie komisarzu, tak tylko dla zabawy, ile dałby mi pan lat?

Palmu nieco się zmieszał, lecz nawet na chwilę nie odwrócił spojrzenia.

- Jeżeli łąknie pani komplementów, panno Salmia, to bardzo panią rozczaruję - odrzekł nieuprzejmie. - Pozuje pani na dziewiętnastolatkę, ale byłbym gotów się założyć, że skończyła już pani dwadzieścia pięć.

Ożywienie Iiri Salmii prysło bez śladu, gorycz przeszła w zmęczone przygnębienie. Zupełnie cichym głosem tancerka odpowiedziała:

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie komisarzu. W rzeczywistości mam trzydzieści trzy lata. Nie, proszę nic nie mówić... kosmetyka twarzy, ćwiczenia fizyczne... każdy rok był dla mnie istnym piekłem. Co pan może wiedzieć o życiu tancerki, panie komisarzu? Żołnierski dryl to dziecinada wobec dyscypliny, której ja podlegam. Każdego dnia, dzień w dzień, najmniej pięć godzin wyczerpujących ćwiczeń. Jeżeli zarzucę gimnastykę siłową choćby na dwa dni, mięśnie zaczynają sztywnieć, a w moim wieku nie mogę już sobie pozwolić na ryzyko. Szklanka soku pomarańczowego na śniadanie, panie komisarzu, liść sałaty i jabłko na obiad... Pan nie ma pojęcia, co znaczy takie jedzenie dla zdrowej kobiety.

Panna Salmia się zaśmiała, jej męzne poczucie humoru znów się przebudziło.

- Oczywiście trochę teraz przesadzam, ale proszę mi wierzyć, panie komisarzu, że czasem, gdy jestem bardzo zmęczona i rozhisteryzowana, potrafię wybuchnąć płaczem, widząc, jak moje dziecko je owsiankę - cudowną, złotą owsiankę z pływającymi po powierzchni okami masła i...

Palmu nie potrafił ukryć zdumienia. Oczy uciekły mu gdzieś w bok, znów musiał wytrzeć pot perlący się na czole.

- Pani... pani dziecko? - wyjąkał z niedowierzaniem.

- Ależ tak. Mam cudownego chłopczyka. I męża. Mieszkają pod Sztokholmem u teściów. Salmia to mój pseudonim artystyczny. Mój mąż jest inżynierem i cztery lata temu stracił wzrok podczas wybuchu w kopalni w Boliden. Dlatego muszę...

- Lecz przecież wszyscy ludzie myślą, że... - zaczął Palmu, ochłonawszy nieco po tym szoku. Iiri Salmia znużonym gestem machnęła wąską, piękną dłonią.

- Ludzie... - rzekła głosem pobrzmiewającym wyniosłą, zapiekłą nienawiścią. - Ten spragniony sensacji, zblazowany świeatek kolacji i bibek, który chciwie zlizuje najgłupsze plotki z parkietu i ze sceny. Jakże ja nienawidzę tych ludzi. Ale po prostu muszę, panie komisarzu! Za pieniądze zarobione w ciągu tych kilku zimowych miesięcy możemy z mężem spokojnie żyć przez resztę roku. Wtedy mogę wreszcie oddychać świeżym powietrzem, panie komisarzu, mogę kłaść się spać o dziesiątej wieczór i... i... ja kocham swojego męża. Ta straszliwa, znienawidzona zima już się skończyła i jutro wsiadę na statek... A świeatek już wrze, już sobie rozpowiada nową sensację, że oto jadę na południe albo do Paryża z najnowszym kochankiem, a ja... ja, panie komisarzu, jeszcze nigdy nie zdradziłam męża... I wszystko, co panu teraz powiedziałam, może pan przecież łatwo sprawdzić za pośrednictwem policji w Sztokholmie. Oczywiście, ja muszę występować i zachowywać się tak, jak gdybym była młoda i wolna, muszę przyjmować kwiaty od młodych mężczyzn i starych zbereźników i być dla nich miła i uprzejma. Każda plotka jest dla mnie wyłącznie reklamą. A młody Lankella... - Salmia umilkła i nagle znów spowaźniała.

Miałem pełne ręce roboty, by za pomocą nieporadnej jeszcze stenografii utrwalić na papierze treść tej namiętnej, żywiołowej wypowiedzi tancerki Iiri Salmii. Palmu popatrzył na nią bardzo surowo i skinął głową, aby mówiła dalej. Kobieta podjęła bardzo wolno, jak gdyby ważyła w myślach każde słowo:

- Młody Lankella zakochał się we mnie całkiem na poważnie. To niesamowicie słodki i męski chłopiec. Ale właśnie - przy mnie to jeszcze chłopiec. Jestem przecież najmniej siedem lat od niego starsza, choć on oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. I przyzwoity z niego chłopak, bo ani razu nie próbował zachowywać się wobec mnie niestosownie, tak jak inni mężczyźni. I... i dwa razy pozwoliłam mu się pocałować. W nagrodę za tę jego grzeczność. Ma takie miękkie, jasne włosy niemal takie same jak mój synek. A ja... czuję się tu bardzo samotna. Dwa pocałunki, panie komisarzu, przecież to nic takiego...

- Hm - chrząknął Palmu i nieco pokraśniał.

- Ale ten biedak naprawdę się we mnie zakochał. Nie chciałam do tego dopuścić, lecz oczywiście każdej kobiecie schlebia to, że mężczyzna jest gotów dla niej na wszystko. Nie

wycofałam się w porę. Lankella dowiedział się, że niedługo wyjeżdżam, i wpadł w rozpacz. Wczoraj wieczorem, a w zasadzie już w nocy, potajemnie przyszedł tu do mnie. Z pomieszczeń klubowych przez dużą salę restauracyjną można się dostać do pokojów, omijając wykidajkę, a jeśli wejść po schodach, nie spostrzeże nic również boy od windy. Lankella wiedział, że nie wpuszczam nikogo do siebie, dlatego przyszedł bez zapowiedzi. Zachowywał się jak szalony - był zresztą trochę pijany - i doszło między nami do ostrej kłótni...

Iiri Salmia zamilkła, była lekko zdyszana. Jej pierś gwałtownie falowała, a piękne oczy patrzyły gdzieś w dal.

- Zagroził mi wtedy, że palnie sobie w łeb. Powiedział, że ma dostać dwieście tysięcy marek od ciotki, która chce go zmusić, aby poślubił jej pasierbicę. Zaproponował, abyśmy uciekli razem za granicę i potajemnie wzięli ślub. Och, to ciągle jeszcze mały chłopiec, który nie wie, co to życie. Ale mówił to wszystko z przerażającą powagą. Bałam się, że naprawdę zrobi sobie coś złego. Wiedziałam, że jest na to tylko jeden sposób... Zgaduję, o czym pan myśli - głos Iiri Salmii był zmęczony i głuchy. - Tak, ma pan rację, jestem w końcu zwykłą tancerką o złej reputacji, więc dałam mu do zrozumienia, że zabawiałam się nim tylko, że go wykorzystałam do cna, ile tylko się dało. Cóż to dla mnie znaczy dwieście tysięcy marek? Starczyłoby nam może na dwa miesiące w miarę wygodnego życia. Powiedziałam mu, że ja potrzebuję naprawdę bogatego kochanka. Wymieniłam nawet nazwisko, bardzo znane zresztą... Okropny był to widok. Lankella zbladł jak płótno, a oczy zaczęły mu pałać. Ale uwierzył. To była brutalna i niebezpieczna operacja, panie komisarzu, lecz nic innego by nie pomogło. I wtedy... wtedy uderzył mnie w twarz jak... jak ulicznicy... i powiedział, że wreszcie go uleczyłałam z dziecinady... Och, to była okropna scena, ale musiałam to zrobić.

Długo nic nie mówiliśmy. W mojej głowie pączkował nieśmiało podziw dla tej szczupłej, męznej kobiety, która w istocie była - co tu kryć - bardzo piękna.

- A zatem jest pani gotowa przysiąc, że Lankella był u pani ubiegłej nocy mniej więcej od północy do wpół do pierwszej? - zapytał komisarz poważnie, nieustępliwym spojrzeniem dybiąc na najlżejsze drgnięcie mięśni jej twarzy.

- Mogę przysiąc - odrzekła drętwo blada jak płótno Iiri Salmia. - Kaarle Lankella to dobry chłopiec, a ja zachowałam się wobec niego okropnie. Lecz jeżeli nic innego go nie uratuje... Dałabym jednak wszystko, panie komisarzu, aby nie zostać wmieszana w rozprawę sądową, bo zrobiłby się z tego straszny skandal, a mój mąż i synek... Panie komisarzu, przecież i pan jest człowiekiem!

Znów na długo zapadła cisza. Wreszcie Palmu powiedział:

- Wierzę pani, hm, pani Salmia, i w dowód tego pozwolę pani nawet wyjechać. Jednak w Sztokholmie proszę się zgłosić na policję i pozostawać do naszej dyspozycji, gdybyśmy musieli ponownie się z panią zobaczyć. Byłoby rzeczą nieludzką zabronić pani wyjazdu, jeżeli to wszystko, co nam tu pani, hm, powiedziała, jest prawdą. Ale... no, mniejsza z tym, nie ma to już znaczenia. Dobrej nocy, łaskawa pani!

Iiri Salmia odprowadziła nas do drzwi z bardzo osobliwym wyrazem swoich pięknych oczu. Wyraz jej twarzy był w istocie tak zdumiewający, że zamykając drzwi, aż się wzdrygnąłem.

- Niesamowita dziewczyna - odezwałem się nieśmiało, gdy weszliśmy na schody. Mój podziw dla niej wzrósł tak bardzo, że po prostu musiałem jakoś przyoblec go w słowa.

- Niesamowita krętaczka, to chyba chciałeś powiedzieć - warknął poirytowany Palmu.
- Łgała tak dobrze, że nawet ja o mało co nie zmiękłem. Ale jeżeli skłamała i jeżeli ta studentka politechniki ze swoim absztyfikantem zdołają jutro zyntedyfi... zyntefidy...

- Zidentyfikować - podsunąłem szybko.

- Otóż to - równie szybko skwitował Palmu. - Więc jeżeli zdołają jutro zidentyfikować Lankellę jako mężczyznę, który ubiegłej nocy wyszedł z bramy na Marynarskiej i wsiadł do samochodu, wtedy z tą dziewczyną także będzie krucho. Oskarżę ją o...

- Tak, jeżeli skłamała... - wtrąciłem z powątpiewaniem.

- Kolejna łzawa historyjka z sentymentalnego tygodnika - skrzywił się Palmu. - Niewidomy mąż i synek o miękkich włosach. Niech mnie kule biją...

- Ale to się przecież mogło zdarzyć - próbowałem go jeszcze przekonać. Moja romantyczna dusza ronila łzy współczucia dla Iiri Salmii.

- No, dziewczyna musiała się nieźle zdziwić, że bez większych przeszkód pozwoliłem jej wyjechać - mruknął Palmu mściwie. - To nie jest głupia babka, jeżeli kłamała. I oczywiście się domyśli, że któryś chłopak ze Sztokholmu będzie za nią chodził jak cień, ale zjem własne kalosze, jeśli w ciągu jednego dnia zdoła sobie zorganizować ślepego męża i syna. Oczywiście będziemy musieli ją złapać na jakimś kłamstwie. Ale alibi Lankelli trudno będzie obalić, ponieważ to jasne, że powtórzyła nam słowo w słowo rozmowę, którą w ciągu dnia odbyła z Lankellą. Ostatecznie wszystko to może być zresztą prawdą. Może faktycznie już sobie naraiła bogatszego kochanka i Lankella dostał kosza. Gdybyśmy skonfrontowali ich zeznania dotyczące tej rozmowy, na pewno nie złapalibyśmy ich na żadnych rozbieżnościach. Ta dziewczyna jest na tyle sprytna, że w tej kwestii w niczym nam nie skłamała. Ale jeżeli wcześniej w ciągu dnia rzeczywiście się spotkali, aby to omówić, będzie to dla nas kolejny mocny dowód przeciwko Lankelli. Bo wtedy jego motyw staje się całkiem jasny. Wszak

dwieście tysięcy marek nie wystarczyło, dziewczyna potrzebowała kochanka znacznie bogatszego. *Was willst du noch mehr?*

Palmu samodzielnie opanował podstawy języka niemieckiego i był z tego nadzwyczaj dumny. Wymowę miał co prawda nieco dziwną, lecz taktownie nie zwróciłem na to uwagi. Szliśmy bez słowa ulicą Aleksandra, wiosenny wieczór rozjaśniały migające neony reklam.

- A jak diabelnie chytrze potrafiła ustawić rozmowę - mruknął pod nosem Palmu z mimowolnym zachwytem. Zaczęły do mnie powoli docierać niektóre fakty i poczułem się nagle bardzo przygnębiony. Praca w policji w zasadzie wcale nie jest przyjemna. Bez litości odbiera człowiekowi młodzieńczą wiarę w ludzi.

- Chodzi ci o jej pierwsze słowa? - stwierdziłem niejako po to, aby mu zasygnalizować, że wcale nie jestem taki głupi, za jakiego mnie uważa. - Oczywiście, jeżeli kłamała, było to z jej strony bardzo chytre posunięcie: udawać z początku, że Kuurna słowem jej nie wspomniał o morderstwie. Oczywiście to on jej kazał wyjechać do Sztokholmu, aby zniknęła z pola widzenia i nie była więcej przesłuchiwana. Do tego jeszcze niewidomy mąż i synek, i to jej ciężkie, lecz przyzwoite życie tancerki. A ja przełknąłem to wszystko bez mrugnięcia okiem. I na koniec jeszcze ten bohaterski gest samo- poświęcenia. Muszę przyznać, że to było rzeczywiście diabelnie chytrze pomyślane.

W moim głosie zabrzmiała taka gorycz, że Palmu zatrzymał się i spojrzał na mnie. Jak gdyby chciał nagle odwołać swoje słowa.

- Daj sobie z tym spokój, chłopcze - powiedział surowo, lecz przyjaźnie. - Nie ma się co mazgać. Ostatecznie nie wszyscy ludzie są tacy źli, za jakich musimy ich w tej pracy uważać. Zrozum, my po prostu musimy wszystko kreślić w najczarniejszych barwach. Ale alibi Lankelli ledwie trzyma się kupy.

- No i ten cholerny Kuurna tak diabelnie mąci, że aż mnie skręca! - wyrzuciłem z siebie, jakbym chciał wyładować na kimś złość.

Znów powoli ruszyliśmy przed siebie.

- Kuurna? - powtórzył nagle Palmu i stanął jak wryty. - Po kiego czorta ten facet tak bezczelnie łże? To przyjaciel Lankelli, lecz gdybym o tym nie wiedział, byłbym gotów przysiąc, że pan artysta malarz dwoi się i troi, by Lankellę pogrążyć. Niemal w żywe oczy kłamie, aby go osłonić, ale każde kłamstwo, jak do tej pory, tylko wzmocniło nasze podejrzania co do jego przyjaciela. Żebym tak tylko wiedział...

Ciąg dalszy utonął w niewyraźnym pomruku. Poczułem, jakby mnie ktoś nagle uderzył w głowę. Czy to naprawdę Kuurna? Poprzedniego dnia był u pani Skrof, miał czas, aby podmienić pantofon na morfinę i wziąć klucz od balkonu, poza tym miał morfinę, od

dwunastej do wpół do pierwszej leżał pijany za kotarą w alkwie, umiał prowadzić samochód, a ulster ze skórzanymi guzikami należał do niego, nie do Lankelli. Ale... ale jaki mógłby mieć motyw? To było zupełnie niepojęte. I dlaczego w ogóle zachowywał się jak ostatni idiota? Myśli zbiły mi się w głowie w beznadziejnie poplątany kłębek.

- To był długi i męczący dzień - odezwał się Palmu, obrzucając miłosierdnym spojrzeniem moje zdumione oblicze. - Za chwilę zaczną ci się śnić koszmary, więc najlepiej zrobimy, jak obaj położymy się dziś wcześniej spać. Jutro mamy kolejny dzień na myślenie, a ty musisz wstać skoro świt. Czeka na ciebie jeszcze cała sterta nie przepisanych na czysto raportów.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy. Jeślibym powiedział, że gdy tylko złożyłem głowę na poduszce, zasnąłem natychmiast ciężkim, głębokim snem, jaki po ciężkim dniu może zapewnić jedynie młodość, skłamałbym i nadużył wolności przysługującej pisarzowi. Prawda jest taka, że ciężko zasnąć po dniu, w którym widziało się pierwsze ciało w swojej detektywistycznej karierze i wciąż ma się świadomość, że z zimną krwią popełniono okrutne morderstwo. Pani Skrof była starą kobietą, przy tym dość oryginalną, i pewnie wiele rzeczy w jej zachowaniu zasługiwało na nagane. Lecz przecież była człowiekiem i tego człowieka ktoś zamordował. Najróżniejsze wydarzenia dnia, żarty starego policyjnego wygi, który niejedno już widział, emocje związane z tropieniem mordercy - wszystko to odsuwało na dalszy plan konstatację tego przerażającego faktu. I dlatego dopiero teraz naprawdę pojąłem, co znaczy morderstwo, i w moim sercu zaległa się namiętna nienawiść do nieznanego zbrodniarza. Zdradliwość to cecha, której nie potrafię wybaczyć. Robiąc w myślach przegląd możliwych winowajców, poprzysiągłem sobie, że nie dam się więcej zwieść spojrzeniu fiołkowych oczu panny Skrof ani buńczucznej męskości młodego Lankelli.

Nie zasnąłem do samego rana, bo bardzo bolał mnie brzuch. Mało to romantyczne, ale tak właśnie było. Na próżno usiłowałem obwinić za to ów jeden jedyny kieliszek ponczu, który miał być ostatnią deską ratunku dla mojej miłości własnej i ostoją wiary w moje stalowe nerwy.

Wstępne przesłuchanie, które rozpoczęło się o godzinie dziesiątej rano, okazało się czynnością bardzo krótką i oficjalną. Posterunkowy Ara przedstawił raport o wyważeniu drzwi, odnalezieniu ciała i wywietrzeniu mieszkania. Doktor Markkola nadesłał świadectwo zgonu. Mecenas Lanne i panna Kirsti Skrof zostali poproszeni o złożenie podpisów pod sporządzonymi przeze mnie czystopisami ich krótkich zeznań. Dalej stwierdzono, że w mieszkaniu nie odnaleziono żadnych podejrzanych odcisków palców, przedstawiono natomiast naturalnej wielkości fotografię odcisku gumowej podeszwy oraz dołączono

orzeczenie lekarskie, które potwierdziło, że jamnik o imieniu Baron, należący do pani Almy Skrof, nie zginął śmiercią naturalną. Pani Hallamaa, trzęsąc się z przejęcia i poczucia własnej ważności, potwierdziła, że morderca włamał się do mieszkania sąsiadki dokładnie o godzinie dwunastej minut siedemnaście w nocy. Dokumenty przesłane gubernatorowi z prośbą o wydanie zgody na otwarcie zwłok wróciły odwrotną pocztą ze stosownym podpisem. Komisarz Palmu podniósł słuchawkę telefonu. Z drugiej strony linii zgłosił się lekarz sądowy, który właśnie się przebrał i wydał asystentowi polecenie przygotowania instrumentów.

- Morfina, powiada pan? - zdziwił się nieco. - Zobaczymy, zobaczymy!

Laboratorium chemiczne wydziału medycyny sądowej pracowało pełną parą. Tam też dostarczono kawałek blachy dachowej, na który kapnęła kropla krwi z dłoni ugryzionej przez psa.

Dlaczego mówię o dłoni?... No tak. Młody Lankella... lecz znów uprzedzam bieg wypadków. Wcześniej bowiem wydarzył się kolejny incydent.

Mecenas Lanne szykował się do wyjścia, z wielkim zadowoleniem wycierając okulary w róg chusteczki do nosa. Zdumiał się, że zeznanie, które dostał do podpisu, jest takie krótkie. Palmu nie wspomniał mu, że to tylko wstępne przesłuchanie, ale jako prawnik powinien był to wiedzieć. W każdym razie uznał chyba, że mu się upiekło, bo bardzo był zdumiony, gdy Palmu rzucił za nim, i to bynajmniej nie delikatnie:

- A pan dokąd się wybiera, mecenasie? Proszę nam jeszcze powiedzieć, co pan porabiał w nocy popełnienia morderstwa między północą a godziną pierwszą.

Adwokat pobladł i wzdrygnął się z miną winowajcy. Wyglądał jak wcielony wyrzut sumienia. Na początku próbował się wykręcać, w końcu jednak przyznał pokornie:

- Tak, to prawda. Wyszedłem z klubu już chwilę przed północą. Wszystko przez to, że wypilem, nieprawdaż, kilka grogów i... i chciałem się trochę przespacerować, bo... bo moja małżonka jest, nieprawdaż, nieco nerwowa i nie lubi, kiedy piję. Dlatego też przez godzinę spacerowałem ulicami miasta i co jakiś czas, nieprawdaż, ssałem sobie pastylkę miętową, aby... aby niczego nie wyczuła, gdy wrócę do domu.

Ufając w zrozumienie komisarza, wyciągnął z kieszonki kamizelki pudełko pastylek i pokazał mu je, dodając przy tym wystraszonym głosem:

- Mam wielką nadzieję, że pan komisarz, nieprawdaż, zechce nie wspominać o tym mojej małżonce. Ona jest trochę, nieprawdaż... - bezradny mecenas z zażenowaniem zawiesił głos.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa - odpalił mu bezlitośnie Palmu, więc gdy po chwili mecenas opuszczał wydział kryminalny komendy miejskiej, był bardzo zgębiony. Jeszcze na Rynku bezradnie wycierał okulary w róg chusteczki do nosa.

- Najślabsze alibi z dotychczasowych - zauważyłem, gdy wróciliśmy z komisarzem do zacisza jego pokoju. Prerażony mecenas wyznał bowiem, że podczas nocnego spaceru ulicami Helsinek nie spotkał nikogo znajomego.

- Może dlatego jest z nich wszystkich najprawdziwsze - odrzekł zagadkowo Palmu. - Chłopcze, wczoraj wieczorem, kiedy już się rozeszliśmy, wróciłem bezwiednie myślami do naszej rozmowy. Może rzeczywiście my, policjanci, mamy nieco zbyt niepochlebne zdanie o ludziach. Może jednak niektórzy czasem mówią prawdę...

- Ale dlaczego Lanne próbował znów kręcić? - Byłem na niego oburzony. - Dlaczego dzwonił do portiera klubu? Dlaczego kłamał? Z jakiego powodu bał się aż tak bardzo?

- Nie mieliśmy jeszcze okazji poznać jego małżonki - odpowiedział na to Palmu i spojrzał na mnie dość osobliwie. - Niektórzy mężczyźni boją się swoich żon jak diabeł święconej wody... Bardziej nawet niż policji.

Uznałem to wyjaśnienie za nader wątłe. Wypomniałem zresztą Palmu, że z nadzwyczaj osobliwą czułością odnosi się do drugiego na liście najmniej przyjemnych podejrzanych. Komisarz odrzekł mi obłudnie:

- Ja też jestem tylko człowiekiem. Nagle to spostrzegłem. Zapominasz chyba, że mecenas Lanne czyta wieczorami do poduszki powieści detektywistyczne. I oczywiście od razu się połapał, że jego alibi jest podejrzenie słabe, więc usiłował je pospiesznie wzmocnić. Gdyby to on był mordercą, ręczę ci, że na pewno postarałby się o dużo lepsze.

Na tym rozmowa się zakończyła, ja jednak wcale nie skreśliłem Lannego z listy podejrzanych. Wręcz przeciwnie. Studiowałem bowiem psychologię i moim zdaniem ta jego zastanawiająca, cwana nieśmiałość świadczyła wyraźnie, że pan mecenas bardzo stara się coś przed nami zataić. Natomiast wieczne wycieranie okularów wskazywało niezbicie, że waży przed wypowiedzeniem każde słowo. Z jakiego powodu aż tak bardzo miał się na baczności?

Jednak bezwzględny Palmu dla swej prywatnej przyjemności zagnał mnie z powrotem do przepisywania na czysto notatek z rozmów przeprowadzonych poprzedniego dnia. Sam zaś wyłożył się na starej, skórzanej sofie i przymknął powieki.

- Najlepiej mi się myśli, gdy leżę z zamkniętymi oczami - wyjaśnił z godnością. - Poza tym mam wrażenie, że dostrzegam już nikielne światełko w tunelu. Nie możemy jednak nic zrobić, dopóki nie dostaniemy z laboratorium wyników otwarcia zwłok. Dlatego też skorzystam z okazji, by jeszcze raz wszystko dogłębnie przemyśleć.

Po chwili przemyślał już całkiem donośnie. Nie przeszkadzała mu nawet moja maszyna do pisania, która terkotała jak najęta niemal bez przerwy, i to tuż nad jego uchem. I choć przemyślał tak prawie dwie godziny, był rozdrażniony i zły, gdy dzwoniący telefon wyrwał go w końcu ze snu.

Laboratorium medycyny sądowej uwinęło się bardzo sprawnie. Oczywiście ekspertyza została sformułowana nadzwyczaj ostrożnie, gdyż pomagali przy tym naukowcy, a ci nigdy nie są niczego tak do końca pewni. Obraz mocno zaciemniały inne leki zażywane przez panią Skrof, niemniej jednak wiele wskazywało na to, że owego wieczoru kobieta zaaplikowała sobie wyjątkowo silną dawkę pantofonu, w wyniku czego najprawdopodobniej najpóźniej o północy była już nieprzytomna - przy założeniu, że zażyła lek o godzinie dziesiątej.

- Albo była tak odurzona morfiną, że nie byłaby zdolna ruszyć ręką, nawet gdyby coś usłyszała - zapewnił wesoły głos po drugiej stronie linii. - Oczywiście w grę może również wchodzić czysta morfina, taka sama, jaką znaleźliśmy w innej zabezpieczonej przez was fiolce po pantofonie. Ale odróżnienie ich od siebie jest prawie niemożliwe. A zatem to mógł być także pantofon, jednakże w takim wypadku dawka musiała być znacznie silniejsza od tej, jaką zawiera jedna tabletkę tego specyfiku. Przepiszemy raport na czysto i prześlemy wam, powiedzmy...

Palmu niegrzecznie odwiesił słuchawkę, nie racząc nawet wysłuchać zdania do końca.

- Idioci - mruknął pod nosem.

Przyznałem uprzejmie, że byłoby znacznie łatwiej, gdyby laboratorium napisało w ekspertyzie, że morfina wykryta w organizmie pani Skrof pochodziła z szuflady biurka Kurta Kuurny, do którego Kaarle Lankella miał swobodny dostęp.

- Przyjaciółka pana Mustapaa również zażywa środki odurzające - przypomniałem usłudźnie.

- A przyjaciółka panny Skrof jest pielęgniarką i chodzi na nocną zmianę, ma więc klucz do szafy z lekami - równie usłudźnie dopowiedział Palmu. - Nie warto jej nawet o to pytać, bo wszystkiemu zaprzeczy. Straciłaby pracę, gdyby się to wydało.

- W helsińskich klubach nocnych też się niekiedy handluje morfiną - podjąłem rozdrażniony. - I pod tym względem klub Pod Cichym Tyczkarem zapewne nie różni się specjalnie od innych. Z jakiegoż to innego powodu pan mecenas Lanne tak diabelnie bałby się swojej... małżonki? - Sądziłem, że jestem bardzo zgryźliwy, ale Palmu odplacił mi pięknym za nadobne.

- A żona dozorca w kamienicy pani Skrof miała paskudny katar - rzucił obojętnie. - Może chodziła do doktora Markkoli po zastrzyki morfinowe.

Moim zdaniem ten żart mu się nie udał. Mimowolnie pomyślałem o pielęgniarce, u której Kirsti Skrof spędziła noc zbrodni. Dlaczego tak szybko chciała się nas pozbyć? Ostatecznie zdążyła się w nocy wyspać. Czyżby więc i ona czegoś się obawiała?

Ponieważ Palmu zakazał Lankelli i Kuurnie wychodzić z domu, chyba, że okaże się to absolutnie konieczne, bez trudu skontaktował się z nimi telefonicznie.

Kuurna był bardzo zdziwiony, co wydział kryminalny może mieć do niego. Oświadczył też niewinnym tonem, że komisarz znów tłumi erupcję jego sił twórczych u progu wykończenia portretu bankiera Kallberga, Palmu jednak nie okazał najmniejszego zainteresowania przyszłością fińskiej sztuki. Potem zatelefonował do jakiegoś pułkownika i po kilku minutach kłótni zdołał załatwić pewnemu młodemu kadetowi nieregulaminową przepustkę.

- Diabelnie miło to panowie ustawili - przyznał z radością, gdy wszedłszy do pokoju komisarza, zastał tam swoją przyjaciółkę z politechniki. - Nigdy więcej nie dam powiedzieć na policję złego słowa. Prawdę mówiąc, wlepili mi zakaz opuszczania szkoły na dziesięć dni i już myślałem, że... - i rozgoryczony kadet zaczął nam opowiadać o licznych niesprawiedliwościach wewnętrznego życia szkoły kadetów, jednak sprawa ta wykracza poza ramy niniejszej książki. On i jego dziewczyna stanowili całkiem zwawą parę i nieszczególnie się certo wali.

- Prawdę mówiąc, to nawet chętnie przyznam, że właśnie wtedy ją pocałowałem - powiedział bez żenady kadet i obrzucił przyjaciółkę zachwyconym spojrzeniem.

- No bo jak tu takiej nie całować? - dodał nieco dziecinnie. - Już postanowiliśmy, że niedługo się pobierzemy, jak tylko dostanę awans na chorążego. Wiem, że to mi zamknie drogę do kariery wojskowej i...

Chłopak jął otwarcie perorować o kiepskich perspektywach zarobkowych fińskiego oficera, a przerwał mu dopiero Kokki, który zapukał do drzwi i oświadczył, że wszystko gotowe. Dziewczyna poszła pierwsza. Wróciła i pokręciła głową. Przyszła pora na kadeta.

W dość ciemnym korytarzu stało sześciu mężczyzn w luźnych ulsterach. Wszyscy mieli postawione kołnierze, ciemne okulary i głęboko wciśnięty na głowę kapelusz. Pomiedzy przebranymi detektywami oczywiście niemal od razu rozpoznałem Lankellę i Kuurnę, lecz mocno wątpilem w możliwości kadeta. Bo i w każdego mężczyznę wpatrywał się bardzo długo tępym wzrokiem. Wtem jednak twarz rozjaśnił mu błysk wspomnienia. Postąpił krok w kierunku Lankelli i zaczął mu się uważnie przyglądać, starając się uchwycić wyraźniej rysy jego twarzy.

- To na pewno ten człowiek - powiedział w końcu niepewnie, wskazując Lankellę palcem. - Głowy bym za to nie dał, ale tylko on wydaje mi się skądś znajomy. Poza tym mówiłem już, że byłem akurat wtedy zajęty czym innym. Nawet bym na niego nie spojrział, gdyby mi nie przeszkodził w najlepszym momencie.

Młody kadet nie mógł nawet przeczuwać, jak wielkie spustoszenie jego niewinne słowa poczyniły w mojej głowie. Zemdlilo mnie i musiałem kilka razy przełknąć ślinę, aby się opanować. Palmu uznał, że ani kadetowi, ani dziewczynie nie trzeba wyjaśniać, iż śledztwo dotyczy morderstwa. Oboje byli przekonani, że chodzi o kradzież samochodu.

Potem przesłuchał ich jeszcze razem, lecz nie wycisnął z nich już nic nowego. Studentka twierdziła, że pamięta z całą pewnością, iż pierwsze dwie cyfry tablicy rejestracyjnej samochodu były szóstkami, natomiast chłopak utrzymywał, że numer zaczynał się od liczby dwadzieścia sześć lub trzydzieści sześć. Jednak gdy pokazano im w półmroku kilka tablic, okazało się, że oboje mają problemy z poprawnym odczytaniem numerów.

Niemniej kadet potrafił wskazać na Lankellę w grupie sześciu identycznie ubranych mężczyzn, a o tym Palmu nawet nie ośmielał się marzyć. Kuurna musiał poczekać na zewnątrz, Lankellę zaś komisarz zaprosił do siebie. Twarz miał poważną, a jego oczy błysnęły jak błękitny lód, gdy zwrócił się do podejrzanego tymi oto słowami:

- No, panie Lankella. Czas wreszcie zrzucić maskę. Niech no mi pan pokaże tę swoją ranę na dłoni.

Lankella się zawahał, lecz po chwili jego szczerą twarz stwardniała na kamień i znów pojawił się na niej wyraz zaciętej przekory. Powoli odwinął bandaż.

Zarówno na grzbiecie dłoni, jak i po wewnętrznej stronie nasady kciuka ujrzeliśmy obrzydliwie sine ślady małych zębów!

- Chyba nie będzie pan się upierał, że niechcący dziabnął się pan widelcem? - rzucił Palmu z przekąsem, choć moim zdaniem drwina w takim momencie była co najmniej niestosowna. - Może teraz zechce nam pan powiedzieć, co robił w noc zbrodni między północą a godziną wpół do pierwszej?

Kaarle Lankella zacisnął mocno zęby. Spojrzał na komisarza z jawną nienawiścią i powoli pokręcił głową. Przyznam, że bardzo mnie to zdumiało, miał bowiem przecież gotowe alibi, potwierdzone przez Iiri Salmię.

Czyżby rzeczywiście był aż tak dziecinnie honorowy, że wciąż nie chciał mieszać tancerki w tę przerażającą historię? No, ale psychika zabójców ujawnia czasem niewiarygodne wprost dziwactwa. Naczelný kat Rosji, Dzierżyński, który posłał na śmierć

dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi, potrafił rozczulić się do łez, słysząc piękną muzykę. Miał do niej szczególną słabość.

- No dobrze - odezwał się Palmu, a wtedy Kokki oderwał się od futryny i postąpił krok ku Lankelli. - Sam pan tego chciał. Panie Kaarle Lankella, aresztuję pana pod zarzutem zamordowania pani Almy Skrof!

Po wysłuchaniu wszystkich faktów Hagert potulnie podpisał nakaz aresztowania, choć kłął na czym świat stoi, że gdy tylko prasa zwącha pismo nosem, zrobi się z tego potworny skandal. Palmu wydał Kokkiemu ostatnie polecenia:

- Odciski palców i fotografie, jak zawsze. Rewizja osobista i krew do badania. Zabrać mu szelki i opróżnić kieszenie. Może to go zmiękczy. - Po chwili jednak nieco spuścił z tonu. - Ale papierosy i zapalki mu zostawcie - dodał po namyśle. - W końcu jestem tylko człowiekiem, a Lankella jest na razie tylko podejrzany.

Za Kaarlem Lankellą zatrzasnęły się wzmocnione żelazną kratą drzwi. I na tym w zasadzie mogłaby się zakończyć ta smutna historia, ale...

- Ale niechaj pan przyjdzie tu jeszcze pod wieczór, pogawędzimy sobie trochę. - Tymi słowami, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zwrócił się Palmu do Kuurny, gdy ten, ochłonąwszy z udanego szoku, zaczął protestować przeciwko zatrzymaniu przyjaciela. - Wtedy w spokoju wymienimy się spostrzeżeniami na całą sprawę. Teraz panuje tu taki rozgardiasz i tłok, że człowiek nie słyszy nawet własnego głosu. Wieczorem będziemy już mogli pogadać w spokoju.

Godzina była wówczas szesnasta minut dziesięć. Kurt Kuurna odpowiedział chłodno, że ma na wieczór umówione spotkanie, które może się przeciągnąć do późna.

- Proszę zatem przyjść na dziesiątą - odparł przyjaźnie Palmu. - Nie, nie, wcale nie będzie mi pan przeszkadzać! Często siedzę tutaj nawet do północy. Pan się nawet nie domyśla, ile mamy pracy w tak niewielkim wydziale. Braki kadry, ogromne ilości papierów do napisania i tak dalej. Niech pan sobie wyobrazi, że środki z naszego budżetu nie wystarczą nawet na...

Wszystko to było jednym wielkim kłamstwem, bo Palmu słynie z tego, że z reguły wychodzi z pokoju z wybiciem czwartej po południu, tak jak wszyscy szanujący się helsińscy urzędnicy, którzy już co nieco w życiu osiągnęli. Wtedy jeszcze nie miałem zielonego pojęcia, do czego Palmu zmierza, a i on wyznał mi później, że zaproszenie Kurta Kuurny na spotkanie nie miało żadnej realnej podstawy. Po prostu instynkt nakazał mu aresztować Lankellę i zająć czymś Kuurnę późnym wieczorem.

I jak zawsze - instynkt go nie zawiódł.

Kuurna obiecał, że stawi się o dziesiątej.

Przyszedł jednak dopiero o godzinie pół do jedenastej, a skutek tego był taki, że liczba zwłok w prowadzonej przez nas sprawie o mały włos się nie podwoiła, czego Palmu tak się obawiał w chwili dalekowzroczonej troski.

13

Rzęsy panny Skrof i róże w Savoyu. • Kurt Kuurna płacze i cała sprawa zaczyna za bardzo zalatywać alkoholem. • Fotel komisarza Palmu i wyznanie skruszonej dziewczyny. • Czy te oczy mogą kłamać?

Była jednak dopiero szesnasta dziesięć.

- Pójdę teraz do sauny - rzekł Palmu. - Czas pracy dobiegł końca, a coś czuję, że muszę się porządnie wygrzać. Nic tak nie wyostrza mi umysłu jak gorąca para i balia z chłodną wodą.

- A szorowanie? - ośmieliłem się zapytać. Palmu odrzekł z godnością, że mniejsza o szorowanie, jako że chodzi do sauny nierzadko trzy razy w tygodniu. Z racji zaawansowanego wieku jego mózg potrzebuje bodźców, inaczej przestanie działać. Spodziewałem się, że wyznaczy mi, jak zawsze, jakieś nużące nadgodziny, on jednak spojrzał na mnie nadzwyczaj przyjaźnie i rzekł:

- Jesteś trochę blady, chłopcze! No, głowa do góry! Chyba dobrze by ci zrobił mały spacer. Może zajrzałbyś tak do panny Skrof... - zawiesił teatralnie głos, aby się nacieszyć widokiem moich nagle poczerwieniałych uszu - i powiedział jej, że z naszej strony nie ma już żadnych przeszkód i może się wprowadzić z powrotem do mieszkania macochy, choćby zaraz. Tu masz klucz. Niech weźmie sobie na noc jakąś koleżankę. Wolałbym, aby już nie spała u mecenasa Lannego.

Spojrzałem na niego badawczo, lecz minę miał wciąż zagadkową i nieprzeniknioną.

- Mogę jej powiedzieć, że aresztowaliśmy Lankellę? - zapytałem.

- Do diabła, powiedz jej, co tylko chcesz - zaklął delikatnie Palmu. - Kieruj się własnym rozeznanem. Przecież sam doskonale wiesz, co wypada powiedzieć, a czego lepiej nie mówić.

Nie jestem zarozumiały, więc jego słowa bardzo mnie zdziwiły, jako że Palmu zazwyczaj nie wypowiada się szczególnie pochlebnie o moim rozeznanem. Doszedłem zatem do wniosku, że wielka pomoc z mojej strony i me wnikliwe obserwacje zmusiły go do zrewidowania opinii na mój temat.

- Tylko pamiętaj, masz iść na piechotę! - krzyknął jeszcze za mną. - To twoje umiłowanie do drynd na gumach stanowi pierwszy krok na drodze do finansowego upadku. Jak tak dalej pójdzie, to zanim się spostrzeżesz, zostaniesz proszalnym dziadem. Ja nigdy...

Trzasnąłem drzwiami, chyba trochę niegrzecznie, ale serce skakało mi z radości, bo wreszcie mogłem zrobić coś na własną rękę, a poza tym, przyznaję, miałem ogromną ochotę na ponowne spotkanie z panną Skrof. Moje uczucia musiały się pewnie jakoś uzewnętrznić w sposobie zbiegania po schodach, bo stojący w drzwiach Kokki powiódł za mną zdumionym spojrzeniem i z politowaniem pokręcił głową.

Zanim zadzwoniłem do drzwi mecenasa Lannego, upodobiłem swoją twarz do nieprzeniknionego oblicza policyjnego detektywa. Smród kapuśniaku przenikał nawet przez drzwi i wraz z nim przyszło mi do głowy, że czterysta tysięcy marek pani Skrof byłoby dla mecenasa wystarczającym motywem. Mnie także wstrętna była myśl, że dziewczyna miałaby spędzić w tym domu jeszcze jedną noc.

Poprosiłem Kirsti Skrof o rozmowę w cztery oczy. Dziewczyna najwyraźniej w pełni podzielała moje obawy, gdyż z wdzięcznością przyjęła klucz od mieszkania i obiecała, że zaprosi do siebie na noc jakąś koleżankę. Nie dlatego wcale, że się bała. Spojrzała na mnie bardzo mężnie tymi swoimi ciemnymi, fiołkowymi oczami i nieznacznie się uśmiechnęła.

Chcąc zyskać na czasie, powiedziałem, że Lankella jest już pod kluczem. Oczywiście trochę się wzdygnęła i przestraszyła, lecz przecież jej stosunki z bratankiem pani Skrof nigdy nie były najlepsze. Jakoś nie mogłem się zebrać, aby od niej wyjść. Miała na sobie całkiem nową sukienkę, co prawda ciemną, w końcu była w żałobie. Lecz z zupełnie bladą twarzą wyglądała po prostu urzekająco i byłem pewien, że nie tylko przypudrowała twarz, ale i trochę podmalowała usta. Doskonale to rozumiałem, wszak miałem w pamięci jej opowieść o smutnych latach przeżytych pod knutem ponurej, starej kutwy.

Zaczęliśmy gawędzić na zupełnie zwyczajne tematy stopniowo narastało we mnie męczące poczucie, że już dawno powinienem sobie pójść. Ale Kirsti Skrof mnie zaskoczyła. Zbliżyła się do mnie i położyła mi delikatnie na ramieniu swoją wąską dłoń.

- Wie pan co? - wyszeptała konspiracyjnie. - A może tak uciekniemy, dobrze? Pójdziemy gdzieś razem... do jakiegoś bardzo eleganckiego lokalu na kolację i... i... porozmawiamy sobie. Jakby co, to powiem, że zabiera mnie pan na kolejne przesłuchanie.

Najwyraźniej przenikliwy smród kapuśniaku nie tylko jej odbierał apetyt. Doskonale to rozumiałem, tyle ją przecież w życiu ominęło. Spojrzała na mnie błagalnie i dodała jeszcze:

- Nie mam... nie mam żadnych znajomych mężczyzn. Kurt Kuurna zawsze mnie traktuje jak małą dziewczynkę, a poza tym jest nie do zniesienia z tą swoją wieczną zgrywą.

A pan... pan jest taki poważny i na pewno okropnie mądry. Chciałabym z panem porozmawiać naprawdę serio.

Podziękowałem niebiosom za to, że mamy w Helsinkach Savoy. Przynajmniej ma się pewność, że kolacja będzie kosztować diabelnie słono.

Napiliśmy się nawet trochę wina, a główny kelner postawił na stole kwiaty. No cóż - w końcu jestem jeszcze bardzo młody, a to była naprawdę urzekająca dziewczyna. Na dodatek dziedziczka wielomilionowej fortuny. Choć i bez tego mogłaby z łatwością niejednemu zawrócić w głowie. Wkrótce czułem się jak zakochany bęcwał i zacząłem dostrzegać w jej oczach psotne iskierki. Byłbym gotów się założyć, że rzęsy miała jeszcze dłuższe niż Iiri Salmia. A już na pewno czarniejsze niż poprzedniego wieczoru.

Opowiedziałem jej oczywiście o niezbitych dowodach, które najbardziej obciążały Lankellę, bo dziewczyna mimo wszystko okazała się szlachetna i na serio usiłowała go bronić. O Iiri Salmii postanowiłem jednak nie wspominać. Kaarle Lankella uparcie odmawiał wypowiedzi na jej temat, więc postąpiłbym brzydko, gdybym próbował go oczernić. Stwierdziłem zatem tylko, że Lankella nie zdołał przedstawić wiarygodnego alibi. Kirsti Skrof pociągała z kieliszka małymi łykami i z każdą chwilą stawała się coraz poważniejsza.

- Pan chyba rozumie, że to takie straszne wyobrazić sobie, jak zamordowano ciotkę - jęknęła. - I że to Kaarle mógł... Spodziewałabym się po nim wszystkiego, nigdy jednak czegoś takiego. Fuj! To tak, jak gdyby te pieniądze, które mam odziedziczyć, były skąpane we krwi!

Kolacja, rozpoczęta w wyśmienitych nastrojach, zakończyła się nieco zenująco. Doszło do tego, że nie mogłem już wydusić z dziewczyny ani słowa, gdyż z chwili na chwilę stawała się coraz smutniejsza, aż wreszcie w jej oczach pokazały się łzy. No cóż, wino różnie wpływa na ludzi, a ona zapewne jeszcze nigdy w życiu nie miała w ustach alkoholu. Doskonale ją rozumiałem i bynajmniej nie poczułem się urażony, choć po kolacji odrzuciła moją propozycję, abyśmy poszli jeszcze do kina, i powiedziała, że chce wrócić do domu.

Na klatce pocałowałem ją w dłoń... hm... najdelikatniej, jak umiałem. W takiej dziewczynie można się było zakochać na zabój. Młody Lankella był chyba kompletnym idiotą, skoro się nie połapał, że podają mu praktycznie na tacy nieoszlifowany diament. W porównaniu z Iiri Salmią... no cóż - gusta są przecież różne, a poza tym podziały na mnie zapewne jej prawdziwy wiek i ta historia o małżeństwie i dziecku. Młodość jednak zawsze ciągnie do młodości.

Kirsti Skrof bardzo długo wpatrywała się w swoją dłoń, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- To było... to było takie piękne - odezwała się wreszcie słabym głosem. - Jest pan... jest pan okropnie miły!

Czułem przemożną chęć, by coś jej odpowiedzieć, lecz dziewczyna już uciekła. Kobiety to bardzo dziwne, niewiarygodne stworzenia... Nie uprzedzajmy jednak biegu wydarzeń. Dopiero później pojąłem, że wyszedłem na kompletnego idiotę i błazna, i z pogardy do samego siebie byłem gotów palnąć sobie w łeb.

Palmu zjawił się w swoim pokoju w wydziale kryminalnym około pół do dziesiątej wieczór, rumiany i promieniujący pewnością siebie. Ponieważ oczekiwał gościa, kazał mi przestać stukać na maszynie. Nastrój mi się poprawił, bo nie zaczął mi zadawać niedelikatnych pytań o moje popołudnie, a sam nie wiem, jak bym się wytłumaczył z tej kolacji z panną Skrof w Savoyu. Mój postępek klócił się już choćby z jego zasadą oszczędności, bo oczywiście mimo protestów dziewczyny to ja uregulowałem rachunek. Trzymałem więc język za zębami, pamiętając, że jeszcze całkiem niedawno Palmu właśnie ją podejrzewał o popełnienie tej zbrodni. Śmiać mi się chciało na samą myśl. Niezadługo uśmiech miał zastygnąć mi na ustach.

Tymczasem jednak wszystko było jeszcze w największym porządku. Nieco zakłopotany komisarz wyciągnął z bocznej szafki biurka butelkę koniaku Monopol.

- Mam taki stary zwyczaj - zaczął obłudnie - że wieczorami po saunie lubię wychylić sobie kieliszeczek dla zdrowotności. Kapinka koniaku i aspiryna - nie masz lepszego zabezpieczenia przed grypą i przeziębieniem.

Nie widziałem, aby wyciągnął też aspirynę, za to ku mojemu wielkiemu zdziwieniu mały kieliszek nalał także mnie. Przy tym aż dwa razy zerknął na zegar i ta niespotykana u niego nerwowość rzucała się w oczy. Naturalną kolejną rzeczą zaczęliśmy rozmawiać o Kuurnie, w końcu to na niego czekaliśmy.

- Teoretycznie to w pełni prawdopodobny morderca - powiedziałem z przekonaniem. - Zostawmy na razie na boku Lankellę i zastanówmy się nad Kuurną. Założmy, że z jakiegoś powodu Kuurna swoją paplaniną i oczywistymi aluzjami rzeczywiście próbuje zrobić przyjaciela.

- Tylko z jakiego powodu miałby zabijać panią Skrof? - wtrącił Palmu. - Na początku oczywiście brałem pod rozwagę i taką możliwość, że Kuurna jest całkowicie zdany na dobre serce przyjaciela, i to, czy ma co włożyć do garnka, zależy tylko i wyłącznie od Kaarlego Lankelli. A tu się okazuje, że on jest bardzo zamożny. I ostatnio to raczej Kuurna pożyczął pieniądze Lankelli aniżeli odwrotnie. Przy czym w grę wchodziły, jak się zdaje, kwoty raczej niemałe.

- Może chciał po prostu odzyskać pożyczone pieniądze - zaproponowałem słabo, lecz w tejże chwili zaświtała mi w głowie myśl i ewentualność tak porażająca, że z krzykiem zerwałem się na równe nogi.

- Do diabła, nie strasz mnie! - warknął Palmu i na wszelki wypadek odsunął daleko ode mnie butelkę i swój kieliszek. - Dostanę zawału, jak zaczniesz mi tu biegać po ścianach jak wariat.

- Na-namiętność - wyjąkałem, starając się jakoś ubrać w słowa owo przerażające olśnienie. - A więc motywem była jednak miłość. Kurt Kuurna jest zakochany w pannie Skrof! Pozbywa się zatem ciotki, aby dziewczyna odziedziczyła pieniądze, i rzuca podejrzenia na Kaarlego Lankellę, aby wyeliminować z gry konkurenta. Albo jeszcze lepiej: usłyszawszy, że dziewczyna ma zostać poślubiona Lankelli wbrew swej woli, wpada w rozpacz i morduje ciotkę, aby się go pozbyć!

Palmu spojrzał na mnie z niejakim politowaniem.

- Przecież dziewczyna wprost zieje nienawiścią do Lankelli - przypomniał z przyganą w głosie. - A zresztą: jeśliby Kuurna rzeczywiście zakochał się w Kirsti Skrof, mógłby przecież z podniesionym czołem udać się do ciotki i wyłuszczyć jej sprawę. Wiadomo, czas się ustatkować i tak dalej. No i miał właściwe nazwisko

- Kurstróm. Jeżeli bardzo się nie mylę w ocenie melnato... meltano...

- Mentalności? - podpowiedziałem niecierpliwie, bo zdrowy rozsądek Palmu znów brał górę i trochę było mi wstyd z powodu swego wybuchu.

- Mentalności pani Skrof - podjął płynnie Palmu - to kobieta przyjęłaby barona Kurstróma z otwartymi ramionami jako idealnego kandydata na męża dla swej pasierbicy. Mniejsza o opinię, skoro i Lankella był brany pod uwagę. A Kuurna to przecież, jakkolwiek by patrzeć, prawdziwy baron Kurstróm, ona natomiast pochodziła ze zwykłych Langellów. Poza tym gdyby Kuurna był mordercą, nie trzymałby chyba tej fiołki z morfiną tak demonstracyjnie w szufladzie. Nie ulega wątpliwości, że ten chłopak ma najżywszy umysł ze wszystkich podejrzanych i tak dalej, lecz przecież jednocześnie ma nierówno pod sufitem. Widać to choćby po tych jego obrazach. Ponadto mimo jego oczywistych kłamstw odnoszę wrażenie, że ta dwójka to jednak naprawdę dobrzy przyjaciele. Pamiętasz chyba, jak panna Skrof wspomniała mimochodem, że Lankella wyłowił raz Kuurnę z wody...

- Otóż to! - przerwałem, niby triumfalnie. Co prawda, szykowałem już powoli odwrót na z góry upatrzone pozycje, przedtem jednak chciałem jeszcze wyłożyć na stół dwa psychologiczne asy. - Gdybyś znał trochę lepiej naukę psychologiczną...

- Dyrzymały! - przerwał mi niegrzecznie Palmu.

- To sam byś pojął - podjąłem niewzruszenie - że tu właśnie się kryje prawdziwy powód nienawiści. Kuurna to słabeusz i mikrus, więc ma z pewnością gigantyczny kompleks niższości. Inaczej nie wspominałby cały czas tych swoich praszczurów, nie chwaliłby się nimi i w ogóle tak by się nie zgrywał. Lankella wyciąga go z wody, Lankella wyciąga go w ogóle z każdej biedy, Lankella to szczyt męskości, Lankella jest powszechnie lubiany, podczas gdy jego wszyscy mają za błazna. Czy może więc dziwić, że z biegiem lat przyjaźń wyradza się w zawiść, w palącą nienawiść? Do diaska, Kuurna posunąłby się do morderstwa wyłącznie po to, by posłać Lankellę za kratki!

Palmu w zamyśleniu potarł brodę i upił koniaku z kieliszka.

- Ta teoria wcale nie jest taka głupia, jak by można sądzić po jej autorze - powiedział spokojnie. - W końcu ja też znam się trochę na ludziach i takie rzeczy istotnie czasem się zdarzają...

- Mieliśmy w klasie takiego chłopaka... - zacząłem z przejęciem, ale Palmu machnął ze złością ręką, żebym się zamknął.

- Tylko bez szkolnych wspomnień - ostrzegł. - Zapominasz jednak, że w takim wypadku Kuurna bez wątpienia zostawiłby kilka dużo bardziej oczywistych śladów. Ostatecznie fakt popełnienia morderstwa został odkryty niemal przez przypadek. Gdyby kto inny, a nie ja...

- Samochwała w kącie stała... - mruknąłem, ale Palmu, o dziwo, wcale się nie rozgniewał.

- Całą sprawę można by równie dobrze uznać za nieszczęśliwy wypadek - dokończył pokornie. - I o to niewątpliwie chodziło mordercy. Poza tym Kuurna zapowiedział, że jeżeli dojdzie do rozprawy, pod przysięgą potwierdzi alibi Lankelli. Mówił to zupełnie poważnie...

- Może chciał odegrać rolę poświęcającego się, szlachetnego zbawcy. To doskonale pasuje do kompleksu niższości. - Nagle w głowie zaświtał mi nowy pomysł. - Poza tym chyba zapominasz, że Kuurna zapowiedział tym samym, że potwierdzi także swoje alibi!

Palmu z podziwem pokiwał głową.

- Doskonale, chłopcze - pochwalił mnie. - Tylko dlaczego Kuurna miałby zabijać panią Skrof?

Tak oto, przegrywając kolejne małe potyczki, musiałem krok po kroku całkiem wycofać się z tej nieco żenującej propozycji. Ponieważ aby uznać Kurta Kuurnę za mordercę, musielibyśmy w istocie przyjąć, że jest wariatem. A przecież wcale nim nie był.

Ze zdumieniem spostrzegłem, że jest już godzina dwudziesta druga dwadzieścia pięć. Kuurny ciągle nie było. Zaczęło mnie męczyć niejasne przecucie, że stało się coś złego, a

wzmacniała je tylko osobliwa niepewność Palmu. Komisarz był już naprawdę mocno zaniepokojony.

- Lankella za kratkami - mruknął do siebie. - Panna Skrof we własnym mieszkaniu z przyjaciółką. Kuurna powinien był się tu zjawić już o dziesiątej, aby i jego można było wyeliminować. Boże uchowaj, jeżeli...

Przerwał w pół słowa, bo właśnie wniesiono raport z laboratorium medycyny sądowej. Zaczął czytać po łebkach. Wtem jego spojrzenie znieruchomiało i po chwili Palmu odłożył papier z wyrazem niejakiego zdumienia na twarzy.

- Dziwne - mruknął pod nosem. - Bardzo dziwne!

Więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć, bo właśnie wtedy do pokoju wszedł lekko zdyszany Kurt Kuurna.

- Mój chory stryj za nic nie chciał mnie puścić, lecz obowiązki nade wszystko - zagaił z typową dla siebie beztróską. - Dwa pracowite policyjne charty i tak dalej. Najlepszy druh w pierdlu, a na pociechę jedynie czyste sumienie.

Powiedziałem, że zagaił w typowy dla siebie sposób. A jednak w jego głosie wysłyszałem jakąś nową nutę. Jak gdyby przez ostatnie kilka godzin wyraźnie zmęźniał i dojrzał. Aresztowanie przyjaciela musiało nim wstrząsnąć. Nade wszystko jednak czaił się w nim jakiś niepokój czy napięcie, które siłą rzeczy zwracały na siebie uwagę.

- A zatem nie uwierzył pan Iiri Salmii - podjął z udaną lekkością. - Szkoda, bo to stara, zasłużona szkapą bojową. Oczywiście, że stara w porównaniu z nami, a nie z panem, panie komisarzu. Ma co prawda trochę za małe piersi, a do tańca maluje sobie nawet pępek, ale lubię ją, mimo wszystko lubię ją, i to bardzo...

Przez głowę przebiegła mi myśl, że Kuurna zakochał się w Salmii. Dwóch konkurentów, przemożna namiętność... Ale ten już dalej paplał, a przecież musiałem słuchać:

- Mam nadzieję, że jeszcze nie napuściliście prasy na biednego Kallego - zadrwił. - Byłoby wam potem cholernie głupio, gdybyście musieli go jednak wypuścić. Chwalić Boga, że Kirsti o niczym nie wie. Byłaby to dla niej ostatnia kropla goryczy. Wszyscy krewni i tak dalej. Ciotka na marach, jej bratanek za kratkami... Pewnie by się dziewczyna spaliła ze wstydu...

- Otóż panna Skrof wie o aresztowaniu Lankelli - zauważyłem uroczyście. - I nie powiem, aby nią to szczególnie wstrząsnęło. Zdaje się, że nie pałała aż tak wielkim uczuciem do pańskiego wspaniałego koleżki.

Na widok stężącej nagle twarzy Kuurny obaj z Palmu skoczyliśmy na równe nogi. Pociemniała z wściekłości, a w wykrzywionych ustach błysnęły zęby.

- Nie, to nie może być prawda! - krzyknął niemal na granicy szloch. - Panie komisarzu, niech pan powie, że nie pozwoliłby pan temu młodocianemu idiocie powiedzieć czegoś takiego?!

Jeżeli to zagrał, zrobił to doskonale. Powalająco wręcz. Policzki mi spłonęły i już miałem na końcu języka gniewną odpowiedź, lecz wystarczyło mi przelotne spojrzenie na komisarza, by słowa uwięzły mi w gardle. Poczuję się tak, jakby nagle ktoś nalał mi do serca płynnego ołowiu.

- Panie komisarzu, zapewne pana zainteresuje, że Kirsti Skrof zadzwoniła do mnie dziś wieczorem około godziny dziewiątej i poprosiła o tabletki nasenne - podjął Kuurna, siląc się na spokój. - Zawiozłem jej tabletkę morfiny. Pewnie panu nie wspomniałem, że zawsze noszę przy sobie drugą fiolkę w kieszeni kamizelki. Nie można przecież magazynować wszystkiego w jednej szufladzie.

Palmu nacisnął guzik i w korytarzu rozległ się przesywający dzwonek alarmu.

- Chciałem z nią porozmawiać, lecz szybko mnie splawiła - dodał jeszcze Kuurna, gdy zbiegaliśmy po schodach. - Do jasnej cholery, pozabijam was wszystkich, jeżeli się spóźnimy!

Policzki ciągle mi jeszcze pały i przyznam, że czułem się jak idiota. Czarna limuzyna pomknęła rozświetlonymi ulicami ku Nabrzeżnej. Kokki chciał włączyć syrenę, ale Palmu go powstrzymał i rzekł ze złością:

- Nie czas teraz na zabawy. Nie będziemy budzić całego miasta i ściągać znowu gapiów pod dom.

Muszę przyznać, że nie miałem najmniejszego pojęcia, czego się spodziewać. Pojmowałem tylko tyle, że Kuurna zjawił się u nas w pół do jedenastej zamiast o dziesiątej, a poza tym przeczuwałem, że dzieje się właśnie coś okropnego.

Wbiegliśmy na drugie piętro. Palmu uniósł klapkę skrzynki pocztowej w drzwiach i na klatce schodowej zaśmierdziało gazem. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Ledwo zdążyłem zarejestrować, że łańcuch nie był założony od środka, gdy zbitą gromadą wpadliśmy do sieni. Palmu pobiegł do kuchni zakręcić gaz, ja do pokoju pani Skrof otworzyć okna, Kuurna zaś do łóżka, w którym leżała w dziennym stroju nieprzytomna Kirsti Skrof. Smród gazu był duszący.

Pół minuty później, po chwili okropnego zamieszania, dziewczyna była już w policyjnym aucie i Kokki z wyjącą syreną odjechał pędem do szpitala. My we trzech zostaliśmy w mieszkaniu, Kuurna bowiem osunął się na kolana przy łóżku panny Skrof i wybuchnął płaczem. Chwyciłem go za kłapy i brutalnie postawiłem na nogi.

- To pan jej dał tabletkę morfiny! - rzuciłem z morderczym błyskiem w oku.

- Pa-panie ko-komisarzu - wyjąkał, a łzy ciekły mu po policzkach. - Prze-przepraszam za tę histerię, zaraz mi przejdzie. To idiotyzm z waszej strony zostawiać ją samą, kiedy morderca wciąż ma w kieszeni klucz od balkonu.

Bezczelność Kuurny nie znała granic. Naprawdę zaskoczyły mnie jednak dopiero słowa Palmu.

- Zarówno na ulicy przed kamienicą, jak i w podwórzu ustawiłem straż - odrzekł uprzejmym tonem. - Niech więc pan nawet nie próbuje nam wmawiać, że morderca zjawił się tu ponownie. Proszę łaskawie oddać mi ten list, który pan wziął ze stolika przy łóżku i schował do kieszeni.

Kuurna nieco zbladł i zeszywniał. Jednak jako człowiek inteligentny wiedział, że wypieranie się jest bezcelowe. Prychając, wyjął z kieszeni kopertę z napisem: „Dla pana komisarza F. Palmu” i rzucił ją na stół.

- Proszę bardzo, panie komisarzu - rzekł posepnie.

- Myśli pan pewnie teraz, jaki to z pana stary szczwany lis.

Palmu spokojnie schował list do kieszeni i powiedział:

- A teraz zamkniemy mieszkanie i przeniesiemy się do mojej skromnej kawalerki, gdzie sobie trochę pogadamy. Nie od dziś bowiem wiadomo, że kto pyta, nie błądzi. W rzeczy samej byłem dzisiaj w saunie, więc czeka tam na nas buteleczka koniaku. Muszę przyznać, że ta sprawa zaczyna mi już coś za bardzo zalatywać alkoholem, najwyraźniej jednak to prawda, że kto z kim przestaje, takim się staje, panie Kuurna.

A ja nadal jeszcze niczego nie pojmowałem.

- Chwalić Boga, że z dziewczyną wszystko w porządku - zagaił spokojnie Kuurna i pociągnął z kieliszka.

Rozsiadł się wygodnie w nadspodziewanie zbyt kownym fotelu przed ogniem trzaskającym w kominku. Wszystko niewątpliwie zostało zaaranżowane trochę powieściowo. Z takim napięciem oczekiwałem wyjaśnień, że nie zdążyłem się nawet rozejrzeć, a zrobiłbym to bardzo chętnie, gdyż nigdy wcześniej nie dostąpiłem zaszczytu postawienia stopy w mieszkaniu komisarza Palmu.

- Miejmy nadzieję, że sami się domyślą, iż trzeba jej zrobić płukanie żołądka - mruknął zgorzony Palmu. - Biedna dziewczyna jest kompletnie odurzona morfiną. Gazu na szczęście nie zdążyła się jeszcze za bardzo nałykać. Pan ją sprowadzi na złą drogę!

- Dałem jej tylko jedną tabletkę - wymruczał Kuurna tonem winowajcy

- A teraz przeczytam panu ten dokument - powiedział Palmu, po czym wepchnął gruby paluch w narożnik koperty i otworzywszy ją, wyciągnął dwie zapisane drobnym maczkiem kartki.

- „Drogi Panie Komisarzu! - zaczął i lekko się zaczerwienił, więc musiał odkaszlnąć, by ukryć zmieszanie. - *Poczuj Pan do mnie na pewno straszliwą odrazę, lecz nie upadłam jeszcze tak nisko, aby pozwolić niewinnej osobie cierpieć za moje własne przewiny. Nie pojmuję, jakim cudem Kaarle Lankella zdołał tak wszystko pokręcić, że w końcu Pan go aresztował, ale to zupełnie w jego stylu. Nie zniosłabym myśli, że ktoś taki jak on poświęca się niejako za mnie. Bo ja go nienawidzę! To najbrzydliwszy mężczyzna na całym świecie!*

Ale to nie on zamordował moją macochę. Ja to zrobiłam. Napisawszy te słowa, połykam właśnie otrzymaną od Kurta tabletkę morfiny i odkręcam kurek z gazem. To przerażająca myśl i bardzo się boję, zamierzam jednak zrobić wszystko dokładnie tak samo, jak to zrobiłam przedwczoraj wieczorem. Dopuszciam się bowiem rzeczy straszliwej i zasłużyłam na karę, lecz do więzienia iść nie mogę.

Aby mi Pan uwierzył, Panie Komisarzu, że to właśnie ja, opowiem teraz Panu po kolei, jak się to wszystko odbyło. Ciotka Skrofowa już w ciągu dnia zapowiedziała mi, że mam poślubić Kaarlego. Wtedy zrozumiałam, że będę musiała ją zabić, bo inaczej unieszczęśliwiłaby mnie do końca życia. Od koleżanki, panny Pihlai, przyniosłam tabletkę morfiny i wsadziłam ją do fiolki w miejsce pierwszej od góry tabletki pantofonu. Potem wyjęłam ukradkiem klucz z drzwi balkonowych, a z kuchni klucz od strychu.

Aha, oczywiście panna Pihlaja zaprzeczy, jakoby mi cokolwiek dawała, ale to na pewno dlatego, że straciłaby od razu pracę, gdyby się przyznała do kradzieży morfiny ze szpitala. Chce mi się płakać na myśl, ile przykrości przysparzam zupełnie niewinnym osobom.

Na pewno Pan tego nie spostrzegł, ale nie miałam własnego klucza od drzwi wejściowych na dole, bo ciotka nie chciała mi go nigdy dać, abym nie przychodziła zbyt późno do domu. Między innymi z tego powodu tak bardzo jej nienawidziłam. Musiałam więc zakraść się do klatki schodowej jeszcze przed zamknięciem drzwi, ale zobaczył mnie dozorca, i to nie było dobre. Pożyczałam kiedyś od wujka Lannego powieści detektywistyczne i wiedziałam, że muszę mieć rękawiczki i tak dalej. Usłyszałam przez drzwi mieszkania, że ciotka kładzie się spać, więc poczekałam na strychu, aż zaśnie. Wtedy otworzyłam zasuwę świetlika i wyszłam na dach, a latem zawsze chodzę w pepegach, co każdy Panu chętnie potwierdzi, Panie Komisarzu. Założyłam je, bo nie chciałam się poślizgnąć na dachu, ale nie pomyślałam, że gumowe podeszwy zostawiają wyraźniejsze ślady. Kiedy byłam mała, weszłam raz z balkonu na dach, tak, że znałam drogę, ale wtedy ciotka okropnie się na mnie wściekła, bo bała się, że

spadnę. Kiedy o tym myślę, to jest mi strasznie przykro, bo ciotka chyba mnie jednak trochę lubiła. Ja jednak byłam strasznie rozgoryczona i zła na nią.

Myślałam, że Baron mnie wpuści, bo przecież mnie znał, ale on się przestraszył i zaczął szczekać, więc musiałam złapać go za gardło, a wtedy ugryzł mnie w nadgarstek. Z tej rany kapnęła mi potem krew na dachu. Tak skończył Baron. Nie wiedziałam, że ciotka ma w szufladzie tyle pieniędzy, bo pewnie bym je wzięła. Kiedy wieczorem odgrzewała sobie owsiankę, trochę jej wykipiało - wystarczyło tylko odkręcić kurek z gazem. Potem zamknęłam od zewnątrz na klucz drzwi balkonowe i wepchnęłam w dziurkę trochę waty. Panna Pihlaja, kiedy ma pieniądze, chodzi czasem na kolację do restauracji w hotelu Helsinki. Paliliśmy u niej papierosy i zapalki zostały w mojej kieszeni. Wtedy pewnie jedna mi upadła, kiedy wsuwałam watę w dziurkę od klucza.

Ale bałam się już tak strasznie, że cała się trzęsłam i o mały włos nie zjechałam z dachu. Bałam się też wracać na ciemny strych, więc zaczęłam schodzić po drabince, lecz w połowie drogi mi się przypomniało, że nie wydostanę się z podwórza, bo nie mam klucza od klatki. Tak mi się wszystko mąciło w głowie. Dlatego musiałam wejść z powrotem na strych, zamknąć świetlik na zasuwę i zamknąć drzwi. Kiedy wychodziłam na ulicę, nikt mnie nie widział. Potem w Kaivopuisto wyrzuciłam tenisówki do morza i długo spacerowałam, aby panna Pihlaja niczego po mnie nie zauważyła. Ale klucz od balkonu zamierzałam wsadzić z powrotem w drzwi, aby nikt się nie połapał, bo sądziłam, że sprawa wyjdzie na jaw dopiero po moim powrocie do domu następnego dnia. Nie przypuszczałam, że aż tyle gazu wydostanie się na klatkę schodową. Ale wszystko się już wydało. Panie Komisarzu, miałam ten klucz od balkonu w torebce, kiedy mnie Pan przesłuchiwał. I co, dobra ze mnie aktorka, prawda? Wyrzuciłam go zaraz potem, przy pierwszej okazji.

Właśnie umieram, Panie Komisarzu. Kiedy będzie Pan czytał te słowa, będę już martwa. Jestem bardzo złą dziewczyną i trochę chce mi się teraz płakać. Był Pan dla mnie bardzo uprzejmy i pewnie tym poruszył Pan we mnie sumienie. Serce mi już pęka, ale proszę zaraz uwolnić Kaarlego Lankellę i powiedzieć mu, że nienawidzę go i że brzydzę się nim tak bardzo, że za nic nie chcę, aby trafił do więzienia za moją zbrodnię. Nie miałabym też żadnej radości z tych pieniędzy, bo zawsze musiałabym myśleć tylko o tym. Właśnie odkręcam kurek z gazem. Proszę nie wspominać mnie źle, Panie Komisarzu. I niech Pan poprosi kogoś, aby się za mnie modlił, bo się boję, tak okropnie się boję.

Z poważaniem, Kirsti Skrof”.

- No i to by było na tyle - skwitował spokojnie Palmu.

Obciął cygaro i zapalił, nie patrząc na nas.

Serce miałem ciężkie jak głaz. Próbowałem sobie wyobrazić ostatnie chwile tej nieszczęśliwej, zbłąkanej dziewczyny, nim znalazła wreszcie ukojenie w zbawczym morfinowym śnie. Co prawda, panna Skrof przeżyła, lecz ciężkie myśli nadal gniotły mi serce. Nie byłem nawet na nią zły, że w Savoyu zadrwiła sobie ze mnie. Moja gorycz nie była już taka straszna, gdy pomyślałem, że od stolika z różami powędruje teraz prościutko za kratki.

Zapaliwszy cygaro, Palmu rzucił mi karcące, smętne spojrzenie i kręcąc głową, powiedział smutnym głosem:

- Zawsze wiedziałem, że jesteś głupi. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że aż tak bardzo.

Te słowa skierował do mnie.

Mogłem tylko siedzieć i gapić się przed siebie. Instyktownie uszczypnąłem się w rękę, aby się upewnić, czy czasem nie śnię. Bo to wszystko stawało się dla mnie już nazbyt absurdalne.

Czyżby tylko wypociny rozhisteryzowanej dziewczynki? • Miłość czyni cuda, a ja staję się mizoginem. • Blady anioł w szpitalnym łóżku i Kaarle Lankella, który schodzi ze zlej drogi. Nabożny pomysł wykończenia kaznodziei Mustapaa. • Komisarz Palmu postanawia zacząć wszystko od końca, autor książki zaś apeluje do czytelnika.

Nawet Kuurna spojrział na mnie z niejakim politowaniem.

- Naprawdę chcą mi panowie powiedzieć - zapytał z niedowierzaniem w głosie - że te wypociny rozhisteryzowanej dziewczynki panów przekonały?

Wiem, że spłonąłem rumieńcem. Wciąż jeszcze nie odzyskałem rezonu.

- Przecież ta biedna dziewczyna jest do szaleństwa zakochana w Lankelli - powiedział Kuurna. - Powinien pan był to spostrzec już na samym początku!

Nagle rozjaśniło mi się w głowie. Zawstydziłem się tak bardzo, że jeszcze trochę, a wyskoczyłbym przez okno. Wszystkie te dziewczęce zapewnienia, że nienawidzi Lankelli, i zazdrość, jaką okazała u mecenasa Lannego, wspominając Iiri Salmię... Przecież tak właśnie reaguje dziewczyna, której miłość własna została zraniona, a rozwój emocjonalny zatrzymał się na poziomie szkoły podstawowej... Zraniona, bo Lankella w ogóle się nią nie interesował.

Dziewczyna jednak pokazała wielkość. Ukoronowała swą miłość gotowością poświęcenia życia za Kaarlego Lankellę, który w rzeczywistości wcale na to nie zasługiwał. Bo to jednak on był mordercą i już nic nie mogło tego zmienić. Kochać nadal kogoś takiego mogła tylko rozhisteryzowana dziewczynka doprowadzona na skraj załamania nerwowego.

- Wiele potrafię zrozumieć - odezwał się Palmu z irytującą łagodnością - nie pojmuję jednak, jak ci się udało powiedzieć jej wszystko? Prawdziwe z ciebie sito, mój chłopcze. Jak ty w ogóle zdążyłeś aż tyle z siebie wycisnąć? Teraz każdy najdrobniejszy szczegół pasuje do tej łamigłówki tak dobrze, że nie zdołasz wyciągnąć dziewczyny z pętli. Myślałem, że zachowasz dla siebie choćby jeden drobny szczegół, aby w tym wyznaniu została jakaś luka. Ale nie, wszystko pasuje jak ulał.

Przeraziłem się i palnąłem dłonią w czoło. Komisarz miał rację. Dziewczyny już nic nie mogło uratować. Sama założyła sobie pętlę na szyję.

- Ale to przecież... przecież to Lankella jest winny - wyjąkałem. - Przecież został zidentyfikowany.

- Dyrzymały! - prychnął obcesowo Palmu. - Lankella jest teraz biały jak gołąbek. Tuż przed naszym pospiesznym wyjazdem... Do diaska, zasłużyłem na cięgi, bo choć się domyśliłem, że dziewczyna w końcu się przyzna, to nie sądziłem jednak, że odkręci kurek z gazem. Mogła przecież napisać ten list z zagranicy albo jakoś inaczej się zabezpieczyć. Sumienna dziewczyna, a jaka fantazja! Mogłaby śmiało zostać pisarką: „o mały włos nie zjechałam z dachu”. Nie pojmuję tylko, jak ona może być tak szaleńczo zakochana w tak upartym, głupim baranie jak Kaarle Lankella.

- Ale co miałeś o nim powiedzieć? - zapytałem zdenerwowany.

- Tuż przed naszym wyjazdem dostałem raport z wydziału medycyny sądowej. W laboratorium można ustalić grupę krwi nawet wówczas, gdy próbka jest zaschnięta. Słyszałeś pewnie o ustalaniu ojcostwa i tym podobnych zabiegach w rozprawach alimentacyjnych i wiesz, że krew dziecka należy do tej samej grupy, co krew ojca. I choć fakt, że dziecko i domniemany ojciec mają identyczną krew, niczego jeszcze nie dowodzi, to domniemany ojciec zostaje natychmiast oczyszczony z podejrzeń, jeżeli tylko jego krew należy do innej grupy niż krew dziecka. Dlatego też kazałem pobrać krew Lankelli. Podobno bardzo się opierał. No i okazuje się, na szczęście, że ma inną krew niż morderca. To prawdziwy uśmiech losu, że morderca zostawił nam na dachu ów skromny bilet wizytowy.

Na twarzy Kuurny pojawił się wymęczony uśmiech.

- Nie jest pan chyba na tyle bezmyślny, żeby pozwolić Lankelli wyfrunąć i oskarżyć tę biedną dziewczynę wyłącznie na podstawie jednego historycznego listu? Niechże pan nie będzie śmieszny, panie komisarzu!

- A kto zdoła udowodnić, że dziewczyna nie zabiła? - zapytał niewinnie komisarz. - Próba popełnienia samobójstwa po przyznaniu się do winy to bardzo poważna sprawa, a mój młody przyjaciel wykonał, niestety, nader sumienną pracę. Wszystko się zgadza, do ostatniego szczegółu.

Kuurna trochę pobladł i zacisnął zęby, ja natomiast byłem spokojny, bo po tonie głosu komisarza poznałem, że ma jeszcze w zanadrzu jakiegoś tuza.

- Spotykałem w towarzystwie wielu kompletnych idiotów i kretyńców, ale ten bije ich wszystkich na głowę... - zaczął Kuurna, wskazując na mnie, przerwałem mu jednak:

- Na Boga, przecież zidentyfikowaliśmy Lankellę! - rzuciłem niemal rozpaczliwie. - Ten kadet go rozpoznał!

- Owszem, on jako jedyny wydał mu się znajomy z całej grupy - przyznał nieco ironicznie Palmu. - Innymi słowy, gdyby Lankella nie był w ciemnych okularach i nie miał kapelusza nasuniętego głęboko na oczy, nasz kadet od razu rozpoznałby w nim widzianego na

fotografii w prasie lub nawet na własne oczy lotnika amatora Kaarlego Lankellę. Dostrzegł znajomą postać i nałożył ją automatycznie na obraz zapamiętany z poprzedniej nocy.

- A zatem - zacząłem odzyskiwać zdolność logicznego myślenia - to nie Lankella w noc zbrodni wyszedł z tej bramy i to nie było jego auto.

- Nie - zgodził się łagodnie Palmu. - Żaden świadek nie miał wystarczającej pewności co do numerów na tablicy rejestracyjnej tego samochodu i jeśli przejrzymy wszystkie auta sportowe zarejestrowane w Helsinkach, być może natrafimy na osobę, która akurat wtedy miała coś do załatwienia właśnie w tamtej kamienicy na Marynarskiej. Mieszka w niej sporo ludzi, a poza tym kadet i jego dziewczyna się całowali.

- Jedyne, co mnie w tym wszystkim cieszy - powiedziałem triumfalnie - to fakt, że jednak będziesz musiał dać wiarę słowom Iiri Salmii. Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczyło.

- Przyznaję - odrzekł Palmu pokornie - że ta sprawa zmusiła mnie do zdecydowanej zmiany stosunku do kobiet. Choć prawdę mówiąc, wcześniej też nie byłem żadnym migo... mizy...

- Mizoginem - dopomogłem mu, aby nie stracił wątku. Na twarzy Kuurny, rozjaśnionej ogniem palającym w kominku, pojawił się słaby uśmiech.

- Niemniej rzeczywiście miałem bardzo złe zdanie o tancerkach - dokończył myśl Palmu. - Teraz jednak jej wierzę i przepraszam. A pan, panie Kuurna, oczywiście wiedział, że historia o niewidomym mężu i jasnowłosym synku jest prawdziwa. Dlatego pewnie był pan tak święcie przekonany o niewinności Lankelli.

- Przyznaję, że nie mogłem się doczekać, kiedy przyjdzie do pana jeden z tych pańskich ogarów i z mordą spuszczoną na kwintę wyzna, że wszystko, co Iiri Salmia powiedziała wam o swojej rodzinie, jest najczystsza prawda - zgodził się chętnie Kuurna. - Mam ciągoty do teatru.

- Wobec tego dlaczego, do diabła, tak nachalnie dawał mi pan do zrozumienia, że ona mówi prawdę? - zachnął się Palmu. - Niech mnie kule biją, przecież tak najłatwiej wzbudzić we mnie podejrzenia, że Salmia kłamie!

- Moje umiłowanie prawdy jest wręcz legendarne - odrzekł obłudnie Kuurna. - Czasem tylko lubię odwrócić kota ogonem, lecz proszę nie mieć mi tego za złe. Ale z innej beczki, panie komisarzu: chyba wreszcie pan pojmuję, że Iiri Salmia i Lankella tamtej nocy dosłownie się pożarli, bo zdesperowana dziewczyna w końcu ugryzła chłopaka w rękę, i to całkiem porządnie. Zresztą to mu się należało, bo kiedy się wścieka, potrafi być brutalem.

Siedziałem w milczeniu, bo prawdę mówiąc, nie miałem nic więcej do dodania. Palmu zamyślił się na chwilę, jak gdyby się zastanawiał, jaką armatę wytoczyć.

- A pan, do diaska, w jakiego donkujota się bawił, kiedy próbował schować do kieszeni list dziewczyny? - rzucił nagle ostro.

Kuurna zrobił zdumioną minę.

- Chodzi mu o Don Kiszota - uznałem za konieczne wyjaśnić.

Twarz mu się rozjaśniła i trzeba mu poczytać za duży plus, że jednak się nie roześmiał, choć miał do tego dobry powód.

- Za cholerę nie mogłem dopuścić, aby oskarżył pan tę dziewczynę o morderstwo na podstawie tak głupiego listu - odrzekł otwarcie Kuurna. - Natura się we mnie zbuntowała i tak dalej. Od lat wiem, że ona się kocha w Lankelli i świata poza nim nie widzi. A tak na marginesie: jak zamierza pan teraz rozciąć ten węzeł gordyjski, w który ją zawiązał pański niedorozwinięty kolega?

Była to kolejna aluzja do mnie, ale się nie obraziłem, bo rzeczywiście gryzło mnie sumienie. Zawstydzilem się na myśl, jak przebiegle dziewczyna wykorzystała moją miłość własną i wyciągnęła ze mnie w Savoyu wszystkie niezbędne szczegóły. Dała mi niezłą nauzkę.

- To nie jest mój kolega, lecz podwładny - sprostował Palmu z godnością, gdy już otwierałem usta, aby powiedzieć, że w każdym razie ja na pewno straciłem przez tę sprawę całą wiarę w kobiety. - Ale mniejsza z tym. Dziewczyna pomyliła się co do jednego bardzo istotnego szczegółu, o którym, dzięki Bogu, obecny tu mój młody kolega nie miał pojęcia.

W tym momencie musiałem wyglądać jak jeden wielki znak zapytania.

- Było bowiem tak, że kaznodzieja Mustapaa nie dostał tych dwustu tysięcy marek od pani Skrof - powiedział Palmu, wyraźnie napawając się moim przejęciem. - I możemy to udowodnić. Zdaje się, że Zgromadzenie Betlejem w końcu przejrzało na oczy i wynajęło tajnego detektywa, ten zaś od dwóch dni depta po piętach i zbiera materiały obciążające, które mają dać władzom zgromadzenia podstawy do usunięcia go ze stanowiska. I rzeczywiście, tamtego wieczoru pan Mustapaa jeszcze raz przekreślił dzwonek u drzwi mieszkania pani Skrof, ale już w progu dostał tak siarczystą odprawę, że słyhać ją było na samym dole, gdzie taktownie czekał na pana kaznodzieję jego cień. A że wkrótce zaczął deptać mu po piętach także jeden z naszych chłopców, oba cienie pana Mustapaa szybko się spotkały i chętnie wymienili spostrzeżeniami. Tak więc...

- Tak więc kaznodzieja Mustapaa musiał w nocy zabrać pieniądze z szuflady pani Skrof, skoro teraz znajdują się w jego posiadaniu - uzupełniłem podekscytowanym głosem. -

Z czego wynika, że panna Skrof jest niewinna, a dodatkowo - że mordercą jest Mustapaa. Bo chyba nie wszedł do mieszkania pani Skrof w masce gazowej - zażartowałem jeszcze, gdyż kamień spadł mi z serca, choć jednocześnie znów poczułem się jak skończony idiota. - Oczywiście został już aresztowany?

- Zgadnij - odrzekł równie żartobliwie Palmu. Po chwili wstał i spojrzął na zegarek. - Chyba już czas do łóżek, chłopcy.

Także w tym momencie ta sprawa mogła się zakończyć. Niestety, tak się nie stało...

Gdy następnego dnia rano weszliśmy do pokoju Kirsti Skrof, w szpitalnej pościeli wyglądała jak blady, wymęczony anioł. Nieśmiało uśmiechnęła się do komisarza, chociaż oczy miała ciemne i wystraszone.

- Uważa mnie pan na pewno za potwora, panie komisarzu - zaczęła zgnębnym głosem. - Och, dlaczego nie pozwolił mi pan umrzeć? Nie zniosę takiego wstydu.

- Jest pani niemądra, rozbrykaną dziewczuchą i rzeczywiście zasłużyła na różgę - zaczął ją strofować Palmu. - Stojący tu przed panią stary policyjny głupol o mało nie dostał zawału od tego wszystkiego. Tak bardzo się przestraszyłem... Ale chwalić Boga, zdążyliśmy na czas. A jeżeli pani myśli, że uwierzę choćby w jedno słowo z tego głupiego listu, to należą się pani podwójne cięgi.

Dziewczyna spłoszyła i otworzyła szeroko oczy.

- To pan nie wypuści Kaarlego? - zapytała przerażonym głosem. Palmu nie zamierzał jej dłużej dręczyć.

- Oczywiście, że go wypuścimy, już to zrobiliśmy, drogie, głupiutkie dziecko - odpowiedział. - I wcale nie przez ten pani list, lecz z tego prostego powodu, że jest niewinny. Zdobyliśmy dowód, że nie mógł tego zrobić, ale więcej nie mogę pani powiedzieć. Ten tu młody a głupi goliat i tak już wyśpiewał pani zdecydowanie za dużo o metodach pracy policji. Zasłużył sobie na areszt. Najchętniej też pottrzymałbym tam trochę dłużej tego pani mrukliwego junaka, panno Skrof. To by mu naprawdę dobrze zrobiło.

Przekomarzał się tak z nią dobrodusznie, by dać biednej dziewczynie czas na otrząśnięcie się z przygnębienia. Nietrudno było spostrzec, z jak ogromną ulgą przyjęła informację o niewinności Lankelli. Bo przecież drażyło ją bezustannie straszliwe podejrzenie.

- Ja... ja nie wierzyłam, że Kaarle może być taki - wyszeptła z oczami pełnymi łez. - Ten głupi, złośliwy, okropny chłopak może zrobić każdą inną głupotę, ale on nigdy nie będzie mordercą. To był jakiś straszliwy błąd, domyśliłam się tego, ale skoro już go aresztowaliście, a o policji mówi się tyle złych rzeczy...

Zamilkła zażenowana. Palmu trochę poczerwieniał, ale się nie zezłościł.

- Zasluzujemy na to, aby mówić o nas źle - przyznał skruszony. - Ciagle jeszcze czuje, że moglbym dac sobie kopa w tyłek, kiedy pomysle, ze mogla pani umrzec... pani, taka mala, kochana kruszynka. Ale zeby tak okropnie klamac... - co mowiac, ponownie spowaznial. - Myslamem, ze moje stare serce peknie z bolu, kiedy sie zorientowalem, jak okropnie pani klamie, choc zaczela pani swój list tak pieknie.

- Potrafile pisać - rzekla dziewczyna z dumą w głosie. - Maturalny egzamin pisemny zdalam celujaco.

- A wszystko przez tego glupiego, zlosliwego, okropnego chlopaka... - zadumal sie Palmu z niewinnie przekrzywiona glową.

Na bladej twarzy dziewczyny rozlal sie ciemny pas i splynal az na szyje. Ukryla twarz w poscieli i komisarz uznal, ze najlepiej juz wpuscic do srodka owego glupiego, zlosliwego i okropnego chlopaka. Na jego widok panna Skrof krzyknela z przerazeniem i machnela ręką, jak gdyby chciala wygnac go z pokoju.

- Kirsti! - rzucil ze zloscia Kaarle Lankella. - Jak moglas posunac sie do czegoś takiego i robic takie glupstwa z mojego powodu?!

- Jesteś obrzydliwym rozpustnikiem i nienawidzę cię! - wypalila dziewczyna glucho, wpatrzona w jego szczerą, opalona twarz jak w obrazek. - Szkoda, ze nie zgniles za kratami - syknela po chwili bezlitośnie.

Kaarle Lankella nie wiedzial, jak sie zachowac. Przygryzl warge i najwyrazniej zmagal sie ze soba.

- Dlaczego zawsze bylś wobec mnie taka wstretna, Kirsti? - zaczal. - Dlaczego zawsze traktowalś mnie jak... jak jakiegoś smiecia? Szydzilś z mojego latania. Gdy wchodzę do pokoju, ty dumnie odwracasz głowę. I... i...

- A ta tancerka? - zapytala mściwie Kirsti Skrof i usiadla na łozku. - Ta... ta grubokoscista, stara... stara szantrapa?

- Wstyd mi - powiedzial Kaarle Lankella, ciemniejac na twarzy. - Wstyd mi tak bardzo, ze nigdy nie zdołam tego odpokutowac. Ale zapewniam cię, ze między nami do niczego nie doszlo. Na chwile stracilem rozum, lecz potem oczy mi sie otwaryl. To byla zla kobieta, Kirsti. Myslala tylko o tym, aby mnie wykorzystac. Powiedziala, ze interesuje ja tylko bogaty kochanek! I... i wtedy ja u-uderzyłem...

- Przywaliles jej? - podchwycila Kirsti Skrof z blyskiem radości w oku. - Tak porzadnie, ze az cię zabolalo?

- Tak porzadnie, ze az mnie zabolalo - przyznal mlody Lankella, rozmasowujac za plecami bolesny slad po zebach u nasady kciuka. - I... i... wolalem zawisnac na szubienicy,

niż powiedzieć, że tamtej nocy byłem w jej po-pokoju. Żebyś ty się nigdy o tym nie dowiedziała!

Kobiety są niekonsekwentne i nielogiczne, ale czasem zdarza się to też mężczyznom.

- Powtórz teraz za mną - zażądała Kirsti Skrof z nienasyconą jeszcze żądzą zemsty w głosie - Iiri Salmia to stara, obleśna wampirzyca!

- Iiri Salmia to stara, obleśna wampirzyca - powtórzył mężczyzna, który jeszcze dwa dni wcześniej był gotów uciec z ową wampirzycą za granicę, aby nie musieć się żenić z pasierbicą swojej ciotki.

- Obrzydliwa stara wampirzyca! - powtórzyła dobitnie i z lubością Kirsti Skrof. - Tylko pomyśl - podjęła nieśmiało po chwili milczenia. - Gdyby ciotka nie umarła, nigdy byśmy się nie odnaleźli. Czyż to nie zdumiewające?

Palmu dał mi znak i wyszliśmy z pokoju, głośno szurając i trzaskając drzwiami. Ale młodzi nie zauważyli naszego wyjścia. Patrzyli sobie w oczy jak para niedorozwiniętych dzieci. Doprawdy zdumiewające!

Szliśmy razem ze Szpitala Czerwonego Krzyża w stronę miasta, komisarz Palmu i ja. Wiosenne słońce świeciło bardzo jasno i taki też miałem umysł: jasny i promienny, jak zawsze po dobrze wykonanej pracy. Uznałem, że tym razem nie warto wspominać o taksówkach, i tym tłumaczyłem sobie refleksyjny nastrój, jaki opanował komisarza.

- Chłopcy przeprowadzili wreszcie gruntowną rewizję w mieszkaniu pana kaznodziei - odezwał się po chwili i rzucił mi spode łba bardzo osobliwe spojrzenie. - Zobacz tylko, co u niego znaleźli.

Wyciągnął z kieszeni pogniecioną, dość dużą kopertę. Została zaadresowana drżąca kobiecą dłonią do P.G. Mustapaa, a ze stempla na znaczku wynikało, że poczta przyjęła list w dniu odkrycia morderstwa o godzinie szóstej rano.

- No i? - zapytałem, niczego nie przeczuwając.

- Po długich wykrętach i ceregielach - odpowiedział Palmu bardzo poważnie - przyznał się wreszcie pan Mustapaa, że dostał te dwieście tysięcy marek pocztą tego samego ranka, kiedy myśmy się zorientowali, że popełniono morderstwo. Podobno w liście poza plikiem banknotów nie było ani słowa wyjaśnienia, lecz adres i nazwisko na kopercie zostały skreślone ręką pani Skrof. Na tej podstawie ów oszust twierdzi, że bez względu na wszystko, pieniądze są jego. Poprzedniego dnia wieczorem kobieta faktycznie nie chciała już z nim rozmawiać i dlatego napisał do niej list z wyjaśnieniami, który minął się po drodze z listem od pani Skrof. Mustapaa podobno zupełnie wprost przyznał się do kilku godnych ubolewania postępów i dlatego tak bardzo mu zależało, aby jak najszybciej odzyskać list.

- Pismo pani Skrof zostało oczywiście podrobione - rzuciłem pogardliwie. - Mustapaa sam wypisał swój adres na kopercie i nadał list na poczcie dla zmylenia tropu. Pamiętasz przecież tę przebitkę atramentu na bibule, którą Kokki znalazł na biurku pani Skrof.

- Hm - mruknął Palmu i zamyślił się. - Nasi specjaliści od pisma odręcznego orzekli jednak, że to pismo kobiety.

- No, w takim razie może pani Skrof rzeczywiście do niego napisała. Może chciała jeszcze raz go obsztorcować albo coś takiego - rzuciłem, nie pojmując, do czego pije Palmu.

- Skrzynki pocztowe w tamtych rewirach opróżnia się po raz ostatni o godzinie dwudziestej trzeciej - rzekł komisarz irytująco powoli. - A zatem pani Skrof w żadnym wypadku nie mogła nadać tego listu osobiście. Zrobił to morderca.

- Mustapaa zobaczył na stole gotowy list, był zaadresowany do niego, więc zabrał go ze sobą i nadał na poczcie, aby zmylić trop - cierpliwie powtórzyłem swoją wersję. Po raz pierwszy zaświtała mi w głowie myśl, że mózg starego Palmu mimo wszystko jest trochę... ospały.

Szliśmy w milczeniu. Palmu znów rzucił mi spode łba nadzwyczaj osobliwe spojrzenie.

- Chyba zapomniałem ci wczoraj powiedzieć - odezwał się bardzo łagodnie - że ten sam prywatny detektyw, który przez cały dzień poprzedzający noc zbrodni nie odstępował kaznodziei na krok, śledził go również wieczorem, kiedy Mustapaa po nieudanej próbie rozmówienia się z panią Skrof wrócił do siebie. Mniej więcej kwadrans po dziesiątej pan kaznodzieja ponownie pokazał się na ulicy i poszedł do skrzynki pocztowej z jakimś listem, co nam zresztą później sam z tak rozbijającą szczerością wyjawiał. Następnie wrócił do klatki i pojechał windą do znanej nam już kobiety. Detektyw potwierdził, że Mustapaa przebywał u niej aż do wpół do drugiej w nocy, kiedy to, lekko trącony czymś mocniejszym, w doskonałym nastroju zszedł do siebie na parter.

- Ale to przecież niemożliwe - wyjąkałem.

Nagle wszystko mi się zaważyło.

- Traf chciał, że alibi pana kaznodziei Mustapaa jest prawdziwe - podjął Palmu spokojnie i rzeczowo. - A zatem nasuwa się logiczny wniosek, że morderca znalazł u pani Skrof list zaadresowany do pana Mustapaa, który zniszczył. Kopertę natomiast zachował i wsadził do niej gruby plik banknotów wyjęty z szuflady biurka, po czym wysłał grzecznie pieniądze panu kaznodziei. Pewnie potrafisz sobie wyobrazić, jak ten się musiał zdziwić, kiedy rano z okienka pocztowego w drzwiach spadła mu na dywan z tłustym pomlaskiem koperta pełna tysiącmarkowych banknotów. To całkiem gruby plik, ale morderca był

przewidujący - opatrzył kopertę wystarczającą liczbą znaczków i pan kaznodzieja nie musiał dopłacać listonoszowi ani grosza.

- I twierdzisz, że to wszystko tak się właśnie odbyło? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Niestety - potwierdził Palmu z niezmaconym spokojem. Ja na jego miejscu rwałbym włosy z głowy i pieniał się z wściekłości. - Mustapaa zważał, że coś jest nie tak, i rano wybrał się z wizytą do pani Skrof. Ale ponieważ w nocy oddawał się intensywnym ćwiczeniom duchowym, przeto trochę zasnął, no i przegapił początek zabawy. Miał jednak cholerny fart i dzięki twojej niewiarygodnej głupocie i niedbalstwu zdołał wydostać swój list ze skrzynki w drzwiach i dać nogę, by w spokoju przemyśleć sprawę. Oczywiście od razu zrozumiał, że to morderca musiał mu wysłać pieniądze. Pani Skrof nigdy by tego nie zrobiła. Dlatego wiedział, że została zamordowana. Ale tak się nieprzyjemnie złożyło, że kobieta podjęła te pieniądze z banku, gdzie wypłacono jej całą sumę w nowych tysiącmarkowych banknotach o kolejnych numerach. Wprowadzenie takich pieniędzy w obieg bez żadnych wyjaśnień byłoby zbyt niebezpieczne, ponieważ numery na banknotach szybko doprowadziłyby nas do tego, kto nimi płacił. No więc pan kaznodzieja miał naprawdę twardy orzech do zgryzienia i szczerze mu współczuję. W końcu jednak wysmażył całkiem wiarygodną historyjkę i z miną niewiniątka przyszedł nam ją zaserwować. Najbardziej pomogło mu to, że kiedy wieczorem wracał z ostatniego, nieudanego spotkania z panią Skrof, w wejściu do klatki schodowej minął się z panią Hallamaa. W ogóle trochę za bardzo mu szczęście sprzyjało, jak niestety bardzo wielu złym ludziom. Jednak na wszelki wypadek zachował tę kopertę, choć i on był przekonany, że charakter pisma pani Skrof podrobił morderca. Miała stanowić niejako dowód jego niewinności. Szczęście sprzyja mu tak bardzo, że pieniądze faktycznie będą jego dopóty, dopóki nie udowodnimy, że to nie pani Skrof mu je wysłała. A bardzo ich teraz potrzebuje, bo po zeznaniach owego prywatnego detektywa pana Mustapaa wyrzucono właśnie ze Zgromadzenia Betlejem za złe prowadzenie się. Wczoraj wieczorem odbyło się nadzwyczajne posiedzenie zarządu.

- Chociaż coś dobrego z tej całej historii - skwitowałem zgnębiony.

- Wydaje się, że w łonie zgromadzenia już od pewnego czasu toczyła się walka o władzę - stwierdził świątobliwie Palmu. - Na horyzoncie pojawił się nowy kaznodzieja w luksusowej oprawie i betlejemowcy wychwalali go na wyścigi, jeden przez drugiego. Pani Skrof była jedną z ostatnich popleczniczek pana Mustapaa, lecz w końcu ona również przejrzała na oczy. Cała ta sprawa tak diabelnie jej obmierzała, że postanowiła się wycofać z tego bałaganu. Ja zresztą też nie darzę wielką sympatią neofitów i świętoszków.

Spodziewał się pewnie, że o coś zapytam, jednak byłem tak rozgoryczony, że przyszłość Zgromadzenia Betlejem nie interesowała mnie ani trochę. Palmu podjął więc po chwili, jak gdyby mówił do siebie:

- Dziś wczesnie rano spotkałem się z tymczasowym prezesem zgromadzenia. Niemal podniosłem go z klęcznika. Szkoda, że nie widziałeś jego miny, kiedy mu powiedziałem, jak wielką głupotę zrobili, że potwierdzili alibi pana Mustapaa w najmniej stosownym momencie. Teraz pan kaznodzieja straci wyłącznie dobrze płatną posadę, gdyby jednak ten ich przekłety tajniak nie łąził za nim jak cień, nie ulega wątpliwości, że Mustapaa dostałby najmniej dziesięć lat liczenia cegieł w ścianie celi. A ja już postarałbym się o to, aby mu w twierdzy czas za szybko nie płynął. Spróbuj zgadnąć, co ten cuchnący skunks, ten... tymczasowy prezes ośmielił się zaproponować?

Nie miałem ochoty na zgadywanki. Chwila była zbyt ciężka.

- Zaproponował mianowicie, że cofną naszemu kaznodziei wypowiedzenie - kontynuował Palmu - a następnie zapłacą temu swojemu detektywowi za nabranie wody w usta, abym mógł zaarrestować Mustapaa za zamordowanie pani Skrof. Nieważne, z jakiej koperty, ale toto ma teraz jej pieniądze i nawet największy as helsińskiej palestry nie zdołałby wyciągnąć tego kundla wyłącznie na podstawie zeznania siostry morfinistki. Wyobraź sobie! Duchowny podjudzał mnie do aresztowania niewinnego człowieka i sprzeniewierzenia się obowiązkom!

Przeszliśmy w milczeniu kilka kroków.

- Prawdę mówiąc, miałem wielką ochotę tak właśnie zrobić - powiedział Palmu cicho.
- W tej sprawie mamy zdecydowanie za dużo przykrych zbiegów okoliczności i czas już z tym skończyć.

- No tak - odrzekłem z całą beztrąską, na jaką mnie było stać. Mój mózg już nie pracował, a serce w piersi ciążyło jak kamień. - A zatem musimy zacząć od początku.

- Otóż nie, tym razem bowiem zaczniemy od końca - odparł komisarz Palmu z gorzką ironią w głosie.

Czytelnik może teraz na chwilę odłożyć książkę i spróbować współczuć ze stanem mojej duszy. Może się również pokusić o próbę odgadnięcia, kto zabił panią Skrof, gdyż koperta pokazana mi przez komisarza Palmu była w istocie ostatnim tropem, ostatnim zdobytym przez nas namacalnym dowodem. Kto, dlaczego, jak? Znane są już w tej chwili wszystkie fakty i rozwiązanie zagadki jest bliskie. Jeżeli czytelnik zdoła odpowiedzieć na trzy powyższe pytania, zdejmę przed nim czapkę z szacunku dla człowieka mądrzejszego od siebie, ponieważ ja nie zdołałem rozwikłać tej sprawy, choć wszystkie fakty podsunęto mi

przecież pod nos. Natomiast komisarz Palmu tej sztuki dokonał i dlatego uznałem, że warto napisać o nim tę książkę. A zatem słucham. Kto? Dlaczego? Jak? Dodam tylko, że pani Skrof nie zwariowała nagle i nie wysłała kaznodziei Mustapaa owych dwustu tysięcy marek, by chwilę potem popełnić samobójstwo. Nie możemy bowiem zapominać o psie...

15

Komisarz Palmu nazywa mnie patentowanym osiem. • Na scenie pojawia się znów Megajra, a Kurt Kuurna maluje ołtarzyk. • Czyżby jednak ktoś widział mordercę? • Kto, dlaczego i jak?

Komisarz dzierży w dłoni klucz do rozwiązania zagadki. • Sprawa zostaje załatwiona za zamkniętymi drzwiami i Lankella zarzuca treningi lotniczej akrobacji.

W zamyśleniu doszliśmy w pobliże ulicy Mechelina i naszym oczom ukazała się posepna bryła krematorium. Myślałem tak intensywnie, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Został nam jeszcze mecenas Lanne - odezwałem się w końcu, choć sam już nie wierzyłem, że potrafię jeszcze logicznie myśleć.

Palmu rzucił mi dziwne spojrzenie spode łba.

- Przyszło ci chociaż raz do głowy - powiedział wolno i dobitnie - że nazwiska Langell, Lankella i Lanne coś ze sobą łączy? Otóż mają identyczną pierwszą sylabę: l-a-n.

- Do-do czego zmierzasz? - zająknąłem się, nagle ożywiony.

Przez głowę przebiegła mi myśl, że mecenas Lanne jest nieślubnym synem pani Skrof. Dlaczego mieszkał w tej samej kamienicy? Dlaczego ich nazwiska są takie podobne? Dlaczego tak bardzo się spieszył z...?

Palmu spojrzał na mnie z boku z politowaniem.

- Do czego zmierzam? - powtórzył zamyślony. - Chcę raz jeszcze stwierdzić, że doprawdy patentowany osioł z ciebie!

Cóż mogłem mu na to odpowiedzieć.

- Tak to jest, jak się używa wyobraźni - dodał po chwili Palmu. - Wyłącznie fakty i logika, mój chłopcze, nic więcej nie potrzeba. Nie fantazjować! Wystarczą same fakty!

Zacisnąłem zęby i jeszcze bardziej zgorzkniałem.

- Pozostaje zatem taka możliwość - odezwałem się bardzo cicho - że najpierw panią Skrof odurzono gdzie indziej, a potem dopiero zaniecono do mieszkania. Psa zabito później. Morderca zamknął drzwi od środka i założył łańcuch, po czym uciekł przez balkon. Wtedy nie musiał nawet poprzedniego dnia być w mieszkaniu pani Skrof. Jakiś zwyczajny włamywacz...

- Który używa morfiny i dla kawału wysyła panu kaznodziei dwieście tysięcy marek...
- dokończył za mnie Palmu.

Głos miał wciąż bardzo serdeczny.

- Ale przecież poza mecenasem nie został już nikt - zgrzytnąłem z rozpaczą zębami.

- Zapominasz o żonie dozorca - upomniał mnie Palmu. - Pamiętaj, że kobieta miała paskudny katar. A także o pani Hallamaa. Czyżbyś naprawdę nie spostrzegł w niej niczego podejrzanego? Przecież to ona poświadczyła testament. I miała możliwość...

- Pa-pani Ha-ha-Hallamaa? - wyjąkałem cicho i uniosłem w górę pięść. - Mia-miała możliwość, prawda... i jest kobietą... już nigdy w życiu nie uwierzę żadnej kobiecie. Właśnie w zakamarkach umysłu takiego z pozoru niewinnego, zasuszonego babsztyla mogą się kryć najmroczniejsze przepaście... Mówisz poważnie?

- Poważnie to się obawiam o ciebie, bo twoja głupota chyba jest nieuleczalna - odrzekł Palmu spokojnie. - No, głowa do góry, chłopcze, jeszcze wyjdiesz na ludzi. W końcu doskonale przepisujesz raporty na czysto. Takich ludzi też nam w wydziale potrzeba.

Drwił sobie ze mnie dość okrutnie. Warga mi obwisła, głowa opadła na piersi. Spostrzegłem w końcu, że otoczenie stało się znajome. Przez moment w głowie zaświtało mi pytanie, dokąd w zasadzie idziemy, gdy nagle staliśmy już pod drzwiami wejściowymi kamienicy Lankelli. Palmu nacisnął guzik dzwonka przy jego nazwisku.

- Mam nadzieję, że Kuurna będzie w domu - mruknął pod nosem. - Muszę mu zadać pewne pytanie. Jeżeli zgodzi się na nie odpowiedzieć, ta przykra sprawa zostanie wyjaśniona. Do tego stopnia wszystko przemyślałem. Jeżeli jednak się nie zgodzi, utkniemy w martwym punkcie, a Hagert tak mi zmyje głowę, że moje delikatne spostrzeżenia na twój temat będą wyglądać przy tym jak słodkie umizgi.

Z podziurkowanej płytki gruchnął nam w uszy posępny skrzek Megajry. Chwilę potem jechaliśmy windą na ostatnie piętro.

- Nic z tego nie rozumiem - odezwałem się bezradnie. - O co jeszcze możesz go pytać? Przecież nie powinno być już żadnych pytań.

- No, a ty o co byś zapytał? - odpowiedział Palmu cichym pytaniem. - Przecież już ci mówiłem, że tym razem zaczniemy od samego końca.

A więc ciągle ze mnie szydził. Zacisnąłem zęby i poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie odezwę się do niego słowem, chyba, że z konieczności i tylko w sprawach służbowych.

Megajra przyjęła nas na poddaszu z przyrodzoną obcesowością. Wyrzekając pod nosem, wpuściła nas jednak do atelier, gdzie Kurt Kuurna w poplamionym kitlu w bólach wydawał właśnie na świat nowe dzieło sztuki. Portret dyrektora banku, Kallberga, został odrzucony na bok, a na płótnie rozpiętym na sztalugach widniała głowa młodej kobiety, lekko

zarysowana jasnymi barwami. Rysy jej twarzy przywodziły nieco na myśl Kirsti Skrof w szpitalnej pościeli.

- Panie komisarzu - odezwał się Kuurna z przyganą w głosie. - Znów pan mnie nachodzi, aby grodzić czyste źródło mojego natchnienia? Czy mam zarzucić w połowie także i to dzieło?

Odniosłem jednak dziwne wrażenie, że mimo tych słów Kuurnie na nasz widok jak gdyby ulżyło. Kiedy weszliśmy, na jego posepnej i wykrzywionej cierpieniem twarzy pojawił się nagle niewymuszony, niemal przyjemny uśmiech.

- A co teraz pan maluje? - rzucił gniewnie Palmu. - Jakiś ołtarzyk chyba, co?

Staął nieco z boku, by krytycznie zlustrować nowe dzieło, po czym z ociąganiem przyznał:

- W zasadzie ta pańska praca akurat wygląda całkiem do rzeczy. Coś takiego chyba nawet ja mógłbym ogarnąć myślą.

- Najlepszy dowód na to, że i tu poniosłem klęskę - stwierdził Kuurna, odkładając pędzel, który bezwładnie wypadł mu z ręki. - Po cóż zatem ciągnąć to dalej? Sentymentalne bzdury...

To był cały Kurt Kuurna. Gotów zrezygnować, kiedy i ja sądziłem, że choć raz ma szansę stworzyć coś niezłego.

Palmu bardzo ostrożnie usiadł w wygodnym fotelu, założył nogę na nogę i zaplótł na kolanie grube, mocne dłonie. Po chwili powiedział:

- Panie Kuurna, przyszedłem zadać panu jedno jedyne pytanie. Bardzo by mi pomogło, gdyby zechciał pan odpowiedzieć na nie zupełnie szczerze. Oczywiście nie mogę pana do tego zmusić.

Kuurna odepchnął sztalugi na bok i stanął na wprost komisarza, tak, że jasne promienie słońca padające z dużych mansardowych okien tworzyły aureolę wokół jego głowy. Lecz twarz pozostawała w cieniu.

- Proszę bardzo, słucham pana - powiedział beztrosko z rękoma w kieszeniach kitla.

Komisarz, nie zmieniając tonu głosu ani o jotę, zapytał spokojnie:

- Dlaczego pan zabił panią Skrof?

Kurt Kuurna podszedł spokojnie do fajczarni i zapalił papierosa. Dłonie mu nie drżały, zauważyłem jednak, że jest bardzo blady.

- Nigdy nie zdoła pan tego udowodnić, panie komisarzu - odezwał się po chwili lekko łamiącym się głosem.

- Tak pan sądzi? - odrzekł Palmu, ciągle jeszcze bardzo spokojnie. - Zapomina pan zapewne, że jednak ktoś pana widział!

Rozwarłem bezgłośnie usta i wepchnąłem palec między szyję a kołnierzyk, by się nie zagotować. Kurt Kuurna wyraźnie drgnął, a ręka zaczęła mu gwałtownie dygotać. Po chwili jednak rozległ się jego wymuszony śmiech.

- Co pan próbuje zdziałać, panie komisarzu? - odezwał się. - Co ma znaczyć ten groteskowy żart?

Palmu pomasaował delikatnie brodę i zamyślił się. Nie należał do wybitnych mówców, a to, co zamierzał powiedzieć, zbyt było odległe od policyjnej rutyny. Twarz miał starą i surową, gdy wreszcie przemówił:

- Panie Kuurna, nie jestem człowiekiem religijnym i od obłudnej pobożności robi mi się niedobrze. Ale przedwczoraj rano siedziałem przy łożu śmierci pewnej starej kobiety, która zginęła z ręki mordercy. Nad wezglowiem jej łóżka wisiał niewielki kawałek spłowiałej tektury, na której srebrnymi literami wypisano jedynie trzy słowa. Wtedy zrozumiałem, że morderca musi zostać ujęty, ponieważ morderstwo zawsze pozostaje morderstwem. Pamięta pan te słowa, panie Kuurna?

Kurt Kuurna był blady jak trup. Nagle jego twarz żałośnie się wykrzywiła i kpiący uśmieszek zniknął bez śladu.

- Ma pan rację, panie komisarzu - odrzekł cicho po chwili. - Tak dłużej być nie może. Nie było to wszystko takie, jak sądziłem. I wreszcie, czy cokolwiek ma jeszcze sens? Zabawa skończona, panie komisarzu, nadszedł dzień sądu. To ja zabiłem panią Skrof. Ale jak pan to odgadł?

Na jego twarz powrócił bezradny uśmiech.

- Będę z panem równie szczery - odpowiedział Palmu. - Przyznaję, że nigdy nie zdołamy tego panu udowodnić. Tu się panu udało. Ale i pan nigdy nie zdoła uciec przed sobą. Człowiek nie zabija, jeżeli nie trawi go żądza zemsty, a już na pewno nie ktoś taki jak pan. Już wczoraj wieczorem był pan dla mnie jedynym możliwym kandydatem na mordercę. Może ubawi pana informacja, że upewniła mnie w tym ostatecznie koperta znaleziona u kaznodziei Mustapaa.

Kurt Kuurna uśmiechnął się słabo, lecz nic nie powiedział, pozwalając komisarzowi niespiesznie mówić dalej:

- Przyszło mi do głowy takie pytanie: kto wpadłby na to, by wysłać kaznodziei dwieście tysięcy marek zwykłym listem? Kto ma tak groteskowe poczucie humoru, że będzie się zaśmiewać do łez, wyobrażając sobie, ile ten faryzejski lis będzie się musiał nakłuczyć,

aby położyć łapę na owych pieniądzech i nie dać się przy tym złapać? Spostrzegł pan oczywiście, że banknoty mają kolejne numery?

Kuurna nie odpowiedział.

- A zatem już wczoraj wieczorem miałem całkowitą pewność co do osoby mordercy - ciągnął spokojnie Palmu - jednak rozwiązanie tej zagadki jest tak absurdalne, tak sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, że żaden sędzia nie ośmieliłby się pana skazać. W sądzie zawiedziona miłość czy opacznie pojęta solidarność z przyjacielem nie stoją za dowody. Dlatego postanowiłem zaczekać, aż panna Skrof dojdzie do siebie i spotka się z młodym Lankellą.

Wreszcie Kuurna postanowił coś powiedzieć. Na próżno starał się odzyskać poprzedni, beztroski ton:

- Wygląda na to, że się przez to wszystko wreszcie odnaleźli. Dwa gołąbeczki, kościelne dzwony i tak dalej. Całkiem to zabawne, panie komisarzu, nie sądzi pan?

- Nie wiem - odrzekł Palmu. - Dla mnie bardziej zajmujące w tej całej sprawie są absurdalne zbiegi okoliczności. Na przykład jest pan jedyną osobą, która nie ma na ciele najmniejszego zadraśnięcia po zębach psa. Chłopcy zwrócili wczoraj na to uwagę, gdy przebierali pana do identyfikacji. Natomiast wszyscy inni mieli rany: panna Skrof na nadgarstku, Lankella na kciuku, pan Mustapaa na kostce. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby i mecenas Lanne ukrywał gdzieś pod ubraniem jakiś śladzik po zębach.

- Baron nie próżnował - stwierdził Kuurna i uśmiechnął się gorzko.

- Pan jeden nie miał nawet draśnięcia - podsumował Palmu. - W tak absurdalnej sprawie powinno mi to wystarczyć, by zacząć pana podejrzewać. Jak to w ogóle możliwe? Przecież pies musiał ugryźć mordercę. Na dachu znaleźliśmy ślady krwi. Takie są fakty. Przeczuwam jednak, że musiałem je jakoś błędnie tłumaczyć. Ponieważ to pan jest jedynym możliwym mordercą. Tak mi podpowiada logika, a logika nigdy mnie nie myli.

- Gdyby znał mnie pan lepiej - powiedział cicho Kuurna - wiedziałby pan, że jestem człowiekiem mizernej konstytucji, tworem miernym i nieudolnym, któremu od czasu do czasu puszca się krew z nosa... Ostatnio złapało mnie na dachu. Musiałem odpocząć kilka minut na okapie, zanim zdołałem to jakoś zatamować. Szybka wspinaczka, wzburzenie i tak dalej.

- No, a pies...? - mruknął Palmu z niedowierzaniem.

- Pies stanowił najbardziej nieprzyjemny haczyk w całej tej sprawie. Ze względu na niego właśnie na cienkie rękawiczki założyłem jeszcze grube skórzane łapawice. Mimo że z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Baron traktował mnie uprzejmiej niż innych gości, w kieszeni miałem dla niego przygotowany smaczny plasterek mięsa z farszem z cyjankali...

- Proszę mi zaraz oddać to cyjankali - wtrącił szybko Palmu, wyciągając dłoń. - Dość już było w tej sprawie prób samobójczych.

Kuurna uśmiechnął się lekko.

- Już dawno temu spłynęło do kanalizy w toalecie klubowej Helsinek - odpowiedział. - Ale może pan sobie wyobrazić, jak się przestraszyłem, kiedy pies rzucił się na mnie w ciemności zupełnie bezgłośnie. Nie warknął, nie szczeknął nawet, tylko przywarował pod drzwiami balkonu, gdy mnie usłyszał. Biedny Baron był już chyba stary i żywił wielką nadzieję, że choć raz będzie mógł ugryźć bezkarnie i z całej siły. Był to dla mnie taki szok, że złapałem go po omacku i ścisnąłem. Dopiero wtedy dwa razy szczeknął, a po chwili coś chrupnęło i... Uch, to była najstraszniejsza, najobrzydliwsza rzecz w całej tej sprawie. Nigdy sobie tego nie wybaczę!

- Odniósł pan psa na poduszkę, odkręcił kurek gazowy i wziął pieniądze, ale zaciekał pana list, który pani Skrof napisała do kaznodziei Mustapaa. Co w nim było?

- Obiecała dać mu pieniądze na bilet powrotny do Ameryki, jeżeli odejdzie z własnej woli, bez skandalu. List popłynął do kanalizy razem z cyjankali.

- A buty na gumowej podeszwie? - indagował cicho Palmu.

- Tu się zdarzyła pierwsza mała katastrofa. Do diabła, nie mogłem przecież przewidzieć, że Kallemu akurat wtedy przyjdzie do głowy zgubić tenisówki! Oczywiście nie tak to miało być. Ale chłopak był cały w nerwach z powodu Salmii i ciotki. No i posiał gdzieś tę torbę do tenisa i zapomniał gdzie, jak sam powiedział. Prędzej czy później na pewno się znajdzie. Ja oczywiście kupiłem sobie buty specjalnie na tę okazję, a potem, w drodze powrotnej do klubu, wrzuciłem je do kanału na Morskiej. Wyrzuciłem też łapawice, bo najpewniej zostało na nich trochę sierści psa. A tamta zapalka to był, rzecz jasna, godny pożałowania błąd. Wyrzuciłem ją zupełnie machinalnie po zatkaniu dziurki watą. Ale prawdę mówiąc, nie opuszczało mnie przekonanie, że i tak śmierć starej Skrofovej zostanie uznana za nieszczęśliwy wypadek. Jest pan dużo bystrzejszy, aniżeli z początku sądziłem, panie komisarzu.

- A zatem w hotelu Helsinki udawał pan zamroczenie alkoholem - stwierdził Palmu. - Poszedł pan do alkowy za kotarę rzekomo się położyć, po czym wyslizgnął się na korytarz, wsiadł do samochodu Lankelli, zrobił swoje, wrócił i udał, że wychodzi z toalety. A wyszedł pan z hotelu od razu, gdy spostrzegł, że Lankella wymknął się na rozmowę z Iiri Salmią, aby i on nie wiedział o pańskiej nieobecności. Ale skąd, do diaska, wiedział pan, jak otworzyć tę kratę na Marynarskiej?

- Tu popełnił pan błąd, panie komisarzu - zauważył Kuurna niemal psotnie. - Mianowicie gdyby pan dokładniej zbadał sprawę, szybko by się pan dowiedział, że baron Kurstróm mieszkał w tamtej kamienicy przez jeden semestr na pierwszym roku studiów. Właściciele nie mają tam w zwyczaju dawać lokatorom klucza od bramy. Mówią im po prostu na ucho o pewnej osobliwości zamka w kracie.

Na chwilę zapadła cisza. W końcu uznałem, że także muszę zabrać głos.

- Kwestie „kto” i „jak” zostały zatem wyjaśnione - odezwałem się kwaśno. - Ale dlaczego? Tego naprawdę nie mogę pojąć.

- Po to też tu przyszliśmy, aby o to zapytać - przyznał łagodnie Palmu. - Ale na pewno pojmujesz, że pan Kuurna... hm... jest zakochany w pannie Skrof.

Kurt Kuurna odwrócił się do nas plecami i chwilę kontemplował padające z okien światło .

- Przecież dałem panom wskazówkę - powiedział niedbale. - Tak, dla zabawy. I to dwukrotnie. Chyba nie uważacie mnie za idiotę, który przy każdej możliwej okazji bredzi o przewagach swoich praszczurów. W czasie wojny trzydziestoletniej protoplasta mojego rodu rzeczywiście oddał konia królowi...

- Ejże - przerwałem mu rozpaczliwie. - Przecież to już stara historia. Że też chce się panu po raz kolejny to samo wałkować!

- Lankella to mój król - stwierdził Kuurna bez ogródek. - Uwielbiam go od lat, odkąd go znam. Raz Kalle... Kalle z narażeniem życia uratował mnie od utonięcia. Takich rzeczy nigdy się nie zapomina. Oczywiście, Kalle jest lekkomyślny i pieniądze się go nie trzymają, ale jego przyjaźń i ofiarność są tak wybitnej próby, że szcycę się tym, iż uważa mnie za przyjaciela. Może pan tego nie rozumie, ale już w szkole wszyscy ze mnie drwili, nazywali małą, byłem śmieszny i bezradny. Nie mam w sobie nic godnego uwagi, poza mózgiem może, poza tym zwietrzałym, błazeńskim mózgiem. Nawet nie wiecie, co dla mnie znaczyła jego przyjaźń. Tylko dzięki niej moje życie miało jakikolwiek sens. I te lata, które spędziliśmy z Kallem pod jednym dachem, były po prostu wspaniałe, to był czas cudownego, czystego absurdu. Siedziałem na skraju lotniska i z drżącym sercem obserwowałem te jego szaleńcze sztuczki, siedziałem...

- Lankella nie chciał przyjmować pieniędzy od pana? - przerwał mu taktownie Palmu.

- Oczywiście, że nie, to byłoby całkowicie niezgodne z jego naturą - odpowiedział Kuurna nieledwie rozmarzonym tonem. - Proszę sobie wyobrazić, panie komisarzu, że ja wcale nie jestem takim utracjuszem, na jakiego wyglądam. Umiem dbać o interesy i tak dalej, ale z największą radością oddałbym mu te swoje mniej więcej dwa miliony, które posiadam.

To oczywiście haniebne, panie komisarzu, że bezmyślne dzieci dziedziczą po rodzicach z trudem przez nich wypracowany majątek i tak dalej...

- To był sprytny wybieg - zauważył Palmu bez widocznego związku z tym, co właśnie powiedziano.

- Mam na myśli incydent pod pomnikiem Runeberga. Liczył pan zapewne na to, że razem z Lankellą trafi do aresztu. Dziwnie by wyglądało, gdyby policja szukała mordercy we własnej kozie. Miałby pan zatem niejako połowiczne alibi. Chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, że ktoś może się pokłócić o kapelusz zaledwie dwie godziny po popełnieniu wyrachowanej zbrodni. Pewnie bardzo się pan zdziwił, że konstabl omyłkowo zatrzymał nie tego, kogo trzeba.

Kuurna puścił tę uwagę mimo uszu. W jego głosie zabrzmiała nutka goryczy, gdy podjął swoją opowieść:

- Kirsti Skrof to cudowna dziewczyna. Może Kallego i mnie pociągała w niej właśnie ta jej odmienność. Była zupełnie inna niż wszystkie dziewczęta z naszego towarzystwa. Dziewica krystalicznej czystości. I ten ognisty temperament! Ale nie trzeba było daru jasnowidzenia, by spostrzec, że jest po uszy wprost zadurzona w Kallem. Nie było sensu wchodzić między nich. Przy czym doskonale rozumiałem, że życie Kallego nie może dalej tak wyglądać. Kaarle Lankella potrzebował żony, a Kirsti była rzeczywiście jakby dla niego stworzona...

- I zabił pan panią Skrof, która chciała ich właśnie ze sobą pożenić - wtrąciłem z gorzką ironią.

Jednak Kurt Kuurna nie zamierzał już dowcipkować. Był śmiertelnie wręcz poważny, a w jego oczach dostrzegłem twardy błysk.

- Otóż i powód - wyznał. - Gdyby pan nie był ostatnim idiotą, pojąłby pan, że jeżeli w tych okolicznościach stara Skrofova zaczęłaby ich przymuszać do zawarcia małżeństwa dla pieniędzy, to albo odsunęłaby ich od siebie na zawsze, albo doprowadziła do tego, że zamieniliby swoje życie w piekło na ziemi. Kaarle miał jeszcze tę Iiri Salmię, w której można się oczywiście zakochać, jednak ta kobieta w żadnym razie nie jest dla niego. To zresztą ja jej wytłumaczyłem, jak najłatwiej splawić Kallego...

- A więc to pan kazał jej wmówić Lankelli, że... - zacząłem, lecz zaraz ugryzłem się w język. Moje wtrącenia były już chyba najzupełniej zbędne.

- Bałem się jednak, że Kalle zrobi coś głupiego - ciągnął niewzruszony Kuurna. - Wskoczy z samolotu czy coś takiego. Naprawdę bardzo się o niego martwiłem, a już najgłupsze ze wszystkiego było oczywiście to jego postanowienie, że wyjedzie do Hame-

Lankelli i zacznie się bawić we właściciela folwarku. Dziś trudno utrzymać nawet kamienicę z czystą hipoteką, a cóż dopiero folwark, który jest zadłużony po fundamenty i po ostatnie drzewo w lesie. Kalle nie nadaje się na woła roboczego i ta harówka w końcu by go złamała. Rozwiałyby się złudzenia i stałby się jednym z tych tonących powoli w nudzie i długach ziemian, którzy przyjeżdżają czasem do Helsinek się nachlać... Ech, zabiłoby to w nim wszystko, co najbardziej w nim kochałem.

- Tak, Lankella to król - przyznał cicho komisarz Palmu i miałem wrażenie, że słyszę w jego głosie nutkę ironii doświadczonego i rozsądnego człowieka.

- Jeszcze pan nie rozumie? - prychnął niecierpliwie Kuurna. - Nie mogę przecież wiedzieć, co wyrośnie z Lankelli. Równie dobrze może zbankrutować mimo tych swoich milionów, chociaż nie wierzę, aby tak się stało, skoro będzie mieć przy sobie taką dziewczynę jak Kirsti Skrof. Już ona potrafi pilnować kiesy. A Lankella należy do ludzi stworzonych do szczęścia i bogactwa, to jego przeznaczenie. Chciałem dać mu szansę ułożenia sobie życia, tak aby było zgodne z owym przeznaczeniem. Widzę, jak się uśmiecha w chmurach, przy oszałamiającym ryku silnika. Jeżeli przyjdzie czas próby, Lankella może przynieść chwałę swemu krajowi. A bez niego Kirsti Skrof nigdzie nie zaznałaby szczęścia. Zapomina pan, że ta dziewczyna była gotowa popełnić dla niego samobójstwo, choć podejrzewała, że to on zabił. To jest miłość, przed którą można zdjąć czapkę. Niechże więc pan powie... niechże mi pan powie, cóż innego mogłem zrobić, skoro sam kochałem Kirsti i nade wszystko pragnąłem jej szczęścia?

Zapadło milczenie. Byłem wstrząśnięty. W głowie znów mi się rozjaśniło i wszystkie wątki splotły się nagle w spójną całość. Wyjaśnienie Kuurny było tak oczywiste i tak niewiarygodne zarazem, że właśnie dlatego mnie przekonało. Kurt Kuurna kochał Kirsti Skrof i chciał jej szczęścia. Lankella uratował go od utonięcia i Kuurna był mu dłużny życie.

- Mój praszczur oddał swemu królowi własnego konia, aby ten mógł uciec, i przypłacił to życiem - rzekł Kuurna zgodnie ze swą osobliwą logiką. - I to było zbrodnią, gdyż czyn ten sprawił, że całe narody zaznały wszystkich niewysłowionych cierpień, jakie niesie w sobie długa wojna. Ja oddałem konia Lankelli, aby mógł uciec przed własną lekkomyślnością i słabościami charakteru. Może i tym razem skutki tego okażą się wyłącznie złe, ale... cóż... Lankella to przecież mój król!

Z rzewnością niemal zapatrzył się w swój obraz, na którym w powodzi słonecznego światła lekko i jasno unosiła się twarz Kirsti Skrof, po czym dopowiedział wolno:

- Wydawało się, że to takie łatwe. Pani Skrof skąpstwem i chciwością skrzywdziła wielu niewinnych ludzi. Mogłbym opowiedzieć panu niejedną tragedię, a wtedy przyznałby

pan, panie komisarzu, że ta kobieta dostała jedynie sprawiedliwą zapłatę za swoje czyny, była to bowiem bezlitosna i bezwzględna stara jędza, która w ostatnich latach usiłowała kupić u Boga dawno utracony spokój sumienia. Byłem przekonany, że jej śmierć zostanie od razu uznana za nieszczęśliwy wypadek i wszystko się ułoży. Ale jak pan słusznie zauważył, panie komisarzu, morderstwo jest zawsze morderstwem.

Palmu powoli pokręcił głową. Twarz miał surową i twardą, a w jego oczach błysnęła lodowata stal.

- Nie - odezwał się w końcu - pana nic nie usprawiedliwia.

- Dlatego lepiej powiedzieć teraz wszystko - stwierdził spokojnie Kuurna. - Czyżby pan nie spostrzegł, jak mi ulżyło, kiedy pana zobaczyłem? Bo wiedziałem, że to się wreszcie skończy. Ostatnie dwa dni i dwie noce były dla mnie bardzo długie, panie komisarzu. Dziś w nocy spisałem testament.

- Jeszcze jeden testament w tej sprawie to już trochę za wiele jak dla mnie - odrzekł spokojnie Palmu. - Niechże pan nie będzie tchórzem, Kuurna. Dostanie pan marne dziesięć lat, a wyjdzie jeszcze wcześniej, za dobre sprawowanie.

Kuurna zastanawiał się tylko sekundę.

- Gdyby wykonywano u nas wyroki śmierci - odezwał się dumnie - byłbym gotów. Krew mojego rodu już bryzgała na katowski pień. Pan chyba nie wie, o czym mówi, panie komisarzu. Więzienie dla mnie...

Palmu podniósł się powoli i zrobił krok w jego kierunku. Ale Kuurna ani drgnął. Na jego ustach zapełgał znów dawny, złośliwy uśmiezek.

- Zapomina pan, panie komisarzu, że samo przyznanie się do winy nie wystarczy w tak obciążającej sprawie - powiedział żartobliwie. - Mimo że ma pan przy sobie wiarygodnego świadka. W sądzie nigdy nie zdoła pan udowodnić mi winy, choćbym nawet się przyznał.

Palmu zmarszczył nieznacznie brwi.

- Mam jednak przekonujący dowód - dodał pospiesznie Kuurna. - Zachowałem go dla zabawy, a pańskie przytępawe ogary oczywiście go nie znalazły, choć wylały mi nawet farbę z miseczki, żeby zobaczyć, czy czegoś w niej nie ukryłem. Podaruję go panu... lecz pod jednym warunkiem.

- A mianowicie? - zapytał niechętnie Palmu.

- Że Kaarle Lankella i Kirsti Skrof nigdy się o niczym nie dowiedzą. W gazetach nie było jeszcze na ten temat ani słowa. Niech pan zakończy tę sprawę za zamkniętymi drzwiami, panie komisarzu, a wręczę panu przekonujący dowód swojej winy.

Palmu nie odpowiedział, tylko patrzył wyczekująco na Kuurnę.

- Proszę najpierw zamknąć na klucz drzwi atelier - zaproponował niewinnie Kuurna.

Komisarz wyznał mi potem, że niejasno przeczuwał, iż to kolejna drwina. Mimo to, mruczając coś pod nosem, podszedł do zamkniętych drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Ścisłej mówiąc, próbował przekręcić, ale nie mógł.

- Dowód jest w pańskiej dłoni - powiedział Kuurna cicho, po czym zniknął za parawanem stojącym w rogu pomieszczenia i zdjął kitel.

Sekundę trwało, zanim się zorientowaliśmy, że Palmu dzierży w dłoni klucz od drzwi balkonu pani Skrof. Cały czas mieliśmy dowód pod samym nosem - już wtedy, gdy po raz pierwszy zjawiliśmy się w atelier. Był to ostatni błysk niesamowitego poczucia humoru Kurta Kuurny. A gdy wreszcie pojeśliśmy, co się dzieje, było już za późno.

Kiedy przez niewielkie drzwi za parawanem wyskoczyłem na dach, Kurt Kuurna stał już na krawędzi tarasu.

- Proszę powiedzieć, że to był wypadek - powiedział cicho.

Twarz miał trupio bladą, a oczy nieszczęśliwe.

Nie zdążyłbym go powstrzymać. I nawet nie wiem, czy chciałbym.

Cóż więcej można by dopowiedzieć w tej sprawie? Komisarz Frans Palmu przez dwie godziny klócił się za zamkniętymi drzwiami z porucznikiem Hagertem, w końcu jednak stanęło na tym, że sprawa zostanie zatuszowana.

A więc to był nieszczęśliwy wypadek. Tak w każdym razie napisano w prasie, a nasz spokojny naród, mimo wielu przykrych doświadczeń, w skrytości ducha nadal święcie wierzy w słowo drukowane.

Wspomnę jeszcze tylko, że Kirsti Skrof i Kaarle Lankella są już po ślubie. Pan Lankella nie lata tak często jak niegdyś i może wznosić się w powietrze jedynie w towarzystwie żony, aby mogli razem umrzeć, jak ma się w zwyczaju pocieszać pani Lankella. Pan Kaarle wcześniej przychodzi do domu, a jeśli czasem zdarzy mu się wypić coś mocniejszego, robi sobie godzinny spacer po cichych ulicach miasta, zupełnie tak jak sumienny i obowiązkowy mecenas Lanne...

Jednak ostatnio zdarza mu się to doprawdy nader rzadko.